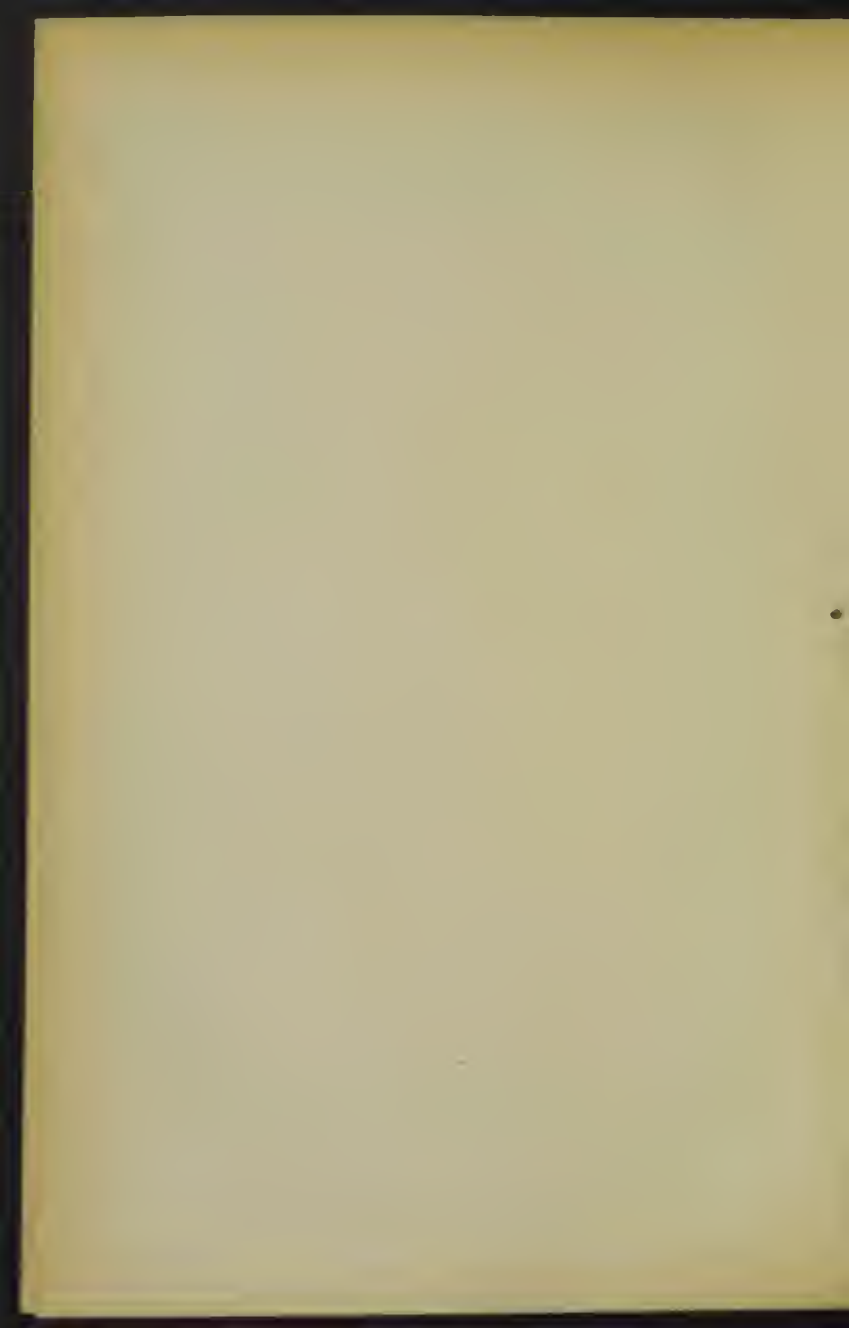


STACH Z KONAR.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VIII.

STACH Z KONAR.

Powieść historyczna

z czasów Kaźmierza Sprawiedliwego.

T o m II.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1879.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

Stary zamek w Sandomirzu nie był jednym z najrozleglejszych, jak wszystkie dawne budowy nie rozsiadał się szeroko. Zdawna zamieszkiwany przez rodzinę książęcą, nie wiele jeszcze wymagającą starczył jój swojemi ciasnemi mury i drewnianemi przybudówkami. Ostatni pan jego, nieodżałowany książę Henryk, co miał w sobie Krzywoustego ducha, pobożność i męstwo, który z krzyżem czerwonym biegł do Jerozolimy i z równem męstwem wojował pogan pogranicznych; młodzieniec europejskiego obyczaju, prawy rycerz owych czasów, uczynił gród ten podobnym do jednego z zamków zachodniej Europy. Za niego się tu cokolwiek rozrosło i uporządkowało.

Książę Kaźmierz, brat jego ze krwi i ducha, najulubieńszy mu z rodzeństwa, niedarmo też lat kilka tułał się po świecie. I on z tych wędrowek po niemiezech i włoszech wyniósł upodobanie w tém wszystkim co na zachodzie kwitnęło, a czego brakło Polsce ówczesnej.

Oba oni ściągęli do Sandomirza ze swych wypraw zamorskich i zagórskich co tylko zdobyć się dało w orężu i sprzęcie. Oba mieli upodobanie w pięknej rycerskiej zbroi, w szatach chędogich, w sprzęcie kunsztownym, a Kaźmierz miał też miłość nauk, książę i ludzi co się niemi zajmowali.

Zameczek Sandomirski, zwłaszcza od czasu gdy go po Henryku wziął ów piąty syn Krzywoustego, sierota, zostawiony bez wyposażenia, stawał się coraz piękniejszym na oko, wygodniejszym dla mieszkańców.

Gdy Kaźmierzowi duchowni żenić się nakazali a przybył mu dwór księżnej Heleny, rozszerzyć przyszło budowy do obyczaju wschodnich teremów się stosując, ulubione na Rusi ciesielskie z drzewa wzniesiono komnaty.

Sam piękny twarzą, postawą, obliczém rozzumném i miłość obudzającém, Kaźmierz też lubił, aby to, co go otaczało, wdzięczną przywdziewało szatę. Zbytku nie chciał, ale wytworność jakiej się na zachodzie napatrzył, stała mu się potrzebą. Na dworze Cesarskim Rudobrodego, w miastach

niemieckich i włoskich przepych i wykwintność panowała. Trudno jej tu było sprostać, lecz książę rad był mieć co widywał gdzieindziej.

Ciche to było to Sandomirskie sebronienie najmłodszego z synów Krzywostego, dwór przy nim nie nazbyt liczny, lecz od wrót począwszy podróżny wchodząc mógł poznać, iż tu zamieszkuje pan, który wiele widzieć musiał świata i miłował ład wszelki.

A z ludzkich twarzy i ruchów mógł też odgadnąć, iż tu więcej miłość niż groza rządziła. Chodzili wszyscy uśmiechnięci, spokojni, sporów nie zawodząc, nie spiesząc aby próżnować potem. Szło wszystko ładem i cicho.

Nie zbywało na rycerskich przyborach, na łowczych psach i sokolach, bo bez tego nikt naówczas nie był, częściej tu jednak spotkało się habit Cystersa, suknię Bozogroheca i sutannę księżą, kaptur benedyktyński, kleryka z księgą, niż żołdaka i ciurę.

Oprócz teremów księżnej drewnianych, które ze starym zamkiem przejściem słupiatem się łączyły, same zameczysko, w części murowane, zawierało izby niskie, różnej wielkości jak w różnych czasach były dobudowywane, utrzymane czysto i w godła rycerskie i religijne poprzybierane. W izbach dla księcia przeznaczonych broń wschodnią różną po ścianach rozwieszoną, obrazy na złotych tłach, ołtarzyki szafiaste, rzeźby z kości słoniowej, szyte i tkane opony, na których

arabskie napisy widać było, spotykało się wszędzie. W niektórych komnatach już i małe błony szklane w otółw oprawne miały okna.

Komnatę, w której niegdyś książę Henryk przemieszkiwał, po zgonie jego, na znak miłości braterskiej Kaźmierz tak pozostawił, jak ją zastał po zmarłym. Stała w niej zbroja jego ulubiona, wisiały koleczugi, hełmy, miecze, włócznie, proce, a część ich ustawiona umyślnie zbrojnego przedstawiała rycerza. Wisiał nawet płaszcz, który z Henrykiem wrócił z Jerozolimy. Książę Kaźmierz przebywając tu, patrząc na te pamiątki, brata sobie mógł przypominać, którego opłakiwał. Przychodził się tu modlić za niego i młodość swą rozpamiętywać. Sam zajmował izbę obok równie przystrojoną zbroją ciekawą, mieczami i orężem osobliwym włoskim i niemieckim, normandzkim i wschodnim.

Ze wszystkich izb jednak, gdyby najulubieńszą księcin wskazać przyszło, trzeba było wybrać tę, w której do stolów zasiadano, nie dla jedzenia, ale dla dłużej po niem rozmowy i czytania.

Zimową porą palił się tu ogromny ogień co ją wieczorami ogrzewał i oświecał. Przy wielkim stole dębowym otoczonym ławami i stołkami zasiadał książę i jego ulubieni towarzysze, niegdyś Mateusz Cholewa biskup krakowski, potem Cystersey opaci, mnisi i duchowni. Najrozumniejszych

mężów obcych i swoich dobierał sobie Kaźmierz do towarzystwa, ugaszczał ich, obdarzał, zatrzymywał, przy sobie, a trafiało się nieraz, gdy wieczorem rozpoczęto rozmowę, czytania i opowieści, iż się one dopiero o brzasku kończyły.

Najsześcielszym bywał książę, gdy się mógł coś nowego nauczyć i dowiedzieć, gdy mu przyniesiono wieści o tém, co się na szerokim świecie działo, albo gdy uczony człek stare dzieje z księgi mu czytał i tłumaczył.

Gdy z zagranicy do Krakowa, albo do którego z nowo założonych klasztorów udało się zdobyć rękopism drogi a rzadki, radość była wielka a niewypowiedziana. Książę zapominał potrosze o żonie, o myśliwstwie i o całym świecie, zdawał sprawy księstwa na ulubionego Goworka i innych urzędników, których sześcielswie sobie do boku dobierać umiał, a sam z głową spartą na ręce, słuchał a słuchał czytania i opowiadań, których nigdy zadość nie miał.

Z czytania wywιάzywały się nieraz rozprawy o rzeczach różnych, w których udział brali duchowni i świeccy, spierano się, roztrząsano i czas schodził niepostrzeżony.

Ludzie więcćj rycersey a mnićj rozgarnięci pocichu się wysmiewali z księcia Kaźmierza. iż po matce wziął tego ducha a rodził się bodaj więcćj do kaptura mniszego, niż do zbroi, na Opata bardzićj niż na księcia; ale drudzy nśmichając

się podszeptywali, iż nadto niewiasty miłował, aby się zdał na mnicha.

Prawdą niestety było, iż o ile mądrość kochał, o tyle go i niewieścia twarz piękna pociągała ku sobie i mogła całe zbawić rozum. On sam znał się do téj słabości i wstydził się jéj, a oprzeć nie umiał. Wielu mu ją wybaczalo pamiętając na to, co Chrystus powiedział, gdy jawno grzesznicę ukamienować chciano.

Pięknéj twarzy, wdzięcznego lica, wielkiego serca, książę Kaźmierz łatwo u niewiast powolność znajdował, chociaż i mężczyźni tak samo lgnęli doń i kochali go. Dusza w nim była piękna, która do wszelkiego dobra i piękna jak słonecznik do jasności dziennéj się zwracała. Nigdy on nie zapragnął zemsty, nie pokrzywdził z dobrej woli nikogo, a wielką cześć sprawiedliwości nosząc w duszy, każdy krok swój do niéj stosować się starał.

Już sławne owo w młodości pierwszej znalezienie się jego ze Stachem z Konar, malowało człowieka i słabość i szlachetność; później wielu słabości młodzieńczych pozbył się książę, a cnot nabył jeszcze. Patrzano nań ze wszech stron ze czcią, jak na wybrańca Bożego. To też rodzina cała, brat Mieszek i dalsi zazdrościli mu miłości ludzkiej, a z heroizmem jego nieraz się naśmiewali. Ale kto raz się doń zbliżył, nigdy mu się nie stał

niewiernym; tak wielki urok miał książę, tak wielką siłą przywiązywał do siebie.

Liczył już naówczas Kaźmierz lat około czterdziestu, ale spokojna i piękna dusza czyniła go tak młodym twarzą, tak powabnym, iż mu dzieśięć lat mniej z pozoru dać było można.

Zdawałoby się na oko, że ten mąż, którego wszyscy kochali i szanowali, którego ojciec zostawił bez ziemi, a los mu dał wyposażenie, otoczony spokojem, ludźmi wybranymi, gromadką wierną musiał być szczęśliwym; jednak gdy po owych wieczorach mądrych rozmów, wśród których o wszystkim zapominał i lice jego promieniało, znalazł się Kaźmierz sam jeden lub w towarzystwie wiernego powiernika Jaksy z Miechowa, Goworka lub przywiedzionego z niemiec ulubieńca Wichfrieda, twarz jego przybierała wyraz cichego jakiegoś smutku i widać było, że mu do życia brakło czegoś, że w sercu cierń jakiś nosił.

Nigdy nikomu książę nie objawiał co go bolało, owszem dobrotliwie uśmiechając się do ludzi, zdawał się rad ze swego losu.

A przychodziły nań chwile ciężkie, w których krew gorąca, rycerska poskramiana życiem i modlitwą odzywała się gwałtowniej, naówczas jak rozbudzony rwał się do konia, jechał na łowy i zwykle, z czém się już ludzie oswoili, znikał na dui kilka tak, że dwór nawet o nim nie wiedział,

a powracając przynosił z sobą nie uspokojenie, ale smutek większy jeszcze i znużenie.

Starzy słudzy i dworzanie choć szpiegować pana nie śmieli, domyslać się wzdragali, mimowolnie dostrzegli, że zwykle przed taką wycieczką w lasy, zjawiała się na zamku stara baba żebraczka, która w podwórzu siadywała dopóki książę jej nie zobaczył.

Często sam do niej wychodził z jałmużną i zakazano było ludziom, ażeby jej nie odganiaли a nie złego czynić się nie ważyli.

Stara, którą przeczowano Kozichą, bo czasu zimniejszego kożuszek z koziej skórki nosiła, zjawiała się jakoś zawsze w przededniu, gdy księcia do łowów napaść miała ochota i znikala potem tak, że jej ani na zamku, ani w mieście nie widywano. Domysłali się więc przyboczni, że tam coś innego, nie łowy księcia do lasów pędziło i szeptano o jakichś miłostkach tajemnych, ale nikt dosledzać ich nie śmiał i nie wiedział dokąd jeździł książę, oprócz jednego sługi milczącego, którego Smokiem zwano.

Duchowni też musieli się czegoś dorozumiewać, gdyż choć nie wprost, ale ubocznie o niewiastach zagadując ostrzegali często księcia o niebezpieczeństwie obcowania z niemi, poknachs i nroku zgubnym, jaki na mężczyzn wywieraly. Kaźmierz słuchał pilno, spuszczał oczy jakby się

do winy przyznawał, ale łowy tajemnicze powtarzały się zawsze.

W domu jedyną rozrywką księcia były pobożne śpiewy przy organie, na którym grywać lubił¹⁾ i biesiady wieczorne z mężami dobranemi. Dla tego zawsze ktoś na dworze z księży albo z Krakowa lub z jednego ze świeżo pozakładanych Cysterskich klasztorów przebywał. Czasem po kilku się ich zbierało, a wówczas dla księcia gody były prawdziwe.

Pod ten czas bawił właśnie opat zakładającego się w Sulejowie klasztoru, francuz Lucius, Lambert scholastyk z Krakowa i młody bo ledwie siedemnastoletni wielkich nadziei, nauki cheiwy Wincenty syn Boguchwała, sposobiący się do stanu duchownego, którego dla żywości umysłu, pamięci nadzwyczajnej i łatwej wymowy, książe bardzo miłował.

Był ten Wincenty jakby cudowném dziecieniem swojego czasu, starzy mu się dziwowali i z dumieni słuchali go, wróżąc mu przyszłość wielką. Bóg go tak obdarzył, iż więcej się w lat kilka nauczył, niż drudzy przez całe życie, a cokolwiek raz usłyszał, pamiętał dziwnie tak, iż całe ustępy z pisarzy łacińskich bez księgi powtarzał. A miał też dar słowa osobliwy, że z niém, jakby igrając tkął najmisterniejsze wzory. Noce i dnie siadywał

¹⁾ Kadłubek.

niezmordowany nad księgami, pielgrzymując gdziekolwiek o nieznanych sobie zasłyszal, wpraszając się do bibliotek klasztornych, trawiając wśród postów i umartwień miesiące całe nad niemi. Więc też w krótkim czasie pochłonał Wincenty wszystko niemal, cokolwiek w Polsce przy kościołach, szkołach po biskupich dworach i klasztorach się znajdowało, a książę Kaźmierz głośno o tém mówił, iż go chce ślać do Rzymu i Paryża, aby się nasycił, zbogacił i do kraju z płonem obfitym powrócił. Obawiano się tylko, aby przy wielkiej żywości umysłu swego a chciwości nauki wszelkiej, kacerstwa jakiego, zwłaszcza Abaljardowego, na które Bernard święty nastawał, nie zachwycił.

Oprócz tych mężów duchownych, kilku zawsze mężów statecznych siadywało przy królewiczu, a dwór jego składał się po większej części z takich, co obce kraje i języki znali.

Miało się ku wieczorowi dnia tego, gdy książę od żony i synka powróciwszy, obyczajem swym w izbie wielkiej, miał zasiąść do stołu ze dworem i gośćmi. Dzień był wiosenny dziwnie pogodny i piękny, okna wszystkie stały otworem, świeże powietrze od łąk nadwiślańskich niosło z sobą woń młodych kwiatów i drzew zaledwie porozpękanych. Kaźmierz siedział jeszcze w izbie swęj czekając oznajmienia, spoczywając z głową na dłoni opartą. Do jego cichęj komnaty dochodziły głosy zgromadzonych już w wielkiej izbie

biesiadników, których od niego tylko komnata Henrykową zwana, dzieliła. Mógł tu nawet rozpoznać rozmawiających po mowie, i byłby może ku nim pospieszył, ale go jakieś znużenie ducha do krzesła przykutym trzymało.

I siedział tak dosyć długo zapatrzwszy się ku niebu zachodniemu, bardzo smętny, sam może smutku tego nie znając przyczyny. Przychodzi on tak często do serca ludzi właśnie, gdy ich otacza wesele i pogoda, niosąc przecucie ich niestałości, znikomości przestrogę.

W tém coś około okna, przez które tylko wieczornemi loty przemykały jaskółki, przesunęło się jak cień, książę powstał żywo i wyjrzał.

Podwórzem pod murem samym przesunęła się zwolna stara baba płachtą otulona w podartych na nogach chodakach, o kiju, z garnuszkim u pasa, z sakwą na plecach. Szła i zdawała się upatrywać czegoś. Z pod zawieszonéj nad czołem chusty, widać było twarz bladą, zmarszczkami okrytą, w której czarnej, niespokojnej, małe oczka biegały.

Ujrawszy księcia w oknie, baba obejrzała się do koła, podniosła rękę do góry, dała mu znak jakiś, ukazując na lasy i żywo pod mur się przysunęła szepecząc coś niedosłyszanego. W części téj podwórza nie było nikogo; książę sięgnął do kasety i garść pieniążków jój wyrzucił.

Słów jój książę niedosłyszał pewnie, ale się

ich domyślił. Mówiła cicho ale żywo, gorąco, na tarczywie, rękami przebierając, głową zwracając, postukując kijem, który trzymała w ręku. Książę szybko skinieniem głowy tylko jej odpowiedział i cofnął się do okna.

Właśnie podkomorzy książęcy Prandota, mąż podżyły, rmmiany, wesołego, pełnego oblicza wszedł był z pokłonem ręką ku wielkiej izbie wskazując, w której wieczerzę podano.

Uśmiechnął mu się książę i postąpił zaraz ku progowi, w izbie Henrykowej przez którą przechodził ledwie czas mając rzucić okiem na drogie pamiątki po bracie, o którym nigdy nie zapomniał. Owa stojąca zbroja Henrykowa, zawsze mu jakby żywy obraz jego stawiała przed oczy. Pamięć dopełniała wizerunku; płaszcz biały krzyżowca, który zbroję okrywał powiększał złudzenie. Pokluty on był strzałami, zapyłony i przypominał wyprawę z Niemcami i Ludwikiem francuzkim, na którą tak gorąco Bernard święty powoływał.

W izbie wielkiej cały dwór męzki był już zgromadzony, na czele stali opat Cystersów Lucynsz, miłego oblicza mnich, który z przybyłemi z Francyi braćmi właśnie się osiedlał nad Wartą, dalej czarno zarosły a chmurno patrzący scholastyk Lambert, który nauki miał więcej niż zdradzał, bo małomowny był; wreszcie za nimi nie wielkiego wzrostu, w sukience czarnej obcisłej;

skromny człeczek, na którego twarzy młodzieńczej w oczach mocno wypukłych, na czole szerokiem i wydatném błyszczał rozum przenikliwy i zapal nadzwyczajny. Był to ów Wincenty cudowny młodzian, który stał nieraz za całe *armarium* przy wieczerzy, bo do niego, jak do księgi się powoływano.

Oprócz podkomorzego Prandoty miał książę marszałka dworu Gwidona, cudzoziemca w rycerskich i domowych sprawach biegłego, a jako przyjaciel serca poufały stał najbliżej Goworek i Wichfried z nad Renn, u którego dziada na wygnaniu swém książę przebywał. Liczna drużyna, pulkownikowie, młodzież rycerska, ziemianie Sandomirscy, kapelan, kanclerz, izby zapelniali. Choć dzień powszedni był, ludno jakoś na zamku się poruszało.

Pachołęta już z misami szli ku stolowi, gdy inni dzbany z wodą, misy i ręczniki nieśli do umywania rąk. Opat Lucyusz stanąwszy w miejscu wskazaném przy księciu, przeżegnawszy się rozpoczął modlitwę.

Bez niej naówczas nikt nie spożywał. Dopiero gdy stół przeżegnawszy Opat dokończył błogosławieństwa, a goście mu Amen odpowiedzieli i przeżegnali się, każdy na ławie zajął miejsce swoje.

Po dwu i po trzech jadło z jednej misy, bo osobnych mis i półmisek dla biesiadników nie

dawano, noże i łyżki wszyscy nosili przy sobie, innych do jedzenia narzędzi nie potrzebowano. Kubki napelniali cześnicy. Strawa choć na książęcym stole, prosta była, składała ją zwierzyna pieczona, kasza, mleko, chleb, a za napój służyła woda, miód, piwo, dla dostojniejszych zaś wino, często korzeniami i miodem zaprawne.

Mnóstwo cudzoziemców, zwłaszcza duchownych z Franeyi i Włoch do nas przybywających, a do napoju tego nawykłych w domu, wczesnie do nas wino wprowadziło, na lepszych stołach było ono zwyczajnćm. Ziemianie jednak długo jeszcze potćm miodem i piwem po wsiach się raczyli. Od wieków umiano warzyć je doskonale, a na Pomorzu sławiły się gęste, czarne piwa, które długie lata w beczkach wytrzymywały. Gdańsk słynął niemi.

U księcia Kaźmierza choć dostatek był we wszystkim, nikt napoju nie nadużywał, a książę sam po smutnych doświadczeniach młodości bardzo z nim był ostrożnym. U stołu natychmiast rozmowa się zawiązała żywa bardzo o tćm co podróżni przybywający z zagranic do Krakowa, przynosili z sobą.

Opowiadano o pokucie jaką król Henryk miał u grobu kanonizowanego przez papieża Aleksandra, Tomasza świętego odbywać, o wyprawach do Włoch Rudobrodego i jak mu się tam niezawsze powodziło szczęśliwie, o powrocie czeskiego

księcia, który Cesarza opuściwszy na szwank go miał narazić, o wielkiej potędze kraju Wenetów, wypadkach na wschodzie i w Hiszpanii.

Więsci ztamtąd choć nierychło przychodziły do Polski, z ust do ust przez Niemcy tu płynąc, wyszpocone i przesadzone, wszakże coś zawsze prawdy w sobie mające. Książę Kaźmierz, który długo u Rudobrodego przebywał a miał czas mu się przypatrzeć zbliska, sławił rozum jego, potęgę i miłość sprawiedliwości, choć nie zaprzeczał, iż niekiedy srogim był i okrutnym, prawa przebaczenia odmawiając sobie i ściśle przestrzegając, aby się zakon spełniał.

W tych wiekach surowość nie dziwiła nikogo, bo łagodnością nie począć nie było podobna z ludźmi jeszcze twardemi, gwałtownych i nieobuzdanych namiętności.

Wkrótce w pośród rozmów tych, misy się wypróżniły i pacholeta je ze stołu zbierać poczęły, podano znowu wodę i ręczniki, odmówił Opat dziękczynną modlitwę, ale nikt nie wstał od stołu. Teraz dopiero zwawsza się zawiązała rozmowa o przedmiotach różnych, której książę Kaźmierz z ciekawością i upodobaniem przysłuchiwać się zaczął.

— Przewielebny ojcie — ozwał się czarno zarosły scholastyk Lambert do Opata Cystersów, z ukosa na księcia spojrzawszy, i jakby w zmowie z francuzem głos podnosząc — obiecywaliście

mi jakąś przedziwną piękność rzecz odczytać, którejby pewnie i dostojny pan nasz rad posłuchał. Jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, Claudjusza Maryusa Wiktora starego pisarza rozmowę z Opatem Salmonem o obyczajach owych wieków!

Opat nieco się zmieształ, a książę podchwycił z natarczywością.

— A! czytajcie, proszę!

— Rzecz to zadługa — odparł Opat — a i wieki dla których pisana była (V wiek) od nas odległe, choć to zawsze prawdą jest, bo się człowiek nie zmienia.

Słyszając o czytaniu młody Wincenty, na którego Opat spojrzał, miał się jakby do powstania z miejsca, Lucyusz mu dał znak, aby pozostał.

— Prawda, że list ów długi jest — przerwał Scholastyk — a no dajcie nam choć ono miejsce z niego, które napamięć umiecie. Radzi byśmy je posłyszeli.

W pogańskich pisarzach, których u nas wielu dla pięknego ich wielbi języka, tak zdrowych myśli nie znaleźć.

— Przewielebny ojcze — naglił Kaźmierz — nieodmawiajcie nam, powiedzcie, co zapamiętaliście. Choćbyśmy nie wszystko lub nie wszystkie zrozumieć mogli, coś zawsze na nasz pożytek zostanie.

Opat wahał się jeszcze.

— Uczyńcie nam tę łaskę — dodał Schola-

styk — książę nakarmił ciało, wy duchowi dajcie posiłek.

Z natężoną uwagą, wśród powszechnego milczenia słuchali wszyscy, a Opat zmuszony tak rozpoczął.

— Opuśćcie wstęp, idę do rzeczy; gdy Wiktor obyczajając ludzi swojego czasu malować poczynił. Były to czasy wojen, niepokoju, głodu i klęsk wielkich, ale nie tyle one ludziom, co ludzi sobie sami szkody przyczyniali. Więc Wiktor się odzywa:

„Ani wróg, ani głód srogi, ani choroby nie zmogły nas; czemeśmy byli, tém jesteśmy, a choć nas niebezpieczeństwa wypróbowały, lepszemiśmy się nie stali. Pielęgnujemy występki nasze a grzeszyć nie przestajemy. Nie dla nas świętego oprócz zysku, pocziwe to tylko, co korzystne, złemu imie dajemy dobrego, a skąpca mianujemy oszczędnym.“

Tu Scholastyk ręce podniósł do góry wołając:

— O święta prawda i dzisiaj! — Opat ciągnął dalej:

„Ci co wpośród jawnych występków, oczywistych zbrodni, nie potrafili ukryć szalbierstw swoich pod płaszczykiem cnoty, karmią rany swe mimo wiedzy, porwani, uniesieni, oślepieni światową mądrością, która nie zna prawdy. Oblęd zgubny wiedzie niektórą biedotę do poszukiwania przyczyn rzeczy; uczy się gwiazd biegu, chce

znać niebios kształty, przyczynę, dlaczego rzeki nie wysychają w długim biegu, i gdzie się kończą nieskończone morza. Radziłyby wiedzieć co Bóg wie jeden, a co dla wszystkich zakryte, w zaślepieniu swém mniemają, że to wiedzą.“

Tu Scholastyk przerwał Opatowi.

— Ale to miejsce, to, gdzie o niewiastach mowa!

Książę zarumienił się mimowoli, Lucyusz spuścił oczy i mówił dalej z pewnem wahaniem i jakby obawą.

— „Noc rosą zwilżona, dzień i światłość prędkiejby cieniami oblokła, o Salmonie, nimbym potrafił rozpatrzyć się w obyczajach płci tej, która z rozkazu Bożego żyje, pod męczyzny prawem, a nie grzeszy, o sromoto! nigdy bez winy naszej.

„Bo gdybyśmy tak skłonni nie byli, do podzielenia jej zdrożności, nie dopuścilibyśmy, aby żyły występkami naszymi, nie kupowałyby kosztem kilku ziemskich posiadłości sukni wyszywanych złotem, ani tkanin Serskich, ani kamieni drogich, które kupcy z zamorskich krain przynoszą, a za którymi tyle smutnych westchnień leci. My do tego jeszcze łączymy lekkomyślne troski. Jeżeli Lesbija chodzi obwieszana kamieniami przywoźnemi a drogiemi, jeżeli Passina cała promienieje pod świeżą purpurą, wnet inne tychże upominają się strojów. A że się uczą i starają one w coraz nową stawić postaci, okazując męczyz-

nom oblicza co chwila ułożone inaczej, toż nie mężczyzn wina? Czystemu ciału po co się zdały bielidla, barwiczki i tysiące trucizn barwy różnej? Piękna dusza, obyczaje święte czynią stała szczęśliwemi. Jeżeli tylko piękność nas ciągnie, lata nadchodzą, miłość ucieka, a pocziwość jedna nie starzeje...

„Jeżeli niewiasty czas na przechadzkach tracą, wydają uczty, tysiące szaleństw popelniają, plotą nie do rzeczy, a też nie nasza wina?“

Opat się zatrzymał, panowało milczenie.

Książę który z uwagą się przysłuchiwał — rzekł łagodnie.

— Nie spełna to obyczaje wieku i kraju naszego, myśmy może nie lepsi, ale niewiasty nasze do owych rzymskich nie są podobuc.

Scholastyk zlekka ręką po stole uderzył.

— Miłościwy książę — zawołał — chybaście Krakowa zapomnieli, a po dworach bogatych żupanów nie przypatrywali się ich obyczajom. Już może w szatach nie ma zbytku tyle, bo go u nas zaspokoić trudno, a co zepsucie i płochość większe jeszcze, choć się lada strzępkami i sprzążką ustroi.

Książę Kaźmierz jakby przedmiotu tego dotykać się wahał, zamilkł przysłuchując się tylko a nie mierzając do rozpraw. Opat też nieco skłopotany, rad był w inną stronę odwrócić uwagę. Scholastyk tylko uparcie trzymał się założenia swojego.

— Mało powiedział Wiktor ów — dodał gorąco — ba i zgrzeszył tём, że wszystko na męczyznę składa. Wszakże upadku Adamowego winną była niewiasta, a znana jest pewnie wszystkim historia świętego, którego imię Wiktora mi przywodzi na pamięć, Wiktoryna neapolitańczyka. Ten pędził żywot światobliwy na puszczy, w postach surowych, na modlitwie nieustającej. Stary zaprzysięgły wróg rodzaju ludzkiego, wedle natury swój złością ku niemu został zdjęty. Wziął więc na się postać młodej dziewczyny i szedł do pieczary pustelnika, udając jakoby zbłądziła. Poczęła jęczeć u drzwi — A! ja nieszczęśliwa, otom wśród lasu zablakała się w ciemnościach! Ratuj mnie, ktokolwiek tu mieszkasz! gdzie niema jeno puszcza i niebo. Oto nachodzą dziki warczące! puść mnie przez litość, odejdę o brzasku! Zlituj się, bądź miłościw, daj mi na noc schronienie. Niedźwiedzie ryczą koło mnie, wilków wycie słyszę. Ratuj, dopóki czas! Jeżeli ocaleję życie ci będę winna, a zginę toć przez ciebie!

Wiktoryna ulitowawszy się jęczeniu temu nareszcie drzwi jej otworzył, wprowadził dziewczynę posadził ją z jednej strony, a sam usiadł z drugiej opodal w kącie.

Nienapłynęła godzina, gdy owa dziewczyna kołysząc się i poruszając nogą dotknęła nią świętego — i zapaliła w nim żądzę straszną! ¹⁾

¹⁾ Bolland 8. Stycznia.

Niektórzy z dworzan siedzących za stołem pokryjomu z powieści téj śmieszki stroić zaczęli, młody Wincenty spuścił oczy, książę Kazmierz nie rzekł nic.

Zdaje się iż w końcu sam ksiądz Scholastyk postrzedz musiał iż tą budującą rozmową nie wielce się podobał księciu, który, przeciw zwyczajowi swemu, milczał.

Spytał więc Opata Lucyusza, czy ze sobą też nie przywiózł z Francyi pięknego poematu o którym zasłyszał, opisującego czyściec Ś. Patryka.

— I jam też o nim coś słyszał, — odezwał się książę, przerywając milczenie — nie znam go jeszcze.

— We Francyi czytałem go, — odparł Opat — powtórzyć jednak nie potrafię jak go Trubadurowie nasi ułożyli, chyba samą treść zapamiętam.

— Historia wiarogodna — dodał Scholastyk żywo — boć nieulega wątpliwości iż kilku już świątobliwym ludziom daném było oglądać czyściec i Raj nawet — i piekło samo, dla zbudowania i nawrócenia małowiernych.

— Tak też był szczęśliwym i ów rycerskiego zawołania mąż, anglik, o którym pieśń opiewa, imieniem Oweins. — rzekł Opat — Ten dla oczyszczenia się z grzechów swoich, pielgrzymkę do Czyśca przedsięwziął. Wiadomo jest iż na jeziorze Dungal, znajduje się pieczara, którą Patryk Święty, po długich postach i gorącej modlitwie,

skinieniem ręki otworzył. Tu Oweinsowi pobożni zakonnicy wnijscie do Czyśca wskazali.

Wszedłszy Oweins a kawał drogi przebywszy w ciemnościach, natrafił w istocie na miejsce w którym cierpieli ci co się oczyszczali i ci co na kaźń wickuistą skazani byli. Ale u wnijscia poczał go straszyć i odganiać Szatan, którego on nie uląkszy się, potrącany, wypychany, ciśnięty przez djablów, przeszedł przez te straszliwe miejsca męczarni. Tam widział winowajców ukrzyżowanych na ziemi, których węże opasywały i pożerały, innych nagich wystawionych na wichry północne, a nogami zanurzonych w nieugaszonych płomieniach; wplecionych w koła obracające się wiecznie, jęczących w jamach pełnych kruszczu roztopionego, miotanych burzą, tonących w rzekach w których szatani rozpalonemi widły ich trzymali.

W głębi tych przepaści widział studnią płomienistą, która dusze pochłaniała i wyrzucała.

Poznawał tu Oweins wielu swych towarzyszków broni. Odwaga go opuszczała gdy cały drżący dopadł wężkiej kładki zawieszonęj nad przepaścią. Ale zaledwie dotknął jej nogą aliści deska się rozszerzyła i powiodła go aż do wrót, które gdy się przed nim rozwarły, znalazł się w ogrodzie rozkosznym. Był to Eden, któryśmy przez grzechy pierwszych rodziców utracili, dzisiaj mieszkanie sprawiedliwych, nim się ztąd do niebios dostaną. Wszyscy

oni wyszli na jego spotkanie i zawiedli na miejsce, z którego mógł dojrzeć niebiosą a Chwałę Pańską. Duch Święty zstąpił na nich z wysokości i Oweins powrócił na ziemię, aby opowiadał widzenie swoje.

— I Święty Alberik miał podobne — nieśmiało wtrącił młody Wincenty — Zdarzyło mi się czytać o tém u ojców Benedyktynów, którzy to przywieźli do nas z Monte Cassino.

Opat głową potwierdził, a książę uśmiechnął mu się, rad z uczoności wychowanka swojego.

Zaczęła się rozprawa żywsza o życiu doczesnem i świecie przyszłym; poparta urywkami starożytnych i chrześcijańskich pisarzy, do której oba duchowni przyczyniali opowieści, jakie naówczas sobie z ust do ust podawano.

Opat Lucyusz, gdy o nagrodach za dobre uczynki mowa była, przywiódł legendę o Ś. Marcinie, który płaszcz ubogiemu oddawszy, ujrzał we śnie Chrystusa weń przyodzianego.

Książę słuchając dopiero się ożywiać począł, lubując w powieściach tych, i dziękował wielce Opatowi a Scholastykowi, iż tyle pięknych rzeczy od nich się mógł nauczyć.

— Miły Boże — odezwał się wzdychając — jakżeście wy szczęśliwi, wy, którzy macie życie całe na napawanie się mądrością, gdy my jej kradzione tylko od płochych zajęć chwile, oddać możemy.

Wieczór późny już był, nikomu jednak na sen się nie brało, a sam książę najmniej o nim myślał.

Z tych opowiadań gdy do historyi dawniej przyszło, a Opat o Francyi mówić począł kroniki swe starc przywołując, westchnął Kaźmierz i bolał nad tém że nie spisywano ich w kraju jego, który też miał starożytne swe dzieje, ale na ustach ludzi, w podaniach się tylko błakające.

— Oto dla was zadanie — odezwał się do skromnego kleryka — gdy da Bóg, czas po temu mieć będziecie, abyście nam też dzieje nasze spisali.

Oczy spuścił skromnie Wincenty.

— Nie na moje to siły — rzekł cicho.

— Zatem sił przybierajcie! — przerwał książę — bo ja to kiedyś na wasze włożę ramiona i będziecie musieli spisać co nie ujęte pismem marnieby przepadać musiało.

Duchowni oba skłonili głowami potakując, gdy we drzwiach ukazał się Prandota, który na chwilę się był oddalił. Dał znak jakiś księciu, a ten wyrozumiawszy wstał Kaźmierz i choć nie nadeszła była zwykła rozstania godzina, niespokojnie począł żegnać swych gości.

W tejże chwili we zbroi rycerskiej i płaszczu, hełm zdejmując z głowy, w progu się ukazał średnich lat mężczyzna.

II.

Przybyły był Jaksą z Miechowa, miłym niegdys towarzyszem księcia Henryka na wyprawie krzyżowej do Jerozolimy, Kaźmierz go i sam przez się miłował wielce, i dla miłości brata, któremu on nkochany był, przywiązał się bardzo jeszcze do niego. Jaksą też na miłość zasługiwał rycerskimi przymioty, pobożnością i przywiązaniem a wiernością niezłomną dla książąt obu.

Ten to był Jaksą, który jeszcze za żywota Kędzierzawego, wraz ze Swiatosławem i innemi ziemianami chciał księcia Kaźmierza na Kraków prowadzić, czemu się on naówczas oparł, nie chcąc władzy okupionej przemieszczeniem przeciw bratu. Napróżno nalegali władcy, na siebie biorąc winę, gwałt mu zadać chcąc, Kaźmierz odepchnął pokuszenie.

Jaksa od początku panowania stronił od Mieszka, stojąc na czele tych, którzy marzyli zaw sze iż sprawiedliwego, rozumnego, dobrego pana swego na stolicy głównej osadzą.

Zjeżdżał on często do Sandomirza, chociaż mu o sprawie téj mówić nie było wolno, przez cześć i miłość wielką dla księcia, chętnie mu dworując.

Ujrawszy go o tak późnej godzinie, zdziwił się nieco Kaźmierz. Wiedział dobrze, iż po nocy nie przybył by nadaremnie na zamek i rozmowy się nie dopominał.

— Jakso mój, — odezwał się gdy się sami znaleźli w komnacie księcia — z czém że ty do mnie tak późno, złem czy dobrem, boć nie z próżnemi rękami? Widzę to z ciebie. Mów śmiało, wiesz iż złe w pokorze przyjmę z ręki pańskiej, a dobre sercem wdzięcznem.

Spojrzał mu bystro w oczy, ale ze wzroku Jaksy nic nie mógł wyczytać.

Nie stary jeszcze, Jaksa był już życiem dobrze skolatany. Po śmierci żony wielce ukochanej, córki Petrka wrocławskiego, puścił się był do ziemi świętej, gdzie przy księciu Henryku wiele złego zażył i ze smutkiem wrócili oba, bo krzyżowa wyprawa z winy Ludwika francuzkiego się nie powiodła. Wojny, smutki, tęsknoty uczyniły z żywego niegdyś, niepohamowanej ruchliwości rycerza, powolnego dziś i zasepionego

męża, na którego czole wiecznie czarne jakieś błdziły chmury.

Zahartowany, twardy Jaksa mało mówny był, a mniój jeszcze po sobie okazywał twarzą, która zawsze jedną się wydawała i jakby zastygłą.

— Nie mylisz się miłościwy książę, — odpowiedział przybyły po namyśle niejakiem — nie darmo was niepokoję. Musiałem przybyć, gniewajcie się lub przebaczcie, co na sercu mam, wypowiedzieć muszę.

Książę Kaźmierz cały się obrócił ku niemu.

— Stara to piosenka, — mówił Jaksa — Krakowianie wszyscy wołają ku wam... ratunku! Mieszek ze swym Kietliczem do rozpacz ich już przywiedli. Będziecie musielic się tam, gdzie ja was dawno, dawno posadzić chciałem. Wola w tém jest Boża!

Kaźmierz, który był usiadł na chwilę, wstał żywo, ręce składając jak do modlitwy.

— Człowiecze! — zawołał gorąco — i ty się zowiesz przyjacielem moim? ty mówisz że pragniesz dobra mojego? Jakso miły! Tyż to masz mnie wieść ku temu zuowu, abym ja brata wyganiał, władzę sobie przywłaszczał, krew przelewał!!

— Miłościwy książę, — przerwał Jaksa, — lżisiał nie o was idzie, ale o ziemię te wszystkie, idzie nawet o żywot brata twego, bo nie

spotkali go wygnanie, gorszy los zgotowany mu być może. Nie — nie o was już idzie.

— A mnie chcecie dać na stracenie — odparł Kaźmierz — tak jako mnie już raz dano zakładnikiem Cesarzowi, dla ocalenia ziem tych. Nie bolałem naówczas, dziś ofiary téj nie mogę uczynić. Chcecie mi odebrać jedyny skarb, sumienie czyste, spokój najdroższy, szczęście moje, Jakso!

— Miłościwy książę, — odezwał się Jaksa — powtórzę iż wola w tém Boża. Będziecie nie Sandomierzowi i Lublinowi, ale Krakowu, Szląskowi, a dali Bóg całym, wszystkim ziemiom ojca waszego panować. Królem będziecie potężnym i wielkim.

— A! na Boga! — przerwał Kaźmierz, — alboż myślisz iż wielkość ta jest czém, za czemby się ubiegać warto było? Cóż ona? Pochłonięli tu ziemie wszystkie, zawsze od Rudobrodego słabszym będę a i nad niego silniejsi są. Co mi po wielkości téj, gdy na małym ziemi kawałku mogę być szczęśliwszym i lepszym.

Jaksa zaciął usta trochę.

— Miłościwy panie, — rzekł — nie wątpicie iż kocham was, a no dzisiaj powiem szczerze, iż ziemie te, którój ojczykami oba jesteśmy, jeszcze mocniej niż was miłuję i ich szczęścia pragnę, a wy dla nich, wy jesteście potrzebni. Wy! tylko wy!

— Jakso! — zawołał Kaźmierz z wybuchem

wielkim — przypomnij sobie nalegania wasze dawne. Czém mnie naówczas znaleźliście, tém i dziś będę, nie zmienilem się.

— Ale czasy się zmieniły — odparł Jaksa. — Naówczas myśmy wytrwać mogli, dziś już nie. Nie zechcecie wy, wezmą innego księcia, Mieszka nie zniosą.

Kazimierz pobladł.

— Jakso mój, — rzekł z wyrazem głębokiego smutku — nie upłynąłby rok po wyniesieniu mojem, a ten sam los co dziś jego, mnie by spotkał. Powiedzą mi, gdy się im sprzeciwię i uprzykrzę, żebym precz szedł. Ziemianie sami chcą panować, słuchać nie radzi nikogo. Wygnali Władysława, burzyli się przeciw Bolesławowi, teraz Mieszka się radzi pozbyć, jakaż nadzieja dla mnie?

To mówiąc zalał rękę.

— Miłościwy książę, — przerwał zbliżając się Jaksa. — Ty nam panować będziesz spokojnie, my cię jak ojca strzedz, bronić, szanować będziemy i nie tylko tobie, ale krwi twojej wierni być przysiegamy, boś ty innym od braci twój, miłujesz sprawiedliwość! nie pragniesz władzy tylko dla dobra, gdy inni chcą dla krzywdy i ucisku.

My tylko praw naszych bronimy, które nam odbierają, karząc bez sądu, chwytając bez winy. Ziemianie zresztą nie sami burzą się i narzekają,

spytajcie się ojców duchownych, którzy w tém królestwie i na całej ziemi stróżami są praw bożkich i ludzkich, azali oni radzi są z Mieszka? który własności ich ani klasztornej nie szanuje, wydając ją na łup swoim urzędnikom.

Książę w czasie gdy Jaksa mówił, stał zamyślony i smutny, przystąpił potem doń i kładąc ręce na ramionach, począł głosem łagodnym.

— Jakso mój! nie bądź knsicielem dla mnie. Słodkie są słowa twe, ale serce moje odepchnąć je musi. Jam rad z tego co mam, przestaję na tej dzielnicy, więcej nie chcę nic, ani panowania, ani potęgi i blasku. Mam was kilku wiernych druhów moich, mam chleb z łaski Bożej, którym się jeszcze z biedniejszymi podzielić mogę, mam czém granice obronić od napaści; lubię tę moją ciszę i życie swobodne, dajcie mi je spędzić tu, gdzie mam wspomnienia matki i kochanego brata!

Nie! niechcę waszego Krakowa, któryby mi przyniósł tylko troski i niepokoje. Oblała go krew biskupa Stanisława, drugiego Tomasza Kantuaryjskiego, tkwi na nim wspomnienie Szczodrego. Ziemianie krakowscy niechętnie znoszą książąt, Mieszko silniejszy jest. Idźcie doń, jego proście, oddali tych co wam ciążą.

Mnie zostawcie, proszę, na Sandomirzu moim, Jakso mój, nie żądaj tego po mnie.

Jaksa spuścił głowę smutnie.

— Raz już prośbę odrzuciliście, odrzucacie ją powtórnie, ale przyjdą do was tacy, których naleganiom się nie oprzecie.

Księżę począł się przechadzać niespokojny.

— O druhu mój, — zawołał — zakląłbym cię na miłość dla mnie, gdybyś mi nie powiedział, że dobro tych ziem więcej kochasz nademnie. Ale ja ją też miłuję i przez tę miłość pannaować niechcę, bo się nie czuję na siłach.

Wierzaj ty mnie, Bóg stworzył Kaźmierza nie na władzę, jakim ty go mieć chcesz, ale na spokojnego sługę swojego, który słucha słowa Bożego, mądrości uczyć się pragnie i żyć w ciszy a na uboczu.

Zostawcie mnie na Sandomirzu chcecieli szczęścia mojego!

Jaksa poruszony mocno, stał smutny i milczący. Niewiedział już co miał dodać aby księcia skłonić do swęj myśli, gdy Kaźmierz wyjrzał przez okno dotąd otwarte ku wypogodzonemu niebu, którego gwiazdy późną wskazywały nocy godzinę.

— Idź, spocznij, — odezwał się cicho — patrz, noc już jest, a i mnie czas do spoczynku.

To mówiąc, ujął go za ręce obie i w schyłąną głowę pocałował szepecząc.

— Mój Jakso, bądź mi druhem prawdziwym nie wrogiem! Nie wiesz jak mnie boli sama ta myśl, że mógłbym wystąpić przeciw bratu.

Jaksa już nie odpowiedział, skłonił się i po woli przez izbę ks. Henryka wyszedł do wielkiej. która już stała pusta. Dwóch czy trzech sług wynosiło tylko resztę zastawy z wieczerzy, próżne dzbany i kubki. Cisza panowała na zamku. W ostatniej izbie komornicy książęcy zobaczywszy Jakse wychodzącego, ruszyli wnet, aby mu izbę jego pokazać i ehłopca do niej dać z pochodnią. Poszedł za nim Jaksa tam, gdzie nań jego ludzie czekali i nie bawiąc, pomodliwszy się, położył na spoczynek.

Gdy dzwony kościelne zbudziły go na jutrzeń się odzywając, a Jaksa co rychlęj wstał i odziewać się począł, poranek był dziwnie piękny i pogodny, ale spojrzenie na niebo, tych co się na niem znali, na dzień trwałej pogody nie zapowiadało. Zbyt wczesnie się rozjaśniło, słońce weszło bez chmurki, ciepło było wielkie, wiatr wiał z zachodu.

Wahał się jeszcze Jaksa czy iść do kościoła na mszę ranną, czy do księcia, aby mu towarzyszyć na nabożeństwo, którego Kaźmierz codziennie słuchał, gdy pacholę mu z nie-nacka oznajmiło, że księcia na zamku już nie było.

Zdziwiony wielce Jaksa, podniósł oczy pytając.

— A gdzież jest książę!

— Jak świt ruszył z zamku, z małą garstką ludzi, mówią że pewnie na łowy.

Chłopak się jakoś uśmiechnął dwuznacznie.

Jaksę to tém mocniej dotknęło, że ksiązę mu wczoraj nie nic wspominał o łowach, a wyjazd ten nagły był jakby ucieczką przed nowemi naleganiami. Słudze jednak nie chcąc okazać iż go ta wiadomość obeszła, nie rzekłszy nic, wyszedł Jaksę w podwórze, nie pewien co poczuć.

Wiedział on jak inni, że ksiązę na tych łowach, które żadnej nie przynosiły zdobyczy, bawił czasem tygodnie całe. Miał li czekać na powrót czy jechać precz? Znaczyłoż to, że ksiązę chciał się pozbyć i unikać?

Tak dumiał, gdy na przeciw siebie ujrzał idącego powiernika i najbliższego przyjacie Kaźmierzowego, którego wczoraj na dworze nie spotkał.

Dawny ten druh i wierny sługa księcia, który najtajniejszych myśli jego był powiernikiem, latami mu prawie równy, zwał się Goworkiem, a był Mazurem z pod Płocka, kędy posiadłości znaczne trzymał.

Nie opuszczał on nigdy osoby i dworu Kaźmierza, którego w Sandomirzu w rządach i sądach zastępował, wszystko niemal mając w rękach swych, skarbiee, ludzi i żołnierza.

Powiernik księcia, ukochany mu nie mógł być tylko po sereu jego mężem sprawiedliwym i dobrym. Takim też był Goworek, oprócz innych wielu przymiotów mając i ten, że niespracowa-

nym był, rozumu bystrego a obyczajów ludzi przywieczujących.

Mężczyzna był średniego wzrostu, rumiany, hoły, już nieco otyły, z bródką płową i wąsem do góry podkręconym, z wyrazem twarzy i oczów niebieskich, miłym a pociągającym.

Będąc zmuszonym od rana za księcia gości przyjmować, słuchać przychodzących z żałobą, porządek na zamku i w załodze utrzymywać, odziany już był jak przystało, przy mieczu, w kołpaku, jakby w gotowości być musiał do wyjazdu każdego czasu.

Jak księżę sam, lubili Goworka wszysej, nawet księżna Helena, która Rusinów swych nad tutejszych ludzi przekładała, miała w nim ufność wielką.

Goworek, gdy księcia nie było, namiestnikiem się jego stawał, a co on rzekł to się spełniało.

Z Jaksą byli zdawna dobrze i poufale, więc gdy go zobaczył, ręce wyciągnął ku niemu i na spotkanie pośpieszył.

Zeszli się sam na sam w podsieni.

— Cóż to? księcia już nie ma? — spytał Jakska. — Wczoraj widziałem go późną porą, słowa mi nie rzekł o żadnym wyjeździe? ni o łowach? Cóż się stało?

Goworek dawszy mu się wygadać, odparł zwolna głosem spokojnym.

— Nie się nie stało! ksiązę zapragnął lasów i rozrywki, kazał sobie do dnia konia podać.

— Widzieliście się z nim na wyjeździe?

— Ksiązę mnie kazał wołać, jużem nie spał — rzekł namiestnik.

— Nie wspomniał wam nic o mnie, przykazania jakiego nie dał?

— Sądzę że was miał na myśli, — odparł Goworek — gdy mi mówił że zapewne łowy długo nie potrwać, ale kresu im zamierzyć trudno. Bywa różnie.

Zasepił się Jaksa trochę, Gaworek śledził wyraz jego twarzy.

— Nie niekajcie dla tego do Miechowa — rzekł — tu wam przecie nudno nie będzie. Jest ludzi dużo, pomogą wam czas przepędzić. Ksiązę może rychlej powrócić niż się spodziewamy.

— Albo później niż sądzimy — dodał Jaksa ze smutną żartobliwością jakąś. — Przybyłem nie z pokłonem, ale z prośbą, odprawym nie dostał — i —

Ręce niecierpliwie rozwarł, okazując niepokój i frasunek.

Goworek czy nie mógł czy nie chciał mówić, uśmiechnął się tylko łagodnie i miał Jakse pociągnąć z sobą do dworu, gdy z dziedzińca ujrzeli zbliżającą się postać obcą, która oczy ich zwróciła na siebie.

Był to suchy, kościsty, chudy, trochę na je-

dnę stronę przegięty mężczyzna, blady, lat średnich, z głową śpiczastą, z twarzą wygoloną, w sukni jakby kleszėj, w czapce czarnej wysockiej na kształt zawoju, dziwnego kształtu, pasem skórzanym nisko podpasany. Twarz z małemi oczęty biegającemi, roztropna ale odstręczająca, krzywiła mu się, marszczyła, wygładzał ją też ręką nieustannie i jakby osłonić pragnął.

Jaksa poznał w nim zaraz sędziego czyli podsędziego głównego krakowskiego, Gabryka Mierzwę, a i Goworek domyśleć się musiał co zaez był, i że z Krakowa przybywał, bo natychmiast jako ku gościowi, wyszedł przeciw niemu.

Mierzwa szedł bacznie się po zamku rozglądając, z twarzą posępną, zwolna krocząc, a zobaczywszy Goworka, zdala już witając go począł, zmuszając się do jakiegoś niezdarnego uśmiechu.

— Wasza miłość jesteście tu na zamku — począł Mierzwa głosikiem słodkim.

— Jestem sługą księcia Kaźmierza, — przerwał Goworek — i podczas tu gospodarzę, gdy miłościwego pana niema.

— A! a! — mruknął Mierzwa, gładząc się po brodzie, — a ja jestem podsędią krakowskim, służeczką księcia Mieszka, od którego przynoszę pokłon i posłanie do brata.

— Książę właśnie dziś do dnia wyruszył na łowy — rzekł Goworek zimno.

Jaksa nieodechodząc stał nieco z boku, przysłuchując się rozmowie.

— To mi już we wrotach zwiastowano — odczuwał się Mierzwa wdychając. — Prawdziwie nie-szczęście dla mnie, bo poselstwo pilne, a jam też człeczce od roboty wzięte, czas mój drogi, służba nagli.

— Wszak ci by poselstwo albo księżnie He-lenie lub mnie zwierzyć można — odczuwał się namiestnik.

Mierzwa z twarzy uczynił osobliwie wykrzywioną maskę — zmilezał.

— A kiedyż książę powróci? — zapytał.

— O tém wiedzieć trudno — odczuwał się namiestnik. — Czasem powraca tegoż wieczora, niekiedy ledwie po tygodniu.

Usłyszawszy to podsędzia, wykrzywił się okropnie jeszcze i spuściwszy ręce, długie kościste palce wyłamywać począł z niecierpliwości.

— A nie posłać że by za księciem? — prze-bąknął — boć poselstwo od pana mojego najwyższego księcia nie lada czém jest, a choćby dla niego i z łowów powracać przyszło? he?

— Któż wie dokąd się udał książę? — odparł Goworek obojętnie.

— Po lesie bo szukać trudno — dolożył Jaksa, którego głos posłyszawszy Mierzwa, począł mu się pilno przypatrywać.

Znać że go sobie musiał przypomnieć, gdyż

czapką mu się skłonił pięknie i dla niego nawet twarz rozchmurzył trochę.

Jaksa mało co na to powitanie odpowiedział.

— Jeżeli mnie oczy moje nie zwodzą — odezwał się nadzwyczaj osłodzonym głosem, pokornie Mierzwa — wszak szczęście mam oglądać rycerza, którego stopy ziemi świętej dotykały, miłościwego pana Jakśę z Miechowa.

Jaksa spokojnie głową potwierdził, a Mierzwa raz jeszcze poklon mu oddał.

— I wy też, miłościwy panie, nie zastaliście księcia Kaźmierza! Co to za nieszczęście! Pan mój, który go tak kocha stęskniony jest za nim, radby go u siebie gościem miał. Zamek nasz krakowski rzadko go ogląda. Rzekł więc do mnie, nie doczekam się najmilszego brata mojego, jedźcie wy, powiedźcie mu że mi tu pożądanym jest i potrzebny, niechaj mnie rychło nawiedzi.

Jaksa nieznacznie ramionami poruszył, a Goworek wnet dodał.

— Jeśli to wasze poselstwo całe, my je wierne do uszu pańskich podamy. Wam z obowiązku sędziowskiego gdyby pilno było, może byście też chcieli księżnic Helenie się stawić i tój to zlecić!

Mierzwa zakłopotany wciąż ręką twarz wyglądał, jakby się namyślał co ma poczynąć.

— Pewnie, pewnie — zamruczał, — uderzę ziołem przed księżną, lecz nie godzi się bym choć

dzień jeden nie czekał na księcia. Sam też do konia nie nawykły, rad spoczną.

— Na obiad więc do stołowej izby proszę — odezwał się Goworek, — bo oto czas obiedni przychodzi a nasz dwór cały ciągnie.

Jakoż w podwórzku okazali się Opat Lucinsz, Scholastyk Lambert, młody Wincenty, a z innych stron starszyzna dworowa, urzędnicy, komornicy i służba.

Goworek ręką wskazywał drogę, ale Mierzwa duchownych zobaczywszy, natychmiast się ku nim zwrócił z pokorą i jak do swoich przybliżył, Opata witając łaciną i uśmiechem.

O. Lucjusz, który go nie znał i za duchownego poczytał, powitanie oddał uprzejmie, gdy Scholastyk zbył go dosyć sucho i krótko.

Mierzwa ożywił się natychmiast, stał nad wyraz miłym, pokornym, zalecającym, poczynając od tego, że Cysterską suknię zobaczywszy, wnet w pochwały zakonu Św. Bernarda uderzył.

— Szczęśliwym się nazwać mogę — rzekł, — iż jednego z dostojnych synów czczonego przezemnie najwyżej ojca Bernharda, oglądać i poznać mogę. Dzień to *albo notanda lapillo*. Niesiecie na naszą ziemię przykład świętobliwości, światło, opiekę Bożą, która za sobą cnoty wasze ciągną.

To mówiąc z przesadzonym zapalem, złożył ręce i oczy podniósł ku niebu, Opat popatrzył na

nieznanego sobie człeka i przyjął z pewną oględnością ten objaw uwielbienia dla zakonu.

— Daj Boże, — odezwał się skromnie, — abyśmy w ślady ojca naszego iść potrafili i gościnność tej ziemi wypłacili modlitwą i pracą.

Rozmawiając tak szli ku izbie zamkowej, do której i Goworek z Jaksą podążali.

Tu Opat odmówił modlitwę zwyczajną i wszyscy około stołu zasiadać zaczęli. Mierzwie jako posłańcowi księcia Mieczysława pocztę dano miejsce przy Opacie, co niemię mu było, bo głos zaraz zabrawszy, nader uczenie, wytwornie, z pokorą i słodyczą popisywać się zaczął przed sąsiadem z prawniczą i biblijną erudycją swoją.

Scholastyk Lambert, znając go dobrze z Krakowa milczał, spoglądając nań z ukosa, przybierając wyraz twarzy pogardliwy i niechętny. Nie odzywał się, ale milczenie jego było pełne znaczenia.

Mierzwa po kilkakroć próbował go wyzwać na słowo, za każdą razą Scholastyk poruszał ramionami i do misy się zwracał, lekceważąc te zaloty.

Ktobykolwiek nie znał podsędziego krakowskiego, a właśnie Opat Lucjusz był w tém położeniu, każdego by zwiódł postawą pełną dobroduszości i pokory. Cysters słuchał go z zajęciem, dziwując się wielkiej uczoności, łatwości mowy i bystrzej logice.

Rozmowa zwróciła się do kraju, obyczajów jego, duchowieństwa w ogóle, a Mierzwa wiedząc po troszę, iż Cysterski zakon, który powstał z lędzwi Benedyktyńskiego, choć był jego dziecięciem, w zapasach o lepszą z Benedyktynami walczył, zręcznie czarnym synom Świętego Benedykta łatki przypinać począł, sławiąc reformę Ś. Bernarda i cnoty uczniów jego.

Opat Lucjusz uczuł niewłaściwość tego pochlebstwa, wziąć się nie dał na nie i odparł skromnie, pochwał nie przyjmując kosztem współzawodników okupionych.

Prawdą było, że nowy zakon Cystersów z nadzwyczajną rozszerzającą się szybkością po wszystkich krajach, odznaczał się ściślejszą regułą, ostreimi przepisami i obawiając rozprzężenia węzłów karności, wiązał wszystkie nowo powstające klasztory z pierwotnem nicią nierozrwaną w jedną spójną całość, tak aby wszystkie nad sobą czuwały.

Mierzwa nadzwyczajne uwielbienie dla nowego wyznając zakonu (którego i ks. Mieczysław był opiekunem) nicustannie potraçał o Benedyktynów z przekazem, aż w końcu Opat Lucjusz, aby temu koniec położyć, odezwał się.

— Miły bracie, jednakże gdyby nie Benedykt i Bernharda by nie było.

Tak trochę zbity z tropu zbytich pochlebstw, zwłaszcza gdy inni goście gorący temu słowu po-

klask dali; Mierzwa stał się ostrożniejszym. Zwrócił się ku pismom założyciela zakonu, dla których z nadzwyczajnym się oświadczył uwielbieniem, w czym mu nikt nie przeczył.

Chcąc jednak odplącić Opatowi jego przyczynę przebaknął złośliwie, że Ś. Bernhard nim się stał poetą religijnym, pono też światowe piosenki miłosne, w mowie pospolitą pisywał.

— Mój bracie, — odparł Opat — tém większa mu należy cześć iż się może nazwać owieczką ową zbłąkaną, którą Chrystus jako najdroższą opowiada.

Młody Wincenty, chcąc téż zatrzeć wrażenie przyczynki podsędnego, w uniesieniu począł odmawiać półgłosem sekwencję o Narodzeniu pańskim Ś. Bernarda. Wnet uciszyło się do koła stołu, a młody ksiądz śpiewnym głosem zadeklamował.

— „Radujcie się wiernych chóry, alleluja.

Z czystej dziewicy łoża, o cudo, król królów wychodzi.

Anioł Rady z dziewicy się narodził. Słońce z gwiazdy wystąpiło.

Słońce co nie zachodzi, gwiazda wiecznie jasna, zawsze błyszcząca.

Jak gwiazda promień wydaje, tak dziewica syna, jak ona wdzięcznego.

Promień nie zaciemnił gwiazdy, syn nie pokalał matki.

Cedr wzniosły Libanu w dolinie naszej stał się byzopeni i t. d.“

W téj chwili stół jakby kościołem się stał. Opat ręce złożył słuchając i lzy miał na oczach, Mierzwa też źrenice wywracał ku niebu, dając znaki przejęcia i zachwytu.

A że obiadowanie raune się skończyło, wstał zaraz Lucjusz, gdy Wincenty dokończył, i dziękczynną odmówił modlitwę.

Mierzwa byłby może Lucjuszowi towarzyszył. chcąc mu dworować i zamiar mając z nieznajomego wyciągnąć coś, gdy Goworek odwołał go, zapraszając z sobą do księżnej Heleny.

Wezwaniu temu odmówić nie było można, szli więc podsieniami, które wiodły do drugiej zamku polowy zajmowanej przez księżną i niewiasty.

Tu dojrzeć już było można nieco rusińskiego obyczaju i w stroju służebnic Belżanek i w urządzeniu izb, które księżna zajmowała. Wspaniałe były a zanieczysto od reszty dworu, jakby klasztor oddzielone. W komnacie księżnej Heleny pełno było obrazów złocistych z surowemi obliczami, przed którymi lampy gorzały; kobierce wschodnie okrywały podłogi i ściany.

Sama ona z pierworodnym swym synkiem, siedmioletnim Bolesławem, który stał przy matce, siedziała oczekując, nie mając przy sobie nikogo oprócz starszej niewiasty dla posługi, która zdala u drzwi się trzymała.

Była księżna Helena, choć młodą jeszcze nieco już zbytniej tuszy, białej pleci, oczu jasnych, twarzy choć nie pięknej, miłej i rysów regularnych. Tylko wyraz jej niespokojny i jakby strwożony ciągle, wdzięk jej odbierał. Zdawała się czegoś ciągle obawiać, a tego co czynić miała niepewną.

Zresztą powagę w niej wielką i w obejściu się majestat pański czuć było. Strój książęcy, któremu łańcuchów, naszyjników, pierścieni i ozdób z drogich kamieni nie brakło, dodawał pani świetności. Nie dla zalotności żadnej, bo tej w lieu i wyrazie twarzy skromnym a wstydlivym śladu nie było żadnego, przybierała się tak bogato księżna Helena, ale panu swemu i dostojństwu chcąc cześć uczynić.

Gdy Goworek Mierzwę w pół zgiętego pokornie wprowadził do komnaty, księżna mu się przybliżyć kazala i białą rączkę okrytą pierścieniami dała do pocałowania.

Począł podsędzia poselstwo swe od tego, iż książę Mieszko z miłości nadzwyczajnej ku bratu, którego był niegdy opiekunem i jakby ojcem przybranym, pożądał go widzieć w Krakowie, słał mu pozdrowienia i prośby, aby go co najrychlej odwiedził.

Księżna Helena słuchala z dobrą wiarą, dosyć rada i dziękując odpowiedziała że gdy pan a mał-

żonek jój powróci, pewnie na to wezwanie pośpieszy.

Bolał tedy Mierzwa iż go nie zastał, na co księżna odpowiedziała tylko głowy skinieniem.

Dalój już i mówić nie było o czém, Mierzwa jeszcze do synka książęcego słodką mowę obrócił, życząc mu wszelkiego od Boga błogosławieństwa, a za gościnę dziękując.

Księżna Helena była małomówną, zbywała go już pół słowy, będąc synkiem więcej zajęta, i w końcu Goworek dał znak, iż czas wychodzić było, a Mierzwa znowu rękę księżny ucałowawszy miał się wycofać. Chciał jednak spróbować, ażali nieopatrzną niewiastę na słówko nie wyciągnie i wyrwał się z tém, czy by mu radziła oczekiwać na księcia i jak on prędko mógł powrócić??

Księżna zarumieniała się, zakłopotana, spojrzała na Goworka i przebaknęła nicśmiało, że o powrocie nic wiedzieć nie może, a jeżeli czekać zechce, rada mu będzie. — Tak tedy i tu Mierzwa odszedł z niczém, a że dnia dużo zostawało, nie bardzo wiedział jak i gdzie się obrócić.

W niepewności był wielkiej co pocznie, poleciono mu bowiem Kaźnierza przywieść z sobą, a tu składało się tak wszystko, iż czasu przychodziło zmarnować wiele, a skutku mało się było można spodziewać. Chciał siedzieć. Mierzwa ażeby wymową swą księcia do po

dróży skłonić, a niecierpliwił się jak długo trwać może pobyt na zamku, gdzie ani w kości grać, ani się upić wypadało, ani było do kogo zalecać. Szpiegostwem chyba mógł czas zająć.

W milczeniu wyszli z Goworkiem w dziedzińce, namiestnika wnet gdzieindziej odwołano, powlókł się więc skwaszony i fraszliwy Mierzwa do izby, która dlań była przeznaczona.

Szczęściem okna jój wychodziły w podwórcę zamkowe i ztąd cały ruch ich widać było. Mierzwa zasiadł przypatrując się tём pilnić, iż nadzwyczajne jakieś spostrzegł krzątanie się.

W istocie ludzi było różnych wiele, a ci na podróźnych i zdala przybywających wyglądali.

Kilku poważnych ziemian wjechało z pocztami na zamek, zdawało się rozpytywać, naradzać, jedni z nich zostawali, drudzy precz pośpiesznie odjeżdżali. Goworek z jednemi rozmawiał żywo, z drugimi Jaksa tajemniczo się naradzał.

Nie zdało się podsędzemu, aby to miał być zwykły stan zamku Sandomirskiego, znanego ze spokoju i ciszy.

Wydało mu się też, iż między przybyłemi gośćmi widział jakieś krakowskie, znane twarze. Zdziwilo go i to, że po rozmowie z Goworkiem, kilku niespokojnie ku oknu jego spojrzało, od którego się cofnął — wszyscy zaś rychło rozjeżdżać się zaczęli.

Rozmowy w podwórcu choć tuż u okien, tak

były cicho prowadzone, że Mierzwa słowa z nich pochwycić nie mógł. Sam tedy z ruchu tego nie nie mogąc pewnego wywnioskować, musiał do pomocy wezwać sługę, którego na obraz i podobieństwo swe wykształcił. Chłopak, czysto krakowskie dziecko uliczne, zwał się Pawek, a wybrany był z tych żaków, co od domu do domu chodząc i żywiąc się o łaskawym chlebie do szkoły biskupiej chodzili. Sprytny był jak ogień, a że go pan do różnych posług używał, zepsuty i przebiegły jak on. Niewzbudzał podejrzania, bo niepocześnie wyglądał, wszędzie go więc bezpiecznie posłać było można z uszami po język.

W Krakowie samym już był Pawek zaprawiony do tych usług, umiał się podkradać zręcznie, gdy było potrzeba, udawać głuptaszką, a pochwycić zawsze słówko jakie.

Mrugnął nań Mierzwa, poszeptał mu coś i Pawek wnet się znalazł w podwórku, wsunął pomiędzy konie, nieobawiając się aby go który poczęstował nogą, wśliznął się między ludzi, tu przysiadł, tam podlaźł, przerznął dziedziniec w różnych kierunkach i w niespełna godzinę powrócił do pana.

Wiedział on już, iż ziemianie przybywający niektórzy byli z krakowskiej ziemi, że przyjechali za sprawami bardzo pilnemi, niektórzy na księcia czekać się obiecywali, inni bodaj za nim gonić chcieli. Zmiarkował i to Pawek, że przy-

bycie ich na zamku pewien niepokój zbudziło, a Goworek strażę postawił i ludzi do wrót posłał, by tam czegoś pilnowali.

Wszystko to razem mocno Mierzwę zaniepokoiło.

Przyszło mu na myśl, że się coś wydać mogło, że księcia ostrzedz pośpieszano, że i jego tu gotowi byli przytrzymać.

Strach go ogarnął. Sam wyszedł na zwiady, ale gdy się ukazał w podwórzu, obcy ludzie zniknąć poczęli, gromadki się porozpierzchały, większa część na miasto wyruszyła. Goworka tylko zastał, którego badać począł zkąd tyle gości na Sandomierzu.

— A! to ziemianie nasi, od Lublina — odpowiedział namiestnik — sprawy nasze domowe. Księżę ma miłość u wszystkich, inni go też i bez spraw żadnych nawiedzają z pokłonami.

— Mnie bo się zdało — przebaknął Mierzwa — żem ja tu pomiędzy przybyłemi i pana Mikołaja, brata księdza dziekana Pelki dojrzał.

Goworek popatrzał nań i rozśmiał się.

— Gdzie zaś! A co by tu u nas krakowianie robili — odpowiedział, — przecie swego pana mają.

Z Krakowian my tu tylko czasami Kietlicza jednego widzimy, bo ten się aż tu zapędza na Sandomirską dzielnicę, inni rzadko. Za pana

Mikołaja wzięliście pewnie naszego Bufała Srokę, który do niego bardzo jest podobny.

Wyraził się jeszcze ze swą za księciem tęsknotą Mierzwa, Goworek go pocieszyć nie umiał bo o księciu słuchu nie było i żadnej nowej wieści.

— A ja tu tak bez miary i końca siedzieć nie mogę! — westchnął Mierzwa.

— A no, — odparł żartobliwie Goworek, — najdalej jeżeli do siedmiu dni poczekacie, za to ręczę, bo księżę nigdy dłużej na łowach nie bawi.

Zakrzyknął podsędzia na to.

— Być jednak może, iż albo nocą lub jutro rankiem powróci, — pocieszał namiestnik. — Zabiera się na burzę srogą, ława na zachodzie stoi okrutna, coraz czarniejsza, grzmi w nią i błyska, może go nawałnica do domu przypędzi.

Mierzwa tedy na noc pozostał, zabawiając znowu Opata u wieczerzy. Nocą w istocie sroga burza nadciągnęła, ale księżę nie przybył, nazajutrz pogoda znowu była piękna i już się go tak rychło niespodziewano. Mierzwa wygoloną brodę gładził a włosy targał, sam nie wiedząc siedzieć czy jechać. Coraz mu tu było goręcej i niespokojniej, coraz nudniej bez zwykłych rozrywek, któremi sobie twardą pracę wynagradzał.

III.

Na brzask się brało gdy książę Kaźmierz z zamku wyjechał w sześć koni tylko. Przygotowanie wczesne być musiało do téj wycieczki, bo gdy z pacholęciem co u drzwi sypiało wyszedł rano, konie już stały pogotowiu, na ludzi czekać nie potrzebowal.

Stępią po cichu ruszono za wrota ku miastu, potém dróżyną nad wodą wierzbami ostawioną, która ku borom i lasom wiodła. Psów najlepszych wzięto nie więcej nad cztery, a ludzie księcia towarzyszyli ci co z nim zwykle w lasy jeździli. Na czele ich Smok, podżyły człek, którego Łowczym nazywano, wierny i najulubieńszy Kaźmierzowi, któremu on mówić nawet nie potrzebował co chciał, bo się oczyma rozumieli.

Smok ten od dzieciństwa mu służył, dwa razy

życie ocalił, raz gdy się nań dzik rzucił, którego, już przypadającego na włócznię wziął i przebił, drugi raz gdy w bitwie na Rusi opadło go kilku wojów z maczugami, którymby nie uszedł był, gdyby Smok w pomoc nie naskoczył. Smok żony ani dzieci nie miał, brata ni swata, a gdyby księcia nie pilnował, z nim nie jeździł, umarłby z tęsknoty. Zwali go, jak mówiliśmy, Łowczym, bo do łowów pokierowania miał pierwsze prawo, ale naprawdę nie opuszczał Kaźmierza nigdy. Niewidzialny często, stał zawsze niedaleko. Gdy nic innego do roboty nie było, około zamku się włóczył, w podsieniach gdzieś siedział, robił coś około osoby pańskiej, czyścił zbroje, ostrzył miecze, łuki naprawiał, psy układał. Prawda że mu się tu dobrze działo, że nie zbywało na niczem, że książę Kaźmierz chciał mu dawno nadać wielki szmat ziemi z karczmą, z młynem, z lasem aby sobie ludzi osadził i stał się panem — Smok odmówił.

— A mnie co potém? — odparł kłaniając się — żony nie mam ni dzieci, ani ich mieć myślę, jakem tu na zamku życie począł, tak je i skończę.

Smok wyglądał bardzo brzydko, ale człek był dobry z kośćciami, cudze dzieci bardzo lubił, szczenięta chował, ptaki karmił, a jeśli się kounu krzywda działa, nie pytając co zaczął być, stawał w obronie.



Ale spojrzeć było na niego, rzekłby kto że na mniejszej ziemi się rodził, gdzie słońce gorętsze niż czarno opala, tak był ogorzały. Przy tym chudy. Włosa kręconego miał mało co, brody nie, wąsa żadnego, nosa niewiele, gęby dużo a w niej zęby żelazne. Gdy się rozśmiał z paszczęki mu jak wilkowi kły białe rzędem patrzyły. Chudy, długi, zdawał się jak połamany, był niezgrabny ale na koniu nikt tak jak on nie jeździł, byle się go uciepił najdzielniejszego zmógł. Na łowach choć żubra za rogi gotów był pochwycić.

Paskudna jego twarz, gdy się śmiał tak się robiła pocziwą, że się nawet mniejszą brzydką zdawała.

Ludzie się go obawiali i lubili.

Mógł co komu dobrego to uczynił, dla siebie nie potrzebował wiele, surową rzepą gotów był żyć, głód znosił jak nikt, bez wody tylko jak koń, żyć nie mógł.

Ten Smok i pod nim kilku młodzieży składali cały orszak książęcy. Gdy wyjeżdżali w wie-rzby słońce jeszcze nie schodziło — mrok był. Smok po niebie popatrzwszy na wieczór lub na jutro najdalej wróżył burzę. Rosy nie było nie, niebo wypogodzone jakoś strasznie i jak z ołowiu odlane. Już do lasów dojeżdżali gdy się słonko pokazało i zaraz zaczęło robić gorąco strasznie, choć lasem, cieniem jechać było znośnie.

Psy nie mogły nie zwietrzyć tak w lesie było sucho. Dzień do łowów, żał się Boże.

Smok za księciem tuż jadąc parę razy o tem zagadł, ale książę ni zważał ni odpowiedział.

Wjechali w las, a tu już Smok po jakimś znaku zniarkował dokąd zawrócą, bo psy zwołał i z ludźmi powoli przyzostawać zaczął.

Książę coraz ich więcej wyprzedzał, konia pędził — nareście z oczu zupełnie zniknął.

Smok, jakby to rzecz była zwyczajna, weale nie zważał na to, ludzi zagadywał i dopiero po niejakiem czasie puścił się wrzekomo w pogoń za panem, ale go już śladu nie było.

Trąbkę choć miał na sobie, nie uderzył w nią i gromadka pod dowództwem Łowczego pojechała zwolna w las hukając tylko, szukając niby, błędząc tam i sam do południa. Nareście na wzgórkun pod dębami, gdzie była i trawa i woda zatrzymali się dla spoczynku. Nikt się nie zdawał troszczyć zbytnio o to że księcia nie było.

Smok ludzi swych poustawiał, zarządził strawę, kociolek na ogniu dano i popasano nie śpiesząc weale. Widać to było we zwyczajn.

Książę tym czasem w puszcę zajeżdżał głębiej coraz, krokiem tak pewnym, jakby i on i koń jego nie po raz pierwszy tę drogę przebywali. Musiało mu być pilno, bo konia ścisnął a zażywał, na niebo patrzył, a popędzał.

Powietrze stawało się coraz skwarniejsze, czuć

było przedburze; koń cały okrył się pianą, czas było odpocząć, a Kaźmierz jechał ciągle.

Już było dobrze z południa gdy zdala w lesie, cicho trąbka się ozwała, książę schwył swoją wiszącą na sznurze i odpowiedział rażno.

Tak z jednéj i z drugiejj strony pytano i odpowiadano coraz bliżej, aż zaszeleściło w krzakach i na koniu karym, ukazał się jeździec, piękny chłopaczek młody, czy — można go było wziąć za przebraną dziewczynę, taki był zręczny i urodziwy. Ale ubiór miał męzki a koniem władał też śmiało. Zobaczywszy Kaźmierza przyskoczył ku niemu, oba konie ku sobie zarżały, chłopak biegł, zwiesił się ze swojego i rękami za szyję objął Kaźmierza.

Stały oba wierzchowce nozdrza wyciągając ku sobie, a Kaźmierz i Ściborzanka (bo ona to była) ściskali się w milezeniu.

Twarzyczka Jagny rumiana od gorąca i wzruszenia, świeciła radością, Kaźmierza oblicze stało się dziwnie wesołe i promieniste.

Rozśmiali się ku sobie — szczęśliwi. Dziewczę chwyciło cugle puszczane na chwilę dla nścisku i wnet oboje, jakby się wyścigać chcieli, w cwał puscili laskę ku gajowi, wśród którego dym górą widać było.

Lecieli cwałem, ale ich konie tak były nawykłe dotazymywać sobie kroku że szły głowa z głową i jeźdźcy mówić z sobą mogli, a śmiać

się do siebie, nie troszcząc się i nie kierując niemi.

Widok był osobliwy tych dwojga koni i ludzi tak jakoś dobranych jakby ich czworo stanowiło jedną, skrzydlatą, wesolą istotę.

Śmiały się im twarze i drgały usta, oddechu brakło na mowę, oczyma tylko wiodła się rozmowa. Z dwojga jednak twarzy tych równie pięknych, Jagny była weselszą i szczęśliwszą, w Kaźmierzowej z poza szczęścia patrzała ukryta troska, jak z poza przejrzystej zasłony druga suknia przegląda. W oczach blasku pełnych zdała się połyskiwać łza ukryta, na ustach w uśmiechu była boleść, czoło wypogodzone przebiegały chmurki, które wejrzenie Jagny rozpędzało.

Na jej obliczu było tylko uczucie chwili bez pamięci przyszłości, bez frasnku o jutro, gdy na mężkiem ciążyło i to co przeszło i to co przyjąć miało.

Walczył z sobą aby się upoić jej wzrokiem, jej uśmiechem, i być jak ona szczęśliwym bez pamięci.

Rzucali ku sobie pół słowami tylko im zrozmieniałemi, które dla nich zawierały wiele, bo były przypomnieniami nieraz długo wypowiadanych myśli.

Biegli tak, nie patrząc na konie, które same drogę sobie znajdowały, omijały trzęsawiska, zdały się po niewidzialnej dla oczów a znanj so-

bie lecieć ścieżynie, aż dobiegły do gaju w którym brzozy pochylone stojące na skraju, pokłon się zdały przybywającym oddawać. Przez pnie ich białe, gdzieniegdzie wysoko wyrosłemi sosnami poprzedzielane, w dali przeglądało domostwo; coś jak kmieca osada, jak obejście wieśniaka, ale od obojga schludniejsze, — jakby dom ziemianina na nowinach.

Dokoła ogradzał dziedziniec ostrokół wysoki, wśród którego brama wielka, z dachem słomą krytym, stała szeroko otworem. Po za nią widać było niski obszerne dwór i zabudowania gospodarskie, studnię z żorawiem wysokim, szopy i na słupach nieociosanych sparte odryny. W podwórku kilku z prosta odzianych ludzi się kręciło, jakby na przybywających oczekiwali, kilka schludnie przybranych niewiast wyglądało ze drzwi jednych.

Tentent zbliżających się koni wywołał parobków, którzy już stali do przyjęcia pogotowin.

— Tyś tu już nie żaden książę, nie pan, ale gość mój! — zawołała Jagna — mój miły, wybrany, którego nikt nie zna i znać nie powinien. Pamiętajże o tém, byś mi się z wielmożnością swą słowem ni ruchem nie zdradził.

— A! tu ja twoim sługą — odparł wesolo książę — a Bóg widzi że nie pożałowałbym księstwa mojego gdybym z tobą — — —

— Cicho! dość! — przerwała Jagna — Już nas posłyszeć mogą.

Zmęczone konie stały pod słupiąstą podsiednią. parobcy po prostu ale czysto odziani, do stóp się skłoniwszy, chwycili konie za uzdy, ale tego nie było potrzeby, bo one same stanęły oba, a gdy Kaźmierz i Jagna zsiadli — razem się ku stajni zwrócili.

Na przyjęcie gościa od progu izby były wysypane świeżym kosaćcem wonnym, drzwi stały otworem i okna. Wesoło było na dworunku, którego izby i komory, jakby w nich nikt nie zamieszkiwał świeże były i czyste i meble. Nie zbywało w nich na niezem, ale co było sprzętu i dostatku, proste i wiejskie.

W drugiej izbie, już umyślnie zgotowany był stół pokryty białym czerwono wyszywanym obrusem. Widać na nim było dzbanki i kubki, świeży chleb pozłocisty, od którego się woń rozchodziła, podplomyki, kołaczki. W misach stało mleko, masło, ser, poziomki i grzyby wiosenne.

Nie zważając na ludzi, którzy na wskrós przez drzwi otwarte patrzeć mogli, Jagna rzuciła się na szyję księciu i w długim zatrzymała go uścisku, oddanym namiętnie — książę podniósł ją w silnych rękach, zamiast pochylić ku niej. Postawił ją potem lekko na ziemi, zobaczwszy że niewieści dwór już z kuchni szedł nie-

sąc misy parujące wyziewem mięsiwa, który się rozchodził dokoła.

— Siadajże, gościu mój miły, — zawołała Jagna stojąc przed nim i nadając sobie męską postawę — ja ci posłużę sama. Jedz i pij!

Książę padł na stołek przygotowany.

— Ty gospodarzu, — odezwał się — siadajże naprzeciw mnie i jedzmy razem, inaczey i ja nie zechcę.

— Mnie jeść się nie żąda — odparła Jagna — będę cię zjadać oczyma... to mnie nasyci.

Każmierz się uśmiechnął.

— I mnieby téj strawy było dosyć — odpowiedział.

Oboje tak gwarząc ręce wyciągali do misy, a Jagna starała się księcia rozweselić, bo czuła, mimo uśmiechów, że przybył smutniejszy niż zwykle.

Nalała mu wina które umyślnie dlań przygotowane we flaszy stało, sama podała kubek... Sprzeczała się kto pierwszy pić będzie, chwyтали za ręce, pochylali ku sobie, Jagna ciągle białe ząbki pokazywała — każąc mu być wesółym.

Tak zbiegła krótka u stołu chwila — książę wprędce chlebem i winem był syty — jeść nie mógł. Jagna powoli z trzpiotowatego wesela, jakby zarażona skrytym jego smutkiem, zachmurzyła się.

— W izbach siedzieć zaducha — zawołała —

ino nie widać jak nadejgnie burza. Ja ją już czuję, chodźmy do pasieki, siądziemy pod lipą.

Książę wstał i jak dwaj dobrzy towarzysze, bo Jagna męskiego nie zrzuciła stroju, wzięwszy się pod ręce, przeszli dziedziniec ku bliższej pasiece. Mały płot dzielił ją od niego.

W głębi widać było ule, z przodu stało kilka lip starych, którym się właśnie na wczesny kwiat zbierało. Trawa pod niemi była zielona i miękka. świeża jak kobierzec tylko co utkany.

Siedli pod pnem oboje. Tu nikogo nie było, ejsza błoga, szelest drzew które czasem jakby drżenie jakieś poruszało i usypiało znown. W dali świergotały ptaszęta, brzęczały pszczoły.

— Coś mi gość przybył z chmurą na czole — zawołała Jagna — a to, do Gaju niegodzi się z miasta przynosić troski. Co Wam?

— Nic mi — burzę tylko czuję i ciężko na piersiach a głowie — rzekł Kaźmierz uśmiechając się.

— Jabym burzy rada była — mówiła Jagna — potem się lżej oddycha. Niedługo czekać a zaszumi i zahuczy!

Książę westchnął i dłonią potarł czoło.

— Tak, — ciągnęła dalej Jagna — musi burza przyjść i przejść, aby nam potem dobre zaświeciło słońce — Moje słońko — to wy!

Uśmiechnął się.

— Niewiecie wy nie, jakie my tu mieliśmy odwiedziny, jakby wróg dobywał zamku.

— Napad jaki? — spytał trwożnie książę.

— A tak! — kończyła Jagna — Mieszkowy ulubieniec, Kietlicz, któremu wszystko widać wolno, zabłądził do nas, choć to przecie Sandomirska właśnie czyjaś inna. Chciał aż wrota wyłamywać, że mu nasi ludzie przewodn nie dawali. Wdarł się do chorego ojca i gościa co u nas był, który starego bronić chciał, związanego uprowadził.

Zachmurzyło się mocniej jeszcze czoło Kaźmierza.

— O! ten Kietlicz — zawołał — brat Mieszko, ręczę, nie o tém niewie, a on mu wrogów przyczynia.

— Nie czynił przecie tego bez rozkazu — szepnęła Jagna.

— Jam pewny że bez niego, — odparł Kaźmierz — brat posłuchn chce i ładu, ale krzywdy i ucisku chcieć nie może!

— Władzy mn się chce! władzy! — zawołało dziewcze — coraz większej, a téj mieć nie będzie, nie będzie! nie!

I widząc że Kaźmierz się marszczy, dodała żywo.

— My wszyscy innego zwierchniego pana mieć chcemy i mieć będziemy i musimy! Mój pan będzie wszystkich panem!

I namiętnie rzuciła mu się na szyję, Kaźmierz z lekka ją od siebie odtrącił.

— Jagno! — zawołał — nie mówże tego! abyś mi nie psowała serca! Czy ci moje szczęście, mój spokój nie miły? Znasz ty mnie czy nie? Ja nie pragnę nic! Sandomirza bym się prędzej rzekł dla téj chaty — tyś niepoczeiwa!!

— Ja chcę byś miał pańskie serce i pragnął więcéj! — zawołała nieposłuszna Jagna, niedając się odepchnąć — Chcę żebyś był wielkim, królem, wojownikiem, bohaterem — bym sobie mówić mogła, ten wielki jest mój!

— Tak! I ten wielki a nieszczęśliwy naówczas już twoimby być nie mógł, ani przyjeżdżać do Gaju, ani tak z tobą usiąść na trawie pod lipą i Jagnę swą ścisnąć. To mówiąc pochwycił ją w ramiona, ona pochylila się ku niemu, na piersi jego położyła głowę i zadumała smutno.

Łzy się pokazały na powiekach.

— A! niewiedzieć czego chcieć — odezwiała się — To szczęście co jest, ktoś mi je odbierze. niechby choć drugie zostało — duma w sercu.

— Dlaczegoż ma ci kto mnie odbierać? — rzekł Kaźmierz — byleby mi spokojnie dali zostać w Sandomirzu.

Dziewcze mu się wyrwało i siadło.

— Nie! nie! Na Sandomirzu mojemu panu siedzieć mało, wart on Krakowa i korony. Nie ja

to mówię ale świat cały. Ziemianie wolają jednym głosem, zmuszą cię!

Każmierz prawie gniewnie usta jej dłonią zacisnął, którą ona całować zaczęła.

— Aż tu mnie prześladowe ta nieszczęśliwa dola moja — zawołał — nigdzie od niej spokoju, nawet tu! Nawet ty mówisz o tém, gdzie jabym rad zapomnieć co mnie przygniata. A! nigdzie spokoju!

Wymówił to z taką boleścią, że Jagna się nią poruszyła i poczęła go ręką białą głaskać po czole i twarzy.

— A! dość! dość! — rzekła — Ja milczę — Cóż to pomoże? Co przeznaczone ziścić się musi. Ludzie powiadają że ojciec Wasz, gdy umierał, dziecku bezdomnemu przepowiedział koronę — Wiedzą o tém wszyscy, Bóg tak chce! ty musisz!

Wzdrygnął się książę.

— Mieszko stokroć jest godniejszy odemnie — zawołał — on ma moc i smak w panowaniu, gdy dla mnie ono brzemieniem i odrazą. On ma rozum królewski.

— Ale miłości niema ani on dla ludzi, ni ludzie dla niego. Nie — o — nie! Co przeznaczone to się ziści... Jagna zobaczy cię na stolicy a potem — choćby umarła!

Szeptali cicho.

W tém słońce które pałało i doskwierało — nagle, jakby się gdzieś skryło, cień jakiś padł na

pasiekę, na dwór, na las. Pół nieba jeszcze było jasnego, za drzewami chmury nadciągające się kryły, zasłaniając już słońce. Powietrze było ciężkie, cisza grobowa.

Las przebiegł nagle jakby pęd lecącego wiehru, drzewa się zakolysały, zaszumiwały, galeźcie zatrzeszczały i nagle znówu. Jagna podniosła głowę.

Nad niemi jeszcze niebo stało jasne.

— Chodźmy do izby — rzekła powstając — burza nadciąga.

Kaźmierz wstał leniwo, milczący. Po rozmowie ciężej na sercu stało się jeszcze. Jagna próżno się go starała rozweselić. Pobrawszy się pod rękę znówu poszli do dworku, którego izby stały puste otworem, i niezatrzymując się w pierwszych, pociągnęli do małej komory o jedném oknie.

Tu na posłaniu leżały zrzucone niewieście szaty Jagny. Pod oknem ława stała z poduszkami, a z okna w głąb lasu widać było daleko, przez dęby stare łąki zielone, które smaragdowo przegładaly.

Choć w dworku nie jeszcze słychać nie było, w lesie już drzewa gięły się gwałtownie, galeźcie wily, liście z nich oberwane leciały, robiło się coraz ciemniej, coraz nocniej, choć do wieczora dość było daleko, mrok jakby dnia schyłku zalegał okolicę.

I pierwszy grzmot głuchy rozszedł się po lesie, a pierwszy błysk przedarł ciemności szumem stra-

sznym odezwały się bory. Ludzie przerażeni kryli się pod dachy.

Jagna i Kaźmierz z rozkoszą prawie patrzyli na to nagle zawichrzenie, dziewczyna wyglądała z dzieciinną ciekawością. Burza nadciągała z pośpiechem wielkim, pędem i gwałtownością niesłychaną, grzmot nienstawał, jeden zlewał się z drugim, błysk następował po błysku, pioruny biły w lesie. Ulewa z gradem szły od niego, zbliżyły się, zakryły widok, szarą oponą zasłoniły drzewa.

Grad kamienny bił po dachu dranicowym. Jagna nie zasnwała okna, owszem wychyliła głowę jakby ochłodzić i obmyć ją chciała.

Tak siedząc u okna przy oślepiających błyskach i szumie burzy, mieniając zaledwie słowa, dosiedzieli aż do nocy.

Wicher zaczynał nstawać powoli, powietrze ostygło nagle, ale deszcz lał jeszcze ulewny i blade błyski oświecały podwórze i izbę.

Jagna wyszła, aby kazać podać wieczerzę i światło.

Wszystkich ludzi znalazła w przedsieni oczekujących i przypatrujących się odchodzącą nawalnicy, która w bliskości kilka drzew obaliła i strzaskała.

Właśnie się miano zakrzętnąć około światła, gdy Jagna, która wyszła pod słupy, usłyszała wołanie od zamkniętej bramy.

Dobijano się do niej, krzykami coraz silniej-

szemi, domagano się wpuszczenia wewnątrz. Rozpoznać było można kilka męzkich głosów różnych, powtarzających ciągle.

— Wrota! otwierać wrota!

Najście to było całę niespodziane, bo do chaty w Gaju chyba zbłąkany mógł zajrzeć podróżny. Stała na uboczu i nikt tu nigdy nie widział gości. Jagnie krew uderzyła do twarzy. Ani sama się kryć nie chciała, ani księcia na poznanie go narazić. Zresztą wiedzieć nie było można, kto się wpuszczenia domagał, i czy nie jaka szajka zbójców leśnych, chwilę tę upatrzyła sobie do napadu.

Parobcy chwycili zaraz oszczepy, a chłopca wysłano, aby się podkradł do bramy i obejrzał przyjezdnych.

Posłany powrócił oznajmując z przestachem, że koni ze dwadzieścia u wrót stało, a widać było ludzi rycerskich, zbrojnych, którzy na statecznych ziemian wyglądali. Tymczasem grożąc i łając, na czém świat stoi, dobijano się ciągle do bramy.

Wydawszy rozkaz, aby zwolna wpuszczano przyjezdnych, Jagna pobiegła przelećka i gniewna razem do Kaźmierza, aby mu oznajmić o przybyłych i kazać się ukryć przed niemi. Sama chciała wdziać suknie niewieście i obmyśleć czy się ma ukazać czy nie nocnym gościom.

Starszy sługa miał ich tymczasem wpuścić do

pierwszój izby, od którój drzwi do dalszych sama Jagna zasunęła.

Każmierz na wieść o przybyszach, rzucił się do miecza naprzód, ale przeciwko dwudziestu zbrojnym oporu stawieć nie było można. Chciał potem z Jagną razem uchodzić w lasy, lecz trzeba było zaczekać i widzieć, a wiedzieć co byli za ludzie, którzy się tu nocą na bezdrożu znaleźli kupą taką.

Z za drzwi słyszeć było można, gdy nadchodzili.

Gdy stary sługa pobiegł im otwierać wrota, stanął przed nim cały zastęp jezdnych, którzy natychmiast zlorzecząc na podwórze się wtoczyli, z naleganiem czyja chata była, kto w niej gospodarzył.

— Pod czas gospodarza nie ma — odparł sługa — a panem naszym jest Scibor ze Sciborzyc. My tu służymy, a już i tak gości mamy za jezdnych (tak mówić mu kazano), nocą nam nikogo puszczać niewolno.

Starszych trzech jadących na dzielnych koniach z pięknym orężem, poczęli wołać.

— A toć nie zbroje jesteście, w burzę i słoty nikt dachu zbłąkanym nie odmawia. Licho w drodze obłąd i burzę nadalo!

Nie pytając więcej poczęli zsiadać z koni, otrzęsali się z wody i pytali zaraz o najbliższą drogę do Sandomirza, którą po nocy zgubili.

We dwadzieścia jechali koni, ale rycerzy trzech tylko, reszta służba i dwór, żołnierze i czeladź. Wtoczyli się zaraz do izby. A że i tu się nikogo nie spodziewali zastać, poczęli kląć strasznie i tak puszczać języki, jakby sami byli.

Jeden stary z siwą brodą wszystkim im przodował, pański był i rycerskiej postawy, dumny i butny, mówił głośno i wrzaskliwie.

Dwu towarzyszących mu młodszych, nawykłych widać także do rozkazywania, rozgaszczali się nie hamując głosów. A że się pod strzechę dostali z ułewy, już im szpary odchodziły, gwarzyli wesoło, stukali i hukali, cale się nie troszcząc, czyj dom był.

— Dali się gdzie schronić — zawołał jeden z młodszych — niechżeby i pokarmili. Juści się coś znajdzie choćby chleb, sэр i woda.

— Albo i piwo! — dodał drugi.

W tém trzeci, co izbę opatrywał, namacał flaszę z winem porzuconą na stole, do nosa ją przyłożył, potem do ust.

— Hej! hej! Cud! — krzyknął — a toć wino na stole! Nie już się to u tego Scibora parobkowie nim raczą?

Skoczyli wszyscy do flaszy.

Zdumienie było wielkie. Jeszcze większe, gdy srebrny kubek przy niej się znalazł.

— O! o! toć kłamią, że pana nie ma, psim

swędem nas zbyć chcąc. Jest ci, ale się ze strachu skrył, musimy go z jamy wyknurzyć.

Poczęli się śmiać i hałasować, wołając wrzaskliwie starego sługę, który przybiegł wylękły.

Siwy ów starszy wskazał mu na flaszkę i kubek.

— He! cóż to, pana u was nie ma w domu, a wino stoi na stole? — zawołał — dla kogóż one było?

Sługa oniemiały odpowiedzieć nie umiał, stał osłupiony, gdy drzwi od izby sąsiedniej otwarły się nagle i Kaźmierz wszedł.

Chłopak był wprzód jeszcze nadbiegł z drzwami, więc w izbie widno już było. Goście odwrócili się do wchodzącego. Żaden z nich Kaźmierzka i żadnego z nich on nie znał; postrzegłszy jednak tę piękną, urodziwą i wspaniałą postać, dorozumieli się, że nielada człeka mają przed sobą. Strój też, acz skromny, zdradzał pana, a wiążący na piersi rożek myśliwski rzeźbiony z kości słoniowej, sam już jako rzecz droga i osobliwa, oznaczał, że mieli do czynienia z kimś majątnym i dostojnym.

Zobaczywszy go niespodzianie wszyscy trzej, nim się zebrali przemówić, długo mierzyli go oczyma.

— Niech Bóg będzie pochwalony — odezwał się książę głosem jasnym — witam gości! Jam tu nie gospodarz, ale Scibora ze Sciborzyc krewny, na łowy zjechałem do niego. Burza mnie tu

jak was zaskoczyła. Z biedy gospodarza muszę zastępować.

Starszy się skłonił nieco.

— Jestem Lassota ze Steblowa — rzekł — a choć na Szlązku mam mienie i w Krakowskim też ojczycem jestem. Oto mój towarzysz Jaśko Bogorja, a to Leszczye młody.

Skinął Kaźmierz na sługę, aby wieczerzę dawano.

— Radem, że was tu widzę — rzekł — a nie kogo innego, bo gdy do wrót wołano, myślałem, że leśni włóczędzy.

Uśmiechnął się — Jam tu sam, ludzi nie mam, wybierałem się już uchodzić chyba.

— A no, miłościwy panie, nie wiemy jeszcze kto jesteście? — przerwał Jaśko Bogorja.

Kaźmierz się zawahał trochę, ale poznać się im dać nie mógł, i odparł po krótkim namyśle.

— Sandomierzanin jestem, Busław z pod Sulejowa.

Wymówił to jakoś głosem niepewnym, ciężko mu było.

— Cośmy to o was nigdy nie zasłyszeli — odparł stary Lassota — ja niemal wszystkich ziemian sandomirskich znam.

— Długom się włóczył za granicą, po niemiech — rzekł Kaźmierz raźniej — niedziw żeście o mnie nie słyszeli. A was tu jaki traf przyniósł? Droga tedy nie wiedzie żadna?

— Prawe lichy! — zawołał Bogorja — zbliliśmy się szkaradnie z gościńca, jedziemy bardzo pilno do Sandomirza.

— Gościniec ztąd daleko! — rzekł książę.

— Myśmy też dawno go zgubić musieli, a wszystkiemu winien Zbożek, sługa Lassoty, który przewodu zaniechał brać, ufając, że wszędzie trafi, i ot, w jaką nas zapchał dziurę.

Gdy tak rozmawiali, nad wszelkie ich spodziewanie dostatnią wieczną poczęli nieść ludzie, aż się zdumieli. Książę Kaźmierz zapraszał. Siadł więc stary Lassota na pierwszém miejscu, młodzież dalej, a gospodarz w końcu stoła.

— Pożywajcie i posilajcie się zdrowi — rzekł do nich — jam już syt.

Dostatkowi, który znaleźli w lichym dworku, niemogąc się wydziwić, głodni łapczywie się raczyć zaczęli, aż Lassota popatrzwszy na księcia — zapytał.

— Wyście też Sandomierzanin, miłościwy Buśławie?

— A tak — odparł książę.

— Swojego pana znacie pewno i miłujecie? — dodał stary.

Książę się zarumienił.

— Małom go widział — rzekł — bo jako mówiłem, nie siedziałem doma.

— Z nas też go żaden w oczy nie oglądał nigdy — mówił Lassota — oprócz mnie, ale on

wówczas jeszcze małym dzieckiem był. Dobry pan, wszyscy go chwalą.

— Tyle wiem, że radby dobrym być — odpowiedział Kazmierz — ale ja o nim z posłuchu tylko mówić mogę.

Spnścił głowę, Lassota napiwszy się trochę, poczał być szerszy i dodał po chwili.

— Co mamy tać przed wami, toć swoich nie zdradzicie. My do niego do Sandomirza ciągniemy.

— Do niego? — zapytał nieśmiało książę.

— Tak jest — ciągnął dalej Lassota. Cała ziemia krakowska do niego wzdycha! Musi nam panem być! Nie pomoże nic. Staliśmy byli do niego naprzód jednego zaufanego człeczka, aby mu doniósł o tém, Kietlicz go pochwycił i uwięził. Wybrało się nas więcćj różnemi drogami, musimy go mieć.

Pomieszany słuchał książę.

— Ja tyle wiem — odparł po namyśle — że on rad spokojnie na Sandomirzu siedzieć, a o panowaniu na Krakowie slyszeć nie chce. Znam Głoworka, mówili mi inni przyboczni. Wiecie, że za Kędzierzawego już nalegano nań, a przeciwko bratu iść nie chciał.

— Wszystko my to wiemy — zawołał Bogorja — ale kiedy go ziemianie wołają, musi iść!

— A cóż przeciw Mieszkowi macie? — zapytał książę.

Tu wybuchli wszyscy razem.

— Kat jest, a nie pan! precz bo z nim! ziemianie sobie na karki jarzma nakładać nie dadzą!

— Pójdzie precz! pójdzie!

Gwałtownością tych wykrzyków Kaźmierz tak na chwilę zdał się pomieszany, iż wcale odpowiedzieć nie umiał; dopiero odzyskawszy przytomność, począł spokojnie a smutnie.

— Pozwolicie mi słowo rzec. Jam się dużo po obcych ziemiach włóczył, naszych mało znam; to co tu widzę i słyszę, bardzo mnie zdumiewa.

Jako się tu z naprawy ziemian nieustannie panowie mieniają, czy dobrém jest? nie wiem. W innych ziemiach radzi słuchają ziemianie, aby ład był w domu i siła przeciw nieprzyjaciela — a u nas. —

— A u nas — przerwał Lassota — na nieprzyjaciela się siła i kupa znajdzie, ale my swe prawa mamy i znamy i naruszać ich nie damy. Ze skóry nas drze Mieszek i odgraża się, biskupów, ojców naszych radby w kajdany pookuwał, my tego nie dopuścimy.

— A nie! nie dopuścimy! — zawtórowali inni, my tu ojczyce, my gospodarze.

— My z biskupami sobie panów wybieramy, jako chcemy z książęcego rodu — rzekł Lassota. — Duchownym i sobie krzywdy nie damy robić.

— Mieczysław duchownych nie tyka — przerwał książę.

— Jako? a toć już pewna rzecz jest, że Gedkę biskupa naszego skazał na wygnanie.

— Nie może to być! — wykrzyknął Kaźmierz przełkły. — Siła, z jaką im zaprzeczył, na czas mowę zamknęła przybyłym. Umiłkli, Kaźmierz porozumiawszy, iż gwałtownością zdradzić się może, na tém poprzestał.

Patrzali nań, gdy chleb łamał i wino zwolna popijał.

— Jam bliżej tych dzisiejszych spraw nieświadom — dodał książę — wiem tylko, że na miejscu Kaźmierza nie przyjąłbym stolicy, na którą i najlepszemu usiedzieć trudno. Wszystkiemu nigdy nie dogodzi, a byle garść się znalazła niechętnych, to go obalą.

— Nie garść nas jest — krzyknął z oburzeniem Lassota. — Wy nie znacie, ani wiecie, co się u nas dzieje! Nie garść niechętnych idzie na Mieszka, ale do nogi wszyscy! Z nim nie ma nikogo.

Drażliwa rozmowa na tém się przerwała nieco. Lassota począł oknami wyglądać.

— Pilno nam strasznie do Sandomirza — dodał. — Gdyby nocą, jak księżyc zejdzie, można ruszyć, gotowibyśmy jechać, ale kto poprowadzi?

Księciu Kaźmierzowi jedziemy oznajnić, aby wezwaniu brata, który posłał po niego, zadość nie czynił. Woła go do Krakowa, a gdy tam przybędzie, kto wie, jaki go los spotkać może! Szkoda pana!

Zbladł Kaźmierz.

— Wiecie, że posłano po niego? — spytał zmienionym nieco głosem.

— Wiemy na pewno, iż podłego służkę, podsędziego Mierzwę, wyprowadzono z rozkazem, aby Kaźmierza z sobą zabrał i przywiózł — rzekł Lassota — wiemy wszystko co się na zamku dzieje, bo tam już trupa czują ci, co go otaczają i służą nam nie jemu.

— A i to prawda — dodał Jaśko — że nasza czeladź taksamo nas zdradza, bo przez nią Zaborę straciliśmy.

Poczęli się śmiać.

— Tych łotrów co Kietliczowi służą na palcach zliczyć — dodał stary — a my wszystkich mamy z sobą.

Mieszek ani wie, ani czuje, jak się ziemia rozstępuje pod nim. Dni jego policzone. Biskup Gedko, wojewoda Szczepan, wszyscy z nami!

Kaźmierz zafrasowany nic nie odpowiedział na to.

Wieczera się dawno skończyła.

Niebo było wypogodzone, księżyc się z za lasów dobywał. Lassota z za stoła wstawszy, gdy postrzegł, że jaśniej się zrobiło, pilno o przewodnika się jął upominać. Książę Kaźmierz sam wyszedł, aby słudze dać rozkazy i polecić milczenie, gdyby go rozpytywano.

Z północy niespokojna gromadka wypiwszy

co było, podochocona, może nie zbyt rada z gospodarza smutnego i milczącego, poczęła na gwałt wyrywać się z Gaju. Nie zatrzymywano ich.

I tak, jak burza druga tu zaszumiawszy. wyjechali nazad z okrzykami, dziękując za gospodę, jadło i napój..

Książę Kaźmierz stał jeszcze u wnijscia patrząc za odjeżdżającymi, gdy z tyłu nadbiegła Jagna i rzuciła mu się na szyję. Twarz miała jaśniejącą, co dowodziło, że podsłuchiwała rozmowę. Nie dając się opamiętać księciu pociągnęła go za sobą.

— Będziesz królował na Krakowie — wołała — bo tak Bóg chce — i ja!

IV.

Gdy Stacha wrzucono do ciemnicy, po pierwszej osłupienia chwili, mężny człek cokolwiek przyszedłszy do siebie, nie tracąc czasu izbę swą opatrywać, albo raczej obmacywać począł, bo światła w niej mało było.

Oprócz wnijscia i okienka zakratowanego gęsto, nie było w niej nigdzie szpary, otworu, któryby do wydobywania się na zewnątrz mógł posłużyć.

Ze szmerów i głosów, które go dochodziły nie mógł zmiarkować. Myśli różne roily mu się, nadziei nie tracił.

Żałował tylko zmarnowanego czasu który tu przesiedzieć musiał.

Czuł że się tam właśnie na świecie losy księcia Kaźmierza i Mieszka rozstrzygać będą, jemu

dostało się siedzieć bezczynnym, zapartym, nie wiedzieć o niczem i nie móc nic robić!

Przeklinał siebie iż Żegcia, który go ostrzegał, nie posłuchał, a z gościńca nie zjechał, obwiniał nieopatrność swoją i trapił się tem bardziej że pokutował za własną winę.

Szczęściem gdy Bereza go brał, z wielkiej radości i pośpiechu zapomniano go obedrzeć. Miał więc i trochę srebra w kieszeni i ów łańcuch złoty, który mu zwrócił Juchim.

Rachował że się to na coś przydać może.

W tych myślach usnąwszy nie obudził się aż drzwi odemknąwszy, pacholek milezący przyniósł chleb i wodę. Chciał z nim jaką taką rozmowę zawiązać Staszek, ale głową pokiwałszy, stróż mu nawet nie odpowiedział.

Przez cały dzień następny nie oglądał ludzkiej twarzy, słyszał tylko niedaleko rzenie koni, wrzawę, rozmowy, hałasy ludzi swobodnych — ale do niego nie zajrzał nikt.

Pod wieczór z gniewu i zmartwienia Stach chorym się uczuł.

Gdy znowu nocą uspokoiło się wszystko, wrócił do swego zajęcia, począł po izbie macać, rozglądać się, drzwi próbować. Ogarniał go niepokój coraz większy. Niemogąc zasnąć dotrwał tak do białego dnia i przyjścia stróża, z którym już rozmowy nie próbując, począł od tego że mu dał kilka pieniązków.

Pacholek popatrzał na nie żdziwiony, potem na Stacha, mruknął coś do siebie, drzwi zarygłował i poszedł. Wieczorem w dowód wdzięczności przyniósł świeżej wody.

— Znasz Juchima Skarbnego? — zapytał Stach.

Stróż milezący począł trząść głową, nie odpowiadał nic, i po długim namyśle i wahaniu, wyrwało mu się.

— A — he!

— Powiedz mu aby tu przyszedł do mnie. Powiedz że tu siedzi ten co mu winien siedemdziesiąt grzywien — i chce je oddać. Rozumiesz! On ci da coś za to!

Weisnął mu znowu pieniążków kilka. Stróż stał długo skrobiąc się, jak osłupiały. Nie łatwo mu przychodziło myśli zebrać, nazwiska spaniętać; nie rychło też dopiero rozważywszy wszystko, skinął głową i rzekł.

— A — he! Z tém poszedł.

Następnego dnia Stach skntku wyglądał, słuchał, czekał, zdawało mu się że albo go wezmą na spytki lub Juchim przyjdzie do niego. Zapomniao o nim.

Gdy stróż nadszedł a Stach go zapytał o żyda, nie odpowiedział mu na pytanie, tylko namyśliwszy się, zbył go swoim —

— A — he!

Ale głową tak trząśł jakby chciał dać do zro-

zmienia iż poselstwo swe sprawił. Gdy się obudził następnego poranku Stach i drzwi otworzyły postrzegł w nich chudego w wysokićj czapce Juchima, który z obawą do więzienia zaglądał, nie chcąc przestąpić progu.

— Na miłość Boga, — zawołał biegnąc ku niemu Stach, któremu na drodze stróż stanął — uwolnij mnie ztąd, bo inaczćj grzywny twoje ze mną przepadną. Niewiem za co mnie pochwyciono, nie jestem nic winien,

Juchim czesząc rzadką brodę palcami usta podniósł do góry.

— Nie winien! — począł mruczeć — A ha! nie winien! Was teraz ani wymodlić ani wykupić, choćby za dwieście grzywien!

— A za trzysta — przerwał Stach.

— Hm! kiedy wy i jednę nie macie — rzekł Skarbny chłodno.

— Ale ziemię mam, sprzedam ją, zastawię a zapłacę! wołał Stach.

Juchim ręką zamachnął w powietrzu, w tém stróż szelest jakiś posłyszawszy, rozepchnawszy ich co prędzćj, drzwi zarygłował.

Znowu tedy dzień cały zszedł na próżném dręczeniu się myślami. Pod wieczór, dosięgnawszy okna począł więzień próbować, czy go nie potrafi wyłamać, ale gdyby się to nawet udało przkonał się że przez ciasny otwór wydobyć się nie potrafi.

Padł tedy zrozpaczony na słomę.

Późno już, gdy wkoło ucichło wszystko, drzwi się bardzo ostrożnie i bez szmeru odryglowywać poczęły, z ciemności posłyszał Stach głos Juchima. Pobiegł do drzwi, które mu stróż ręką zapierał jak żelazo twardą, aby się za próg nie wydobył, ale mówić nie bronił. Rozmawiać przy nim można było śmiało, gdyż rozumiał mało, albo nie.

Juchim szeptać począł.

— Chcecie być wolni, mało przysiądz na trzy-sta grzywien, trzeba też 'przysiądz że panu naszemu wiernie służyć odtąd będziecie.

Stach chwilę nie odpowiadał.

— Albożem ja go zdradził? — zapytał.

Skarbny zamruczał coś. Sprawa była trudna. Do przysięgi naówczas większą niż dziś wagę przywidywano, była obrzędem świętym, składała ją przed Bogiem. Popelnić krzywoprzysięstwo nie w namiętności i nniesieniu, ale z rozmysłem, było grzechem śmiertelnym. Stach niemógł się ważyć na to, nawet dla odzyskania swobody i milczał.

Chwilę jeszcze stał Skarbny pomrukując i jak by oczekując odpowiedzi, potem stróż począł naglić aby odchodził i drzwi się zamknęły.

Nie było więc ratunku.

Nocą Stach powrócił do okna. Zabite było łątami zewnątrz, ale wyrwać je nie zdawało mu

się niepodobieństwem. Cóż, gdy otwór ciasny ledwie by był dziesięcioletnie dziecko przepuścił. Napróżno się około niego znużywszy Stach legł znówu na barlog, przeklinając swą dolę. Żadnej już nie miał nadziei oswobodzenia; chyba porywając się na stróża i zamykając go na swém miejscu. Było li to możliwe??

Kilka dni przeszło na chorobliwym śnie i próżnych rozmyślach.

Jednego ranka, gdy się ruch wielki dał słyszeć na podwórzu, zdalo mu się że podniesiony bardzo, jakby naumyślnie, głos Żegcia posłyszał. Spierał się o coś z drugim. Stach dowiedział się że wolnym był, i że około koni jakichś pełnił służbę.

Nadzieja wstąpiła w serce, bo Żegcieć uwolniony, (Stach był pewien) musiał się starać aby go wyswobodzić.

W istocie téjże nocy zaskrobalo coś do okna, Stach podlaźł prędko. Na drabince od siana ze stajni pochwycenćj, stał Żegcieć. Stach począł doń wołać natarczywie.

— Człecz, jeżeli ty Boga masz w sercu, ratuj mnie, albo zdechnę rychło! Nie wytrwam!

Żegcieć szepnął aby był spokojny. Dodał że o oknie nie było co myśleć. Drugiej nocy miał się sługa pod ścianę podkopać, we dwu mogli tę robotę dokończyć przed rankiem. Stanęła o to umowa.

Nie śpiąc już, nie jedząc i nie pijąc, Stach czekał zapukania do ściany, aby wiedzieć gdzie ze swęj strony ma się wziąć do roboty. Gdy się wszystko uspiło, szmer i drapanie słyszeć się dalo, Stach który był gotów ze wnętrza też począc kopać, natychmiast rękami ziemię się jął odgrzebywać.

Nie była to robota łatwa, nie mając ani deseczki, ni kija do pomocy, ale pragnienie oswobodzenia sił dodawalo.

Żegieć ze swojēj strony pracował pilnie i żwawo, chociaż przeszkadzali mu jacyś przechodzący ktorých to tēm to owēm zbywał. Po północy doły z obu stron wygrzebane, niewielka już od siebie przestrzeń dzielila. Ściankę tę udało się obalić nareście. Stach bodaj z największą męką postanowił wydobyć się ciasnym otworem. Rozszعرzono go nieco, czasu nie było do stracenia i więzień dał się wyciągnąć zgnieciony i pokaleczony. Wydobywszy się z jamy, Stach naprzód poczeiwego sługę nściskał, zdalo mu się iż wykradzenie się z zamku było już rzeczą stosunkowo łatwą. W podwórcach panowała jeszcze cisza głęboka, okolo wrót tylko słyszeli zdala ciężko stąpające strażę.

Ale Żegieć wszystko był naprzód obmyślił, powiódł więc pana swego do apatrzzonego miejsca na wałach, zkađ jedną deskę wyjawszy w zagrodzie, mogli się na dół spuścić, bo tu pilności nie

było. Po nocy, w miejscu nieznanem zejście z okopu było trudnem, ale ówczesni ludzie mieli instynkta które ich w złych razach ratowały. Przeczuliwali czego widzieć nie mogli.

Stach i Żegieć obsunęli się chwytając za krzewy i trawy, aby zbyt gwałtownie nie spaść na dół i znaleźli się z wielką radością swą u stóp góry od strony rzeki. Tu jednak popadali zmęczeni długi czas tchnąć nie mogąc, a na spoczynek czasu nie było. Uchodzić dalej musieli co rychlej dopóki by dzień, którego już brzaski widać było, nie zdradził ich ucieczki i nie wywołał pogoni. Żegieć przypominał sobie, że wyjętej deski z tynu zatknąć zabył, a ta drogę ich wykazywała.

Wstali więc biegnąc ku rzece. Szczęściem znalazł się u brzegu stary czółen do kółka przymocowany, choć bez wiosła. Żegieć oderwał go, wskoczyli oba i puscili się z biegiem rzeki, byle tylko od zamku oddalić.

Dniało już dobrze, gdy Wisła ich unosić zaczęła. Stach położył się na dnie czółna, a Żegieć rękami obmażonemi w wodzie robiąc, wiosło i ster musiał zastępować niemi.

Prąd rzeki dosyć bystry, bo wody jeszcze szły wiosenne, prędko ich uniósł po za miasto i osady otaczające.

W pierwszym kątku trochę osłoniouym wierzbami i łoziną, Żegieć przybił do lądu i oba wy-

skoczyli, aby się skryć w zaroślach a obmyśleć co mieli poczynać dalej. W biały dzień po okolicy się snąć nie było bezpiecznie... Stach też tak był zmęczony więzieniem, kopaniem, wygrzebywaniem się, ucieczką, iż potrzebował spoczynku. Jakkolwiek silny i zahartowany, omdlewał. Żegieć czując się silniejszym, miał tym czasem szukać jakiegoś sposobu do dalszej ucieczki, sukien, koni, drogi.

Dostarczyłby pewnie wszystkiego pierwszy lepszy z ziemian krakowskich, ale kędy ich szukać było? Wschodzące słońce zastało ich głodnych, zmęczonych, zaszytych w gęste łozy, rozmyślających jeszcze o ratunku. Żegieć radził, aby Stach tu pozostał, ofiarując się ruszać na zwiady. Nie był tak bardzo znanym, aby mu groziło niebezpieczeństwo, a zręcznym wielce i ze wszystkim obytym. Jeszcze się naradzali, gdy na łęgach nad Wisłą tu i owdzie ukazały się trzody i pastuszkowie.

Żegieć ku pierwszemu z nich po chleba kawałek pośpieszył. Dostawszy go kromkę dla głodnego pała, odzież swą wywróciwszy na nice, umazawszy twarz błotem, odważny chłopak puścił się nazad do miasta. Miał myśl naprzód przekraść się do dworu Leszczyca i tam szukać pomocy.

Przez ogrody, ciasne uliczki i opłotki pomijając ludzi, czyniąc się starym i udając żebraka, Żegieć dotarł do dworku, ale tu wrota zastał zamknięte, ciszę w nim i pustkę. Przelazłszy zagrodę,

wewnątrz nie znalazł też nikogo, oprócz starego wrotnego, który na przyzbie drzemał.

Wiedział jak u Leszczyca zawsze ludno bywało, nie mógł więc opuszczenia tego zrozumieć. Gdy się starego stróża dobudził i pytać począł, odpowiedzieć mu nie chciał, nienfnie jakoś patrzył, zaklinał się, że o niczem nie wiedział; ale iść mu dalej nie bronił szukać i patrzeć. Dworek stał pozamykany, w stajniach, w kuchni, po izbach czeladnych nie było żywej duszy.

Po długiem śledzeniu we wszystkich kątach, Żegieć nareście w sianie znalazł parobczaka, którego widział, gdy tu z panem stali. I ten niebardzo chciał być rozmownym, mało co też wiedział. mówił tylko, że panowie jakąś wiadomość otrzymawszy nocą, bardzo gniewnie odgrажając i krzycząc na konie siedli natychmiast i w różne się strony rozbiegli. O brzasku tegoż dnia przybył potem oddział żołnierzy z zamku, opasał dwór, wtargnął do środka, przetrząsając wszędzie, szukając i pytając, gdzie się Leszczyc podział. Parobczak jeszcze był wystraszony, bo go osmagano, chcąc z niego dobyć wiadomości, co się z panami stało...

Tu więc już pomocy żadnej nie mógł się Żegieć spodziewać, trochę jadła tylko wyprosił sobie do torby i wyszedł wielce zafrasowany.

Puścił się potem na miasto, sznurkując, czy gdzie znajomych ziemian nie spotka, których za-

wsze w Krakowie pełno bywało, ale miasto puściejsze było niż zwykle, a ziemianina nigdzie ani śladu.

Okolo dworu biskupiego przechodząc znalazł go też zamkniętym i jakby pustym, z ludzi zbrojnych, którzy zawsze w dziedzińcach stali — nie zostało i jednego. Ożywiony rynek, wśród którego okoliczne rycerstwo z pocztami, nieraz z tłumemni dwory, trąbiąc i hałasując się przewijało, stał teraz martwym. Mieszczanie i kupey z trwogą jakąś od progów domostw rozglądali się w ulicach, w których bardzo było cicho. Mniej też duchownych widać było niż zwyczajnie i złowrogie milczenie zalegało gród cały.

Ludzie, z którymi się spotykał nie mieli wielkiej ochoty do rozmowy, nienfnie uchodząc po kątach. Żegieciowi, widząc, że tu nic nie zrobi, na pamięć przyszło, iż z panem swym gościł na Pannieńskich Skalach u wdowy Doroty, i że tam ich uprzejmie przyjęto. Z tego, co między ludźmi slyszal, wymiarkował, iż tamby się albo ukryć można, albo prosić o pomoc jakąś.

Niewiele myśląc, choć odarty i niepozorny, w nadziei, że mu tam zaufają, puścił się do dworu na Pannieńskim. Na pieszą przechadzkę był to kawał drogi, ale wozy włościańskie szły w tamtą stronę, Żegiec się przysiadł, wpraszał i tak się dostał do dworu Doroty.

Tu także pozamykane było, i puścił się niż da-

wniej. Ostrożnie rozpatrując się dokoła Żegieć, znalazł sposób przemknąć się do drzwi i śmiało a natarczywie począł domagać do pani samęj, opowiadając, że posłany jest w bardzo pilnej sprawie.

Czekać musiał czas jakiś nim do niego wyszedł Przegała i jął go rozpytywać od kogo i z czem przebywał; Żegieć śmiało mu oświadczył, iż tylko z samą wdową mówić może. Zbywano go tem, że jej doma nie ma, rozpatrywano się w nim, badano, wreszcie wyszła sama pani do niego z niespokojnym twarzą wyrazem, nadąsana i gniewna.

— Miłościwa pani — począł śmiało do nóg się jej skłaniając Żegieć — jestem sługą tego, który tu u was niedawno gościł z Jaśkiem Bogorją, zwie się on Zabor z Przegaju. Stał się z nami przypadek straszny, chwycili nas ludzie księcia Mieszkowi, nie wiedzieć za co, na gościńcu, posadzili do ciemnicy, ledwieśmy się zdołali z wielką biedą podkopawszy uwolnić.

Wdowa poczęła ciekawie rozpytywać, bo i owego Zabora pamiętała mało i niewiele on ją obchodził, Żegieć jak mógł i umiał litość się w niej starał obudzić. Napomknął jej cicho, że do ks. Kazimierza w drodze byli. Dorota baczniej się przysłuchiwać zaczęła.

— Miłościwa pani — mówił Żegieć — jak ty nas nie poratujesz, zginiemy. Pan w podartęj odzieży kryje się w łożach, ani konia ni broni

nie mamy, nie wiedzieć dokąd iść i o czém. Zlituj się, ratuj!

Po krótkim namyśle wdowa, która była zawsze hojną do zbytku, rozkazała Żegocie dać koni parę i przyodziewek dla Stacha.

— Nocą, gdy się zciemni, niechaj przyjeżdża tu, a dalej co robić, zobaczymy.

Opatrzony szczęśliwie w to, co najpotrzebniejszém było, Żegiec siadłszy na konia i prowadząc drugiego, pobiegł nazad z wielkim pośpiechem. Jednak cała ta włóczęga tyle mu czasu zabrała, że gdy się znów na brzeg Wisły dostał w zarośle, już dobrze zmierzchało. W łożach też ukrytego Stacha nierychło mógł znaleźć, a na nizinach konie mu grzęzły.

Huknąwszy parę razy ostrożnie miał tę pociechę, iż pana odkrył, i przypadł doń sądząc, że się bardzo wiadomością rozraduje. Ale Stach o Dorocie posłyszawszy, namarszczył się strasznie, ledwie nie łajał i w początku się nawet oparł wracaniu do niej, chciał wprost ruszać do Sandomirza. Dopiero po namyśle i z niechęcią wielką, aby dostać języka, zgodził się wracać na Skaly... Nie cierpiał Stach wdowy i od niej pomoc przyjmując było dlań wstrętliwém, lecz rady innej nie miał.

Późnym wieczorem przemknęli się około miasta, a noc się poczyniała, gdy stanęli na górze i opowiedzieli się u wrót na Skalach, gdzie straż

znaleźli czujną i ludzi pozbrojonych jak do pochodu.

We dworze świeciło się jeszcze. Stach musiał iść doń, Przegala go zaraz do wielkiej izby wprowadził. Niedługo czekał i piękna wdowa wyszła doń, przyodziana niedbale, z włosami ledwie przewiązanemi, niewiele pono troszcząc się o to, jak się wyda, z brwią namarszczoną, z oczyma jakby troską wygorzałemi. Wpatrzyła się pilno w Stacha, którego, że raz tylko widziała krótko, zdawała się chcieć go sobie przypomnieć, gdzie i jak się spotkali.

— Kictleż was znowu pochwycił? — odezwała się namyśliwszy — gdzie? jak!

Stach taić się przed nią z tém nie potrzebował.

— Posłany byłem do księcia Kazimierza — rzekł krótko — zdradzono widać nas i wzięto na gościńcu przemocą. Żem się wykopał z ich kuny, łaska to Boża.

— Strzeż się raz jeszcze wpaść w ręce tego oprawcy — odezwała się Dorota. Widać po niej było rozgorączkowanie i niepokój, przechadzała się po izbie wzdychając.

— Nie ma dziwu — dodała — że was schwyciono, na Wojewodę też pono uczyniono zasadzkę, szczęściem był zawczasu zawiadomiony, Biskupa ująć chciano, i ten im uszedł, ziemian jak dzikie zwierzęta ścigają, nikt życia a zdrowia niepewny. Mieszek wie, co go czeka, broni się jak borsuk osaczony w jamie.

Zwróciła się żywo do Stacha.

— I mnie ztąd przyjdzie uchodzić — rzekła — lada godziny. Moi bracia korzystać z tego będą, iż bronić mnie nie ma komu, bo wojewoda o czém inném myśleć musi. Gotowi mnie ubić, gotowi zamknąć, a dla Doroty niewola — gorzej śmierci! Zechcieli napaść, ja się im tu z garścią ludzi nie obronię. Łzy gniewu stały jej w oczach, pomieszana była i rozdrażniona.

— Radcie wy mnie teraz, gdy ja wam radziła — rzekła — co robić z sobą? Nie mam teraz nikogo. Gachów zawsze pełno dawniej bywało, a przyjaciela nie mam ani jednego. Pustki u mnie, ja sama, choć głowę o mur rozbijać.

Stach się zadumał, mało ona w nim obudzała litości, czuł wstręt do zuchwałej niewiasty, mimo to w niebezpieczeństwie radzić czuł się obowiązany.

— Miłościwa pani — odparł — rada tu krótka. Jeżeli się napaści na dwór obawiacie, trzeba uchodzić ztąd i to nie mieszkając. Po lasach się tulać niewiele pomoże. Macieli jaki dwór obcy, do którego by się schronić można?

Dorota ruszyła ramionami.

— Ani domu ani łomu — odparła — a człowieka jednego, któremubym zaufała, krom starego grzyba wojewody.

— Nie już do niego do obozu? — zapytał Stach.

— No? a czemu by nie? — zawołała Dorota...
Stach ramionami ruszył.

— Do niego czy do lasu — rzekł — jnsi gdy się obronić nie można, trzeba ucieczką się ratować.

Dorocie oczy zabłyśły, drgnęła.

— Więc ruszym, gdzie oczy poniosą, ale i wy ze mną! — zawołała.

— Doprowadzę was — odezwał się Stach — do pana Wojewody, gdy Bóg pozwoli, dalej ja muszę jechać, gdzie mi polecono.

Dorota namyślać się zdawała...

— Dobrze tak — rzekła — wiedźcie mnie do obozu, tam ja będę bezpieczna. Sami ruszajcie do ks. Kazimierza. Wojna wypowiedziana, w domu siedzieć nie czas nikomu, na koń potrzeba wszystkim! na koń!

Poruszona wielce chodziła włosy rozwijające się zgarniając coraz niecierpliwie.

— Do jutra rana! — odezwała się — potém i ja z wami na koń, do obozu. Prowadźcie mnie do Wojewody, z sobą potém czyńcie co chcecie.

Stach możeby był do ranka niebardzo chciał czekać, ale znużony przystał i na to.

Już miał odejść, aby sobie szukać miejsca do spoczynku, gdy Przegala wpadł cały drżący, z oczami osowiałemi, dając po sobie poznać, iż niósł wieść groźną. Dyszał tak, że mówić nie mógł. Dorota nogą tupnęła.

— A mów, stary tchórze! — krzyknęła — co ci jest?

— Kurek powrócił z Tęczyna — zawołał Przegala — tam już pogotowił wszystko do najścia na nasz dwór do dnia, aby was pochwycić. Panowie bracia jadą oba, sto koni z sobą mają.

Wdowa rzuciła się z wściekłością niemal, uderzając go po ramieniu i popychając do drzwi.

— Ludzie na koń — zawołała — ja będę zaraz gotowa. Na koni kto żyw.

Skinęła na Stacha.

— Ty z nami!

Stach, który się ledwie z jednego wyrwał niebezpieczeństwa, wpadł tu w drugie nie mniejsze. Nie było wątpliwości, że panowie z Tęczyna za siostrą pogonią i ślad jęj wytropią. Czekala walka nierówna, śmierć, rany lub niewola znown... Lecz, wyboru nie było; odstąpić niewiasty, choć wstrętniej i winniej, nie godziło się.

Piorunem gotowano się do podróży, cały dwór ruszył się, wśród płaczu i zawodzenia dziewczek, które zbiegły się do swęj pani, narzekając na los i na to, co je spotkać miało. Izby się od wrzawy i jęków rozlegały. Dorota już wdziwiała odzież sposobila oręż, zagarniała kosztowniejsze sprzęty na wozy, które z nią iść miały, pędząc ludzi do pośpiechu.

We dworze nie miał pozostać tylko stary Prze-

gala, dziewczęta i niedoleżna służba, resz ta jechać z panią musiała.

Stach nim się opatrzył, zuowu konia dosiadać musiał, ale już był zbrojnym, bo mu dano kaftan, łuk, hełm jakiś i miecz niezgorszy. Wszystkich koni i ludzi orężnych nie było więcej dwudziestu. Przystojny młody koniuszy dowodził nimi, jak pan sobie poczynając, bo był w łaskach u wdowy i ta mu wolę dawała wielką.

Po ciemku jeszcze wyciągnęli ze dworu, puszczając się w dolinę, by jak najprędzej od Tęczyna się oddalić. Dorota jechała posepna i milcząca, niekiedy głowę zwracając w stronę dworu swojego, jakby przeczuwała, że jej do niego powrócić będzie trudno.

Jechać miano do obozu Wojewody Szczepana, ale gdzieby się on znajdował, nie wiedział nikt z pełna, pytać się oń i szukać go było trzeba, ku Sandomirskiej kędyś granicy.

Zrazu bładzono bezdrożnie, a młody koniuszy, który siedząc we dworze, nie wiele wiedział, pokierować nie umiał; Stach dopiero, któremu śpieszno było dostać się do księcia, w pomoc przyjść musiał, ludzi badać i najprostszych dróg szukać.

W pierwszym popłochu kupka ludzi otaczających wdowę, przedarłszy się po cichu przez dolinę, lasów szukała, aby w nich bezpieczniejszą się czując o dalszym pochodzie myśleć. Dorota

nalegała o pośpiech tylko, resztę zdając na Stacha i Koniuszego. Gdy na wytechnienie stanęli w lesie, nierozmyślając się długo, odziała się całkiem po mężku, wzięła zbroję, głowę okryła hełmem, który jej twarz okrywał, a że do konia dosyć była nawykła, wzrostem zaś mężczyźnie równała, płci jej trudno w przebrancj poznać było. Ludziom pod najsurowszą karą zakazano mówić o pani, jako rycerz i ziemianin przybyć chciała do obozu Wojewody, do którego się wszyscy garnęli.

Gdy ją tak przebraną Stach zobaczył a zbrojną, ledwie i onby był Doroty się w rycerzu mógł domyślać. Z odzieżą tą i orężem przypasanym nowe w nią wstąpiło męztwo, odzyskała śmiałość i butę a lekceważenie wszystkiego. Po drodze pytano języka u ludzi, po chatach, od przejezdnych, nie umiając pogodzić sprzecznych wieści, które co krok się mieniły.

Wiedzieli tylko wszyscy i na to się godzili, że w Krakowie już ani Biskupa, ani Wojewody, ani ziemian nie było żadnych, nikogo prócz dworu i ludzi książęcych. Po zamkach i dworach wszyscy siadali na konie i sposobili się do obozu.

Lud prosty, krom tego, że wszelkięj wojny i zawichrzenia się obawiał, niewiele zresztą troszczył się o to, co się w górze działo, od niego języka dostać było trudno. Po lasach i dalszych osadach wiedziano zaledwie kto w kraju panował

i rządził. Duchowieństwo i ziemianie sami dawali hasło i kierowali wszystkim. Dziś ono po całej ziemi Krakowskiej jedno było — Mieszka obalić. — Biskup, wytrzymawszy do ostatka, zwątpiwszy o nawróceniu, zagrożony wygnaniem, obrócił się stanowczo przeciw niemu. Luni Pasterze zgodnie szli za nim, a ziemian wszystkich miał za sobą.

Tym pochlebiali wielce, iż mogli powoływać i odwoływać panów swych, choć w istocie szli nie za własną wolą, ale za wskazaniem Biskupa, a bez niego nicby począć ni mogli, ni śmieli. Były to czasy, gdy tak samo Papieże walczyli o władzę z Cesarzami, gdy Biskupi w innych też krajach dobijali się niezależności, gdy Tomasza Kantuaryjskiego kanonizowano, a Rudobrody nawet oprzeć się potędze Rzymu nie był zdolnym. Rzym i duchowieństwo ówczesne przedstawiało w sobie myśl wyższą nad tę, którą władza świecka Cesarza uosobiała; — ono stało na straży prawa Bożego, szło w imię Ewangelii i nauki Chrystusa przeciwko pogańskiemu mieczowi i pięści.

Że w imię Chrystusowe, po ludzku, czyniono też i bezprawia, że się dobijano władzy często dla panowania, nie dla oświecenia i naprawy, prawdą jest; ale na chorągwi stało godło znaczenia pełne, ofiara, krzyż obłany krwią niewinną na Ewangelii oparty. — *In hoc signo vinces.*

Samowola ludzka musiała się tu ugiąć przed

prawem, choć samowolnie też tłumaczonem i wykładanem różnie; — zakresłano jej granice. Zbaczać mogli ludzie, lecz źródło niewyczerpane, naprawą błędu, obmycie z niego czyniło możliwem.

Na chorągwi Rudobrodego stało pragnienie potęgi dla niej samęj, na rzymskiej krzyż ów, który stał na ziemi, a ramionami niebios sięgał.

Tak samo tu, Gedko stawał w obronie praw ludzkich przeciw samowoli, a za nim duchowieństwo szło całe z owieczkami swoimi. Po drodze więc najpewniejszą wieść znajdowali po probostwach, gdzie już hasło dane się rozległo.

Stach ze wstrętem włókł się za swoim dowódcą, który pozbywszy się strachu, i widząc się na swobodzie, w położeniu nowem, niezwyczajnem, nabrał już rzeczwości i wesołości lekkomyślnęj. Rycerska zbroja bawiła wdowę, na koniu w orszaku orężnych ludzi, którym rozkazywała rażno jej było. Stacha już gotową była mianować swym pułkowską i zapowiadała, że jeśli jej do dworu na Skalach wrócić nie dadzą, puścić się chciała ze swą garścią bodaj na rozbój po gościńcach. Śmiały się jej przygody, jakie ją spotkać mogły. Płocha niewiasta znówu była we swym żywiole. Ciągnięto tak swawolnie dosyć dni parę, Stach się zżymał trzymając na uboczn, gdy nad wieczorem drugiego dnia, u granicy Sandomirskiej kilku ziemian spotkanych oznajmiło, że Wojewoda Szczepan z obozem i ludźmi swymi leżał już tylko

w pół mili. Natychmiast Dorota kazała pośpieszać i radowała się niezmiernie téj myśli, że starca oczaruje na nowo, stawiając się przed nim po rycersku.

Na zmierzeli się brało, gdy się namioty wojewodzińskie rozbite w dolinie ukazały, pod małym gródkiem i wioską. Wprost na obóz puściła się wdowa.

Na wzgórkun widać było już namiot wielki i chorągiew powiewającą. Nikt drogi szczupłej garstce nie tamował, mogła się dostać niemal pod opłotki ogromnego szarego namiociska. pod którym Szezepan Pobożanin odpoczywał. Ale tu zniechwałą niewiastę czekała niespodzianka. O kilkanaście kroków już usłyszała wrzawę ogromną; namiot otoczony był rycerstwem, którego konie i ludzie szeroko do koła się rozlegały. Gwar i ruch panował niezmierny.

Zdawało się, jakby z całej ziemi krakowskiej zebrało się tu co było najprzedniejszego, najbuzliwszego, najśmielszego; i tak było w istocie. Ponieważ namiot Wojewody już był przepelniony, skupili się ziemianie do koła niego głośno nawołując i rozprawiając. Gromadki stały, snuły się, łączyły, rozchodziły z niepokojem wielkim. Wybiegali do nich jedni z pod namiotu, drudzy do niego się cisnęli.

Dorota aż tu się zapędziwszy, nie wiedziała co począć, ale nie straciła przytomności, zatrzy-

mała się opodał trochę obrawszy sobie miejsce i jak inni rozgościła się na łące, stawiając wozy i ludzi. Namiocik kazala rozstawić. Ten i ów popatrzył na przybywającego towarzysza, lecz że było ludzi różnych mnóstwo, a coraz ciągnęli nowi, niebardzo na jednego więcej zwracano uwagę.

Obóz Wojewody przedstawiał ciekawe widowisko. Jedna część jego z prostego żołnierza złożona, obojętna spoczywała przy ogniskach, sprawując się cicho i nieporuszając zbyt żywo. Za to około namiotu Szczepana, jakby wiece się wrzawliwy odbywał. Coraz to się głos jakiś krzykliwy i ręce podnosiły do góry; czasem dwu usiłowało się nawzajem przekrzyczeć, niekiedy dziesięciu naraz wołało, a zamęt mnożyło. Poruszenie umysłów i rąk widać było niezmierne. Do tych co spokojniej stali na uboczu, podbiegali czynni nie dając im gnuśnieć, ciągnęli z sobą. Rzucano słowy ciężkimi, ostreimi jak kamienie, klócili się jedni, ściskali drudzy. Namiot Szczepana stanowił jakby ognisko tego wrzątku. Gdy się zawichrzyło mocniej wewnątrz, wypadali z niego ludzie z krzykiem do otaczających i na odwrót z tłumu niektorzy parli się do namiotu, który tak był pełen. że ściany jego poruszały się gdyby żywe, a ogromne koły, na których był zawieszony drgały, jakby powywracać się miały.

Stach poznał tu swoich, Leszczyców, Cholewę, Bogorjów i kilku z najgorętszych przewodzców.

Wielu, co świeżo przybywali, rozszluchiwali się dopiero i powoli w sprawę gorącą wtajemniczali.

Pod namiotem Wojewody Szczepana, główni naczelnicy, władcykowie, żupany, starszyzna wybrana obradowała, a raczej wtórowała sobie tylko i zagrzewała się, bo rzecz już była postanowiona.

Wojewoda sam, dawno nawrócony, słuchał milezący, potakując głową.

Jednym, co jeszcze nie zdawał się z drugimi w zgodzie, był stary Greżek z Potoka. Można pan wyglądał jakby kmieć prosty. bo nie dbał o to, znano go, że mienie miał książęce a obyczaj starodawny, surowy. Gdy inni stali, starzy siedział trochę przygarbiony, ręce obie w kabłak zgięte trzymając sparte na kolanach.

Usta mu się uśmiechały jakby drwil, a co myślał, Bóg go wiedział.

— Coż wy, Greżek, nie pochwalacie — ozwał się doń Cholewa — nie w smak wam to, co się poczyną.

— A no! a no! — mówił stary — ja się wprzódę chcę rozszluchać. W smak czy nie za kupą iść muszę, sam nie zostanę.

— Coż mówicie o Mieszku? — pytano.

— Co wy chcecie? tego pan — mówił Greżek — gdybym takiego włodarza miał na majątności, tobym go na rękach nosił.

— Inna włodarz, inna książę!

— A juści — rzekł Greżek. — I to ja jednak

widzę, iż gdy co u nas przydługo w miejscu siedzi, łatwo się nam zbrzydza. Więc już innego chcecie?

— Ten nas do jarzma wprzega! — wołano.

— Ile? a wybyście chcieli takiego dobrego, któregobyście mogli zaprządz? A to, baczcie, trudno, który się tam na górę dostanie zaraz wierzga!

— Kazmierza my znamy — poczęto z tłumu — o pan jak stworzony dla nas, ten nam da Salomonowe czasy.

— Hm — mruknął Grezek — a wszystko to pono z tego, że Biskupa w rękę nie całował? Nieprawdaż?

— Albo nie powinien! — ofuknął Cholewa.

— Czyż ja mówię inaczej? — odezwał się stary — trzeba całować, na to rady nie ma, bo to u nas tylko gadanie, że my książąt mamy, my mamy ino Biskupów nad sobą, a książąt, aby ich słuchali.

— I tak być winno! — dodał Cholewa.

— Albo ja mówię, że nie? — odparł Grezek — a już gdy tak jest, widać, że być musi. A prawda to — dodał — że Biskup Gedko na sądach go tego połajał?

— Bo zasłużył! — wyrwało się kilku.

— Ja nie przeczę! pytam czy lajał! — spokojnie ciągnął stary.

— A jużci! a jużci!

— Patrzajże Lutek — mówił Grezek do je-

dnego z bliżej stojących — jak cię proboszcz twój zeżga od ostatnich, abys go w rękę pocałował, bo z tobą będzie jak z Mieszkim.

— Niedoczekanie klechy! — zawołał Intek.

— Cichoż! — przerwał Greżek — a to cię wyknie.

Zamilkli nieco, żarty Greżkowe nie w smak szły. Zaczęto wymyślać na Kietlicza i wszelakie jego sprawy.

— Ta to u nas nie nowina — odezwał się stary — drugi Sieciech, drugi Dobek. Nasi panowie przepadają przez sługi. Czemuż Mieszkowi nie zapowiedzieć, aby go na Łużycę wyprawił.

— Bo nie posłucha!

Choćewa się znieczierpliwiony przybliżył do Greżka.

— E! stary — począł — co bo wy się spieracie, maciecie, przeciwko wszystkiemu się buntujecie?

— Ja? a daj ty mi spokój, człecz — rozśmiał się Greżek — ja pytam i słucham. Więc na Kaźmierza kolej, a to mi go żal, choć płacz, bo go w jarzmo wprzągacie.

— Dla czegoż się tak liujecie nad nim?

— Albo nie ma czego? — mówił stary. — Ta to biedny pan! Albo on może wiedzieć, jak go długo cierpieć będziecie? Nuż się wam jego Jaksa, Goworek albo Wichfried niepodoba, przepędzicie jako i tamtych.

Poczęli wszyscy wołać i krzyczeć na Greżka, ten się śmiał.

— Ja bo Kaźmierza lepij kocham od was — ciągnął dalej — kiedy mu tój cierniowj czarpi a bodaj i korony nie życzę. Na Sandomierzu siedzi jak u Boga za piecem, a w Krakowie wszystkim nam służyć będzie musiał. Sroga to rzecz. Patrzcie ino, że każdy z nas czego innego od niego zechce, ja, Leszczyc, Cholewa, nawet ten stróż co bramę na Wawelu omiata; dopieroż się zwijac będzie musiał, aby wszystkich obsłużyć!

Rozśmiał się, a po drugich chłodem powiało.

— E! e! — zamruczał sam Wojewoda — co bo ty Greżek psujesz nam dobrą myśl?

— Patrzcie? jam myślał, że wam jój dosypuję — zawołał stary. — Frasować ani siebie ani was nie mam ochoty, a co mi tam? To się na nie nie zdało!

A i to wiem jeszcze, o czém wartaloby pomyśleć, że Kazimierz rozumny pan, jak wiecie, bo mu tego nie zaprzeczyć, gotów nie przyjąć kota w worku, którego mu dajecie.

— Musi! musi! — krzyknął zamaszysto Leszczyc. — Między nami ziemianami a Mieszkim wszystko skończone! Gdyby dziesięć razy do Krakowa wchodził, to go wygonimy. Ha! odgrażał się, że nas obuzda! twardziśmy w pysku! My tu gospodarze, a on włodarzem, jakoś rzekł. On nas nie my jego słuchać mamy.

— To dopiero będzie doskonałe — rzekł Greżek — gdy mu stu będzie rozkazywało każdy co innego! No i lepiej chyba nie może być.

Znowu zakrzyczano starego, który zamilkł przygarbiwszy się, i słuchał. Było czego, krzyczano okrutnie, wywłączono stare sprawy, każdy coś miał, prawdę czy nie, do żaloby.

— Tak — powtarzano — między nami skończono! Nie zechce ustąpić po dobrej woli, mamy ludzi, pójdziemy i wymicciem go z gniazda. Ruszaj do Niemców na piwo! Zięciów ma dosyć, chleba mu nie zabraknie.

— Patrzajcie tylko, aby z zięciami wielu i żelaza nie miał wiele! — szepnął Greżek.

Toczyła się tak rozmowa coraz hałaśliwiej, a beczulki wypróżniały.

V.

Gdy z rozkazu księcia, nazajutrz po widzeniu się z Kietliczem, do dnia obstarpi ludzie zbrojni pod jego dowództwem dworzec biskupi, a on sam do bramy dobijać się zaczął — milczało z razu wszystko. Wyjrzał potem stróż, zawołano odźwiernego, odźwierny poszedł do ochmistrza i w końcu, nie rychło, otworzyła się furta Kietliczowi.

Nie łatwa to była naówczas rzecz Biskupa ująć, musiano mieć baczenie jak to uczynić, bo Pasterz każdy miał i zbrojnych ludzi dosyć koło siebie i we dzwony mógł kazać na gwałt uderzyć. Nie każdy też z książęcych ludzi chciał się targnąć na niego.

Kietlicz jeden ważył się na to, a i on szedł nie bez trwogi. Ale panu swojemu oddany będąc, posłuszny rozkazem jego w sumieniu się

czni zwolnionym. Zawczasu, nim na dwór biskupi obmyślano najście obliczono się z siłami. Księciu zdawało się że Gedko zbrojnych ludzi miał mało. Zażyć też miano fortelu, wyciągnąć go na zamek do pana; z kąd pokryjomu na wozie okrytym wysłać go chciało.

Była godzina ranna bardzo, ale naówczas dzień się dla ludzi wcześnie poczynał. Na Prymc już wydzwoniono, nie spał nikt.

Gdy się ochmistrz ukazał, Kietlicz zapytał o Biskupa.

— Książę go pilno dla rozmowy na zamek prosi i mnie przysyła — odezwał się.

— Dla rozmowy? — powtórzył urzędnik biskupi, poprawując na sobie odzieży — ale księdza Biskupa niema.

Kietlicz się cofnął

— Jako, niema? — krzyknął.

— A niema?

— Gdzie jest? w kościele?

— Nie w kościele — odparł ochmistrz ruszając ramionami. — Jego miłość nie tłumaczy się przedemną, dokąd idzie lub jedzie.

— Pojechał? poszedł? — wołał Kietlicz rozpaczliwie.

Na to pytanie urzędnik zwłóknął odpowiedź, gdy tuż ukazał się w sukni duchownej mężczyzna, poważny i przystąpił do Kietlicza.

— Biskupa niema? — powtórzył pytanie Kietlicz.

— Niema!

— Kiedyż, jak, dokąd wyruszył?

— Przecie się ojciec dzieciom opowiadać nie ma obowiązku gdy z domu jedzie — odparł ksiądz.

Kietlicz pobladł

— To nie może być, — zawołał w uniesieniu — to nie może być. Kłamstwo jest! On się ukrywa!

Duchowny nie nie odpowiedział nawet, zwrócił się tylko, jakby rozmowa była skończona, pogardliwie.

Kietlicz wszedł w podwórze i porywezo wprost pobiegł do dworca. Gniew go uczynił zapamiętany, drzwi poczał otwierać gwałtownie, komnaty przebiegał i nieopamiętał się, aż gdy nikogo nigdzie nie znalazłszy, wszedł do pustej kaplicy.

Widok miejsca poświęconego zmieszał go, drzwi natychmiast zatrzasnął, odwrócił się. W dali stał ksiądz i patrzył.

— Dokądże zbiegł? — zakrzyczał.

— Kto *zbiegł*? — zapytał duchowny.

Kietlicz zmuszony był się poprawić, sam czując nieopatrznie wyrzeczone słowo.

— Dokąd wyjechał?

— Nie wiem — rzekł ksiądz spokojnie.

— Dawno?

— Jeszcze wczoraj, — odparł tak samo za pytany.

— Wczoraj! wczoraj! — krzyknął wysłaniec książęcy, rzucając się gniewny. — Wczoraj?

Nie możecie niewiedzieć dokąd!

— Nie wiem, — stanowczo odezwał się kapłan.

Tak się skończyła napaść próżna na dwór Biskupi.

Gdy Kietlicz na zamek powrócił i do księcia pobiegł z doniesieniem, żaden muskuł nie drgnął na twarzy Mieszka. — Rzekł spokojnie.

— Rozumny ksiądz! czuł że zgrzeszył i że ja mu tego przebaczyć nie mogę. Ale, zwolna, niepotrzeba robić wrzawy, znajdziemy go.

Zamyśliwszy się nieco, nakazał natychmiast wysłać ludzi aby się potajemnie dowiadywali dokąd Biskup się udał.

— Potém, zobaczmy co czynić wypadnie.

Twardy charakter Mieszka nie łatwo złamać się dawał przeciwnościami, które znosił cierpliwie. Nie zbacał przez to z drogi, iż mu się nie powiodło, rzecz dlań była odłożona, nie stracona. Kietliczowi dał rozkazy. Wysłano natychmiast na gościńce różne. Niepojętą zdawało się rzeczą, jak Biskup z miasta, z pod zamku, w biały dzień ujechać mógł tak, by nikt o tém nie wiedział. Zwykle każdemu poruszeniu jego towarzyszyła pewna obrzędowa wystawność, występował dwór,

szło z nim duchowieństwo. Tym razem Biskup, którego zawczasu ostrzeżono, w kilka koni wrotami tylnymi, bez orszaku, krncyfera, konno, płaszczem okryty, otoczony groniadką niepokazną, wyniknął się tak, iż go wcale nie postrzeżono. Ci nawet co go widzieli, nie poznali. W samym dworze nikt nie mówił o wycieczce, wielu o nićj nie wiedziało.

Gedko wprost ztąd podążył do Tyńca. Tu mógł być czas jakiś bezpiecznym, a w razie zamachu, łatwą była nieieczka i schronienie pewniejsze jeszcze.

Położenie Tyńca na wysokim Wisły brzegu, panującym okolicy, czyniło doń przystęp niespodziany trudnym. Klasztor od pierwszych czasów po swém założeniu urósł już był, rozwielał się, otoczył się murami, rozszerzył, choć — jak mówiono, ostrość regny znacznie zwolniła. Benedyktyni tutejsi mieli w krajn poszanowanie, powagę wielką, targnięcie się na nich gwałtowne nie tylko tu — odbić się mogło w Europie.

Zakon Ś. Benedykta, z którym o lepsze walczyć zaczęli Cystersi, dzieci Ś. Bernarda, spoglądał na nich jak na młodą latorośl, której przyszłość była niepewną. Po klasztorach benedyktyńskich z przekazem mówiono o współzawodnikach, którzy ilekroć byli wyzwani do boju, ostro się bronili.

W istocie regna Ś. Benedykta, szczególnie

w zachodniej Enropie uległa zmianom niezmiernym. Opaci i starszyzna wiedli życie zbytkowne, okazałe, gorszące; szły na to mnogie skargi do Rzymu a z Rzymu napomnienia, posły, badania, wszystko to nie pomagało. Bogactwa, które się coraz noweni zapisami pomnażały, na ciężką próbę wystawiały słabych ludzi.

W Tyńcu Opat Kaźmierz oczekiwał już na Biskupa. Jak imie jego zwiastuje, był on polakiem; Tyniec, którego opaci i duchowui w ścisłych byli stosunkach z kapitułą krakowską, najlepszym schronieniem tymczasowem mógł być dla Gedki.

Na tę wycieczkę wziął z sobą Biskup jednego tylko duchownego, mistrza Amiljusa, ale rozkazy wydane były, aby dwór, lud zbrojny i wszystka siła jaką miał Gedko przy sobie, różnemi za nim podążała drogami.

Gedko nie z przeczucia i obawy że go ścigać i nwieźć mogą, opuścił Kraków; tego się bowiem zrazu nawet po surowym Mieszkui nie spodziewał, ale po stanowczem doniesieniu iż go skazano na wygnanie i zamach się nań gotował — wyruszył natychmiast do Tyńca.

Krok to był, na który Biskup się ważył niechętnie, upokarzający go w oczach własnych. W początku też chciał, wyzywając księcia, pozostać w miejscu. Nie wierzył doniesieniu, dla powagi swój trwać chciał nieporuszony na dworcu, cze-

kać gwałtu — ale przyboczni tak go zaklinali i prosili, że wreszcie uległ ich namowom.

Dumny, nieugiętego ducha Gedko, gdy raz zgodził się na to ustąpienie przed księciem, wyrzekł zarazem wyjeżdżając z miasta, iż nie powróci tu chyba z Kaźmierzem, wygnawszy tego, który się nań śmiał porwać.

Przez całą do Tyńca drogę Biskup musiał odmawiać pacierze, aby pohamować w sobie oburzenie. Nie szło mu tyle o siebie, bo gotów był na męczeństwo nawet, ale myśl sama iż się na władzę mu powierzoną targnąć śmiano, zdawała się świętokradztwem.

— Nicch więc zejdzie z oblicza ziemi, który śmiał podnieść myśl, jeśli nie rękę na służbę ołtarza pańskiego — wołał w duszy. — Czyn, choć niepopołniony, myśl grzeszna już jest występkiem. Nie mnie ale jego wygnanie czeka!

Gdy u drzwi Opactwa ukazała się gromadka towarzysząca Biskupowi, stał już tu Opat z całym duchowieństwem swém, — z cichém ale uroczystém powitaniem Pasterza.

Gedko na chwilę wszedł z niemi do kościoła, aby się pomodlić u ołtarza i z Opatem razem ndał się do przeznaczonego mu mieszkania.

Opactwo Tynieckie od skromnych swych początków wzrosło było teraz w mury, w majątności, dochody i dostatki wielkie. Klasztor się rozprzestrzenił znacznie, zwiększyły budowy gospo-

darskie i cały gród benedyktyński na warowny zamek wyglądał.

Ogromne przestrzenie ziemi już naówczas należały do niego, a lasy, barcie, rybołówstwo, dzieścinny z pól, służba z osad, dozwalały mnichom życie prowadzić wygodne. Zwolna też przepisy zmuszające do pracy ręcznej zaniedbane zostały. Muisi zadawali się pilnowaniem ludzi służebnych, zakładaniem ogrodów, a większa ich część wolała przesiadywać w bibliotece niż kopać w polu.

Życie też, pod pozorem ostrego klimatu, który nie dozwalał trzymać się ściśle przepisów dla innego kraju postanowionych, stawało się coraz miększym i zbyt kowniejszym. Warzono miody i piwo dla gości, ale dla mnichów z zagranicy sprowadzanych zakupywano wino i stół się bez niego nie obchodził.

Jak we wszystkich naówczas klasztorach w Polsce i tu cudzoziemcy liczbą przeważali, rej wiedli. Na Tyńcu może mniej ich było niż gdzie indziej, ale i tu język, obyczaj, życie cudzoziemskie było raczej niż domowe.

Opat Kaźmierz, sam polak, wywdzięczając się za to iż go obrano, tym pilniej dogadzał starszyźnie z włochoń, francuzów i niemców złożonej. Ta przynosiła tu zwyczaje obcych krajów, tak że wielu braci brodatych spędzało całe dnie na koniu, ze psy, w lesie, a trąbki się od odzywały w podwórzach na równi ze dzwonkami.

Biskupi się mało w dozór karności klasztornej wdawali, zostawując rządy Opatom i naczelnikom zakonu, zresztą ilekroć oni sami wyjeżdżali do klasztorów, życie mnisze w ściślejsze karby wchodziło.

Gedko wspaniałej tu był przyjętym niż zwykły żyć we własnym domu. Prawdziwe gody zgottał dlań Opat z przepychem i wystawnością pańską. Biskup zasiadłszy do stołu mógł się przy książęcym sądzić. Srebra, złocone kubki, szkła weneckie, wino stare, misy kute misternie, opony, któremi stołowa izba gościnna okryta była, godne były zamku pańskiego.

Sami zasiedli do stołu z Opatem i mistrzem Amiljusem, który był Gedki ulubieńcem, człowiekiem nauki wielkiej, do pióra szczególniejszym. Gdy pismo do Rzymu lub jeden z tych pięknych wstępów do jakiego aktu stylizować było potrzeba, na które się wówczas sadzono, by myślą i formą się odznaczały — bez niego się żaden nie obszedł pergamin. Mistrz Amiljus był do tego jedynym, bez namysłu płynęły mu najpiękniejsze zwroty o znikomości rzeczy ludzkich, i t. p. Zresztą był i z tego miłym Biskupowi, że nigdy własnego nie objawiając zdania, gorąco zawsze popierał co Gedko wypowiedział.

Już z twarzy Pasterza i obejścia się jego, Opat Kaźmierz, człek bardzo bystry, przebiegły i zręczny, obyczaju uprzejmości pełnego i posta-

wy nader miłej — domyslał się iż Pasterz przybywał z brzemieniem jakimś na piersi.

Dano mu znać wcześniej, że do Tyńca przyjedzie, ale nie tłumacząc podróży.

Gedko siadłszy za stół, ukończywszy modlitwy, długo pozostał zadumanym i milejącym. Gdy misy postawiono a braciszkanie się oddalili. Biskup dopiero puścił swobodnie cugle myśli i z wezbranej piersi potok popłynął.

— Ojcie Kaźmierzu, — zawołał wzdykając ciężko — ojcie Kaźmierzu, zaprawdę, twardych dożyliśmy czasów. Ot znowu chmury ciągną, ot znowu my pasterze duchowni musimy wtargnąć z władzą naszą w świeckie sprawy. A co się gotuje, Bóg jeden wie! Odmówił książę Kaźmierz dwakroć spuścizny po Kędzierzawym, nawet gdyśmy go przy trumnie nieboszczyka prosili, aby ją przyjął. Prawem starszeństwa oddaliśmy Mieszkowi stolicę — na to, aby on nas z niej wyganiał!

Ha! — dodał — sługom Bożym bez obrazy swojego pana nie godzi się dać sobą pomiatać.

Westchnął znowu. Mistrz Amilius rzekł zwracając się do Opaty.

— Wiecie o tém? książę wydał wyrok skazujący Pasterza naszego na wygnanie!

Opat ręce złożył i oczy podniósł ku niebu.

— Jakimże prawem!

Gedko posępna twarz zwrócił ku niemu.

— Prawa, nie pyta! — rzekł. — Nie Gedki bronieć, ale dostojności Biskupa krakowskiego. Co mnie dziś, jutro mogłoby spotkać brata mojego w Guieźnie, wszyseysmy dotknięci. Cheą z nas nieć nie slugi Boże, ale posłuszną czeladź tylko.

Opat zdumiony słuchał, Biskup mówił dalej.

— Ojciec mój, my tu z waszego spokojnego klasztoru na czas musimy uczynić obozowisko i wiecewą szopę — nie może być inaczej. Rozkażecie wpuszczać ktokolwiek przybędzie do mnie, bo ja dziś oka nie zmrużę nocą. Ludzie moi wszysecy podążyc tu muszą, ziemian pewnie zjedzie kilku — naradzać się trzeba a ratować!

Tych wyrazów domawiał Biskup, gdy jakby na ich potwierdzenie gwar u furty posłyszeli i dzwonienie. Za Biskupem już przyciągali dworzanie jego i lud zbrojny.

Przynosili wiadomości z Krakowa, że na zamku panował niepokój i gorączkowie, choć tajone przygotowania, wysyłano oddziały na różne strony aby jednych chwycić, drugich przed księcia stawić. Czuć już było z obu stron wydaną wojnę. Donoszono, że z malemi wyjątkami, co było jeszcze ziemian przy dworze, za swojemi idąc, pierzchnęło.

Natychmiast Gedko porozsyłał ztąd gońców do Wojewody i innych ludzi znacniejszych. Szala widocznie przechylała się na stronę Biskupa,

z księciem nie chciał trzymać nikt, burzyło się co żyło.

A że cokolwiek się na zamku działo, zaraz w mieście wiedzano, wszyscy jak Biskup wyrokowani na kary różne, wygnanie, stratę oczów, rąk, więzienie — ostrzeżeni w porę, mieli czas ujsć przed książęcemi siepaczami.

Cała noc prawie zeszła na czuwaniu, czynny Gedko albo się modlił lub dawał rozkazy, spocząć niechcąc na chwilę. Oczekiwano tylko na pewną wiadomość o Wojewodzie Szczepanie i na skupienie oddziałów zbrojnych biskupich, aby wyciągnąć z Tyńca i połączyć się z Wojewodą.

Ranek też następny upłynął na przygotowaniach wojennych.

Klasztor napełniał się jezdnią rycerstwem, refektarze zajmował dwór, po za murami niemal obóz się rozkładał, do którego coraz nowe posiłki przybywały, bo się rycerstwo łączyło z Biskupem.

Widział już Gedko z pociechą swą, że osamotnionym nie zostanie.

Około południa nadbiegl wysłany z Krakowa przez Archidjakona Arnolda, który na miejscu pozostał, dworzanie z oznajmieniem iż Kietlicz do dnia był na dworcu biskupim, że ludzie jego otoczyli go do kola, że się gwałtownie o Gedkę upominano, wzywając go do księcia. Potwierdziła się więc wieść, iż go pochwycić chciano. Biskup

dotąd jeszcze nie zupełnie dowierzający, uniósł się gniewem wielkim.

— Niema więc już wątpliwości, — zawołał — i nie powinno być miłosierdzia.

Natychmiast z listami i ustnemi poleceniami wyprawiono zaufanych do Gniezna, Płocka, Wrocławia, Kruszwicy, dając Biskupom znać o wypadku i hasło by wszyscy Kaźmierza na stolicę popierali.

Nie czekając już na to, aby książę miał czas się wywieźć o miejscu pobytu Biskupa i nadsłać może na Tyniec, Gedko natychmiast wyszedł dla obliczenia sił swoich i wydania nowych rozkazów wyjazdu, aby się połączyć z Wojewodą.

Nie miano jeszcze wiadomości pewnej gdzie się on znajdował, ale nie mógł być zbyt oddalonym. Czekać nań w Tyńcu narażając klasztor i siebie, nie chciał Gedko. Obok kapłańskiej powagi miał w sobie coś z rycerskiego ducha krwi swojej i do walki otwartą śpieszył ochotnie.

Walki jednak mało się było można spodziewać, gdyż Mieszek do niej sił nie miał. Co było rycerstwa krakowskiego, zamiast stać przy nim, zbiegało do obozu Wojewody. Nimby zaś posiłki od zięciów z Czech i Niemiec nadciągnęły, spodziewano się go wyrugować z Krakowa.

Tak stały rzeczy na Tyńcu, gdy na Wawelskim grodzie w istocie zamęt się brał coraz wię-

kszy i niepewność rodziła już co dalej czynić przeciw powszechnemu zburzeniu.

Kietlicz pomimo zręczności swój i zuchwalstwa, mimo gorliwości, żadnego prawie z odebranych rozkazów spełnić nie mógł. Wszystko mu się z rąk wyslizgało.

Z rana nie znalazłszy Biskupa. Gdy tegoż dnia obstać kazał dworek Leszczyca, pustki w nim zastał, posłani po innych ziemian nie byli szczęśliwsi. Dorota u której zasadzkę chciano na Wojewodę uczynić, uciekła. Szczepan był w obozie, nikogo z obwinionych njąć nie było podobna.

Mieszek czekał na wiadomości następny dzień cały, przynoszono mu coraz gorsze, ale nie był to mąż, który by się strwożył niepowodzeniem, lub mógł stracić ducha. W przeciwności równo jak w szczęściu umiał zachować zimną krew i wytrwałością żelazną, stał przy swoim. Myślał co czynić dalej, nad tem co się nie powiodło nie bolejąc na próżno.

Dnia tego jednak, Kietlicza się doczekać nie mogąc, wysyłał po niego kilka razy i sam wyszedł w podwórcę, aby swoje siły obliczyć.

Kietlicz wszędzie się znajdując zawiedzionym, nie mogąc dokazać nic, w bezsilnem miotaniu się i złości spędził dzień cały. On i jego siepacze pod dowództwem Berezy mścili się na bezbronych, za tych, których pochwycić nie mogli.

Noc już była, gdy Mieszek raz jeszcze po-

sławszy po swojego Palatyna (jak go tam nazywano), ujrzał nareszcie przybywającego, z twarzą bladą, drżącego, w sukni potarganej, z piętnem rozpaczliwej złości na czole i wargach drżących.

Mieszkowi dość było spojrzeć nań, aby odgadł wszystko — nie pytał o nic.

Stojący u progu — milezał.

Raz i drugi książę go zmierzył oczyma, chcąc wyczytać ile z sobą złego przynosił. Ucieczka Biskupa już mu była wiadoma.

Gdy Kietlicz ochłonął nieco, posypał się z nst jego cały szereg wyrzutów, przekleństw, skarg na ludzi.

— Miłościwy panie, — wołał — tu na nikogo nie można liczyć, wierzyć nikomu! Zdrajcy wszyscy. Jednego pocziwego niema między niemi, wszystko już się ciśnie ku Sandomirzowi do Kaźmierza, opuścili nas! Trzeba ślać do Czech i Niemiec o posilki.

Nie dokończył, książę chodził nie poruszony prawie, brodę dłonią poddzierał do góry, jak był zwykł gdy rozmyślał nad czem ważnem.

— Wy wszyscy i ty mylicie się patrząc na Kaźmierza, — rzekł ze spokojem. — Ja go znam iż się nie da ująć i przeciw mnie wysadzić. Nadto dobry jest i spokój miłujący. Miał Kraków w ręku, mnie tu wówczas nie było, prosili go, dawali mu, nie wziął, bo czuł że prawa doń nie miał.

Zresztą Mierzwa go tu z sobą przywieść powinien. Kaźmierz mi nie straszny! — dokończył.

— Nie jego, to innego sobie przybiorą — począł Kietlicz rozpaczliwie, — nie wiem już kogo, małoletniego Leszka chorego, albo z Władysławowiczów którego! Na Waszą Miłość wszyscy się przysięgli! Wypowiedzieli nam posłuszeństwo.

Milezał księżę, naówczas dopiero Kietlicz, którego do żywego bolało niepowodzenie, począł szeroko opisywać co go na każdym spotykało krokn, jakie wszędzie znalazł pustki i opoźnione gniazda.

Księżę słuchał bez widocznego wzruszenia; gniewu nawet nie okazywał przeciw Kietliczowi, który sam na siebie i wszystkich więcej się sierdził niż pan na niego. Ta zimna krew księcia, gorącego Serba tém mocniej rozjątrzyła iż położenie widział groźném, a pana jakby obojętnym na nie.

Mieszek najmniejszej nie okazując obawy, dał rozkazy chłodno aby zamek opatrzyć i ludzi zebrać co najwięcej. Nieograniczoną ufność zdawał się mieć w sile własnej i w dobroduszości Kaźmierza.

Gdy Kietlicz potem narzekać jeszcze począł, iż nikogo z winnych nie pochwycił — odparł mu księżę.

— Dali się który wziąć, łeb mu ucinać, bo przykładu trzeba.

Późnym wieczorem nadciągnął Mierzwa po-

wracający z Sandomirza. Stawił się naprzód do Kietlicza. Zobaczywszy go samego, zrozpaczony już i tak Kietlicz, rzucił się nań jak na pastwę, chcąc dowiedzieć co przywoził.

Pierwsze co widoczne niósł z sobą na twarzy i w ruchach, podsędzia, to były resztki pijaństwa jeszcze zupełnie nie otrzeźwionego. Sprawiało ono że Mierzwa mimo niepowodzenia, widział wszystko w barwach dosyć jasnych.

Gdy Serb przypadł doń gwałtownie, z pogardą wpatrując się w zataczającego trochę przybyśza, Mierzwa słodko bardzo przemawiać doń zaczął.

— Niechno, miłość wasza ma cierpliwość — rzekł, — niema nie tak zrozpaczonogo, aby się niepomierne sierdzić. Niema jeszcze nic.

— Powracasz sam? gdzie ksiązę? odmówił więc przyjazdu? Czemuście go nie przymusili?

Mierzwa nie goloną od dwu dni brodę pocierał z nałogu.

— Niechże no, miłość wasza, posłucha jak to było — odezwał się — rzecz to ciekawa. Przybyłem na zamek do Sandomirza, mogę powiedzieć, przyjęty tam jak słudze pańskiemu przystało. Najśliczniej. Posadzono mnie u stołu przy ks. Opacie.

— Mów do rzeczy! — zawołał Kietlicz. — Ksiązę Kaźmierz?

— Nie było go! nie było! — odparł Mierz-

wa. — Wyjechał i nikt nie wie kiedy powróci. Wyruszył na łowy, między nami mówiąc, wszyscy wiedzą na jakie łowy. W lesie ma gdzieś zwierzynę z długimi kosami i białem leczkiem. Jak na te łowy pojedzie, gñaj wiatr w polu! nie powraca rychło! Gdym przybył, już go nie zastałem.

— Nie czekaliście?

— Czekać, dwa tygodnie!! — zawołał Mierzwa, rękami ruchy czyniąc osobliwe. Ludzie wiarogodni zapewniali mnie, że gdy wyruszy w te lasy, na tego dwunożnego zwierza, czasem go dni kilkanaście niema. Com miał robić?

Tu zniżył głos i uśmiechając się a nieczwając że się Kietlicz burzył gniewem, ciągnął dalej.

— Książę poniekąd jest uniewinniony, Rusinka z którą go ożenili, nie powabna i nie wesola, choć cnót wielkich pani. Ludzie ludźmi!

Kietlicz się miotał, ochota go brała precz za drzwi wymieść nieszczęsnego posła.

— Gadajże — zawołał — coście na zamku widzieli? gotuje się tam co??

— Tak dalece nie słyszałem, oprócz uczonych i mądrych rozpraw, w których udział brałem. wstydu księciu mojemu nie uczyniwszy, — mówił Mierzwa, śmiejąc się. — Opat Lucjusz a choćby i Scholastyk Lambertus, uczeni męzowie, ale w jurisprudeneyi biegli nie są, co im dowiodłem. Ile razy się puścili w pandenky, de-

kretalja, zakony, pobilem ich na głowę zawsze. Chodzili jak po gołoledzi, nie wytrzymali ze mną.

Z dumą to rozповідаł Mierzwa — Kietlicz spluwał.

— Widzieliście kogo więcój na zamku? — pytał.

— Przemykających się różnych, dużo — rzekł Mierzwa — podejrzanych, bardzo podejrzanych! Oprócz tego zwykły dwór, Jakse z Miechowa, Goworka, Wichfrieda. Ruch w Sandomirzu wielki, ale co to znaczy, gdy księcia niema.

— Nagliliście aby tu przybywał?

— Toć było poselstwo moje -- zawołał niemal urażony podsędzia — jakżebym ja nie spełnił misyi? Sambym się naówczas osądził nie tylko na grzywny, ale na chleb i wodę! Prosiłem o naglenie nie tylko Jaksy, nie tylko Goworka, Opata, i wszystkich, wiążąc ich uroczystemi obietnicami, ale zdałem to na księżnę. Przyrzekła mi pani miłościwa, małżonka wyprawić.

Kietlicz niechęć już słuchać więcój, pogardliwie dał znak Mierzwie by się oddalił.

Trochę jeszcze napojem oszołomiony podsędzia, chętnieby był dłużej opowiadał, mając ochotę żywo i dowcipnie się rozgadać — ale mu słuchacza zabrakło — Kietlicz pobiegł do księcia.

Nie pozostało Mierzwie nic, chyba do dworku swojego na podzamczu powracać, w którym wątpliwych ślubów żona, kilka młodych służebnic

patrjarchalnym obyczajem przyjętych i krzykliwie dzieci nań oczekiwały, ale na łono tego szczęścia domowego Mierzwa nie miał ochoty się udać. Dokuczyło mu już one.

Bardzo więc na rękę mu było, gdy w podwórzu spotkał Skarbego Juchima, z którym go czuła przyjaźń łączyła, idącego powolnym krokiem z zasępioną i zafrasowaną twarzą.

Mierzwa z Juchimem żyli w najściślejszych stosunkach, chociaż Skarbny gardził człowiekiem grosza przy duszy nieumiejącym utrzymać i życia tylko używającym bez miary.

Ale — potrzebowali się wzajemnie. Mierzwa napędził wlokącego się powoli żyda i uderzył go po ramieniu wesoło witając. Usposobienie to Juchimowi wydało się dziwném, smutną twarz zwrócił ku niemu.

— No, widzicie, — wołał Sędzia — znowu jestem na miejscu i sądy się rozpoczną! Dużo spraw zalegać musi.

Juchim ruszył ramionami, popatrzył nań z politowaniem, nachylił mu się do ucha i szepnął.

— Czy ty uszów ni oczu nie masz! człowiecze! czy ty nie widzisz co tu się dzieje?

Mówił poruszając się coraz mocniej.

— Oni nas i siebie zgubią! To głupi goj ten Kietlicz! Oni powinni byli zawczasu wszystkich pobrać, dali się im porozłazić. Gwałt! co to za pilność! Z więzienia u nich uciekają, a kto chce

ino, z przed nosa uchodzi. My tu wszyscy niepewni —

— Co ty pleciesz? co pleciesz? — zawołał Mierzwa nastraszony. — Co ci się śni? ty stary!

Tak mówiąc, wyszli za wrota zamkowe. Juchim szedł cały drżący z gniewu i strachu.

— Ty bo oczów nie masz! — wołał przerywanym głosem. — Nie mnie, tobie się śni, że co wczoraj było będzie zawsze! Ty tego nie widzisz, że nam ziemia się pęka pod nogami.

A! a! gdy tak pójdzie, nie stanie nas tu wszystkich prędko.

Mierzwa otrzeźwił się i poczynął chmurnieć.

— Co ty gadasz! cóż się tu stało bezemnie? — spytał.

— Pójdź że na miasto — mówił żyd miotając się gwałtownie coraz. — Miasto puste, Biskupa niema, Wojewody niema. Wiesz gdzie oni są? Wszyscy poszli się sprzysięgać na księcia i Kiełtęza. Wszyscy! — ciągnął Juchim mnosząc się. — Ha! a co będzie z nami? księcia wypędzą — co z nami? He! Nas powieszają! Tyś sądził, ty męczył, karał, ja dusił za grzywny — Ha! oni nas teraz zechcą sądzić i dusić! A co my winni? co my winni?

Mierzwa już był odzyskał zupełną przytomność, czuł że rozumny Juchim nie trwożył się darmo.

— Słuchaj, Juchim — odparł kiwając głową — czego się ty boisz! Tobie nic nie może być, bo

ty masz pieniądze, a mnie? mnie nie może nic być, bo ja mam rozum (uderzył się palcem w czoło), albo ja nie mogę służyć innemu, jak służyłem temu?

— Ja mam pieniądze! — podchwycił przyskakując do Mierzwy Juchim z gniewem okrutnym, tak że podsędzia się cofnął. — Ty śmiesz gadać że ja mam pieniądze! ty! Kto tobie powiedział że ja mam pieniądze! Ty potwarco jakiś!

I począł potrząsać suknią swą brudną i wyszarzaną.

— Jakże ja mam pieniądze? zkad ja mam je nieć? Ja mam ten łachman co na grzbiecie, więcęć nie. Co ty będziesz gadał że ja mam pieniądze! Czy to pieniądze moje! Ja na chleb nie będę miał.

Mierzwa głowę to podnosił, to spuszczał.

— Słuchaj, Juchim — rzekł — po co ty to mnie gadasz?

— A na co mówisz że ja mam pieniądze? — krzyknął żyd, — ja jestem żebrak, ja nie mam nic, nie.

— No, jak tak — dodał Mierzwa — to cię powiesić mogą.

Szli dalej, Juchim z głową spuszczoną, Mierzwa gładząc brodę. Tuż pod zamkiem był dworek Juchima, chata oparkaniona tak wysoko, że z za tynu dachu jęj prawie nie było widać. Wrota ogromne, ciężkie, kute, prowadziły do wnętrza.

Mierzwa do swego domu zawczasu nie chcąc powracać, towarzyszył Juchimowi, choć ten go nie bardzo zapraszał. Stanęli u wrót.

— Słuchaj ty biedny nędzarzu Juchimie, — odezwał się podsędzia, — mnie w gardle od drogi zaschło, ty masz i wino i miód, jabym się napił i pogadaliibyśmy o naszych biedach. Ręka rękę myje.

Tak się naparłszy w gościnę Mierzwa, przez otwierającą się furtkę wszedł w podwórko Skarbnego, nad które coś uboższego, brudniejszego, bardziej opuszczonego widzieć było trudno. Chata pokryta słomą, choć spora, najgorszej wieśniaczkiej na pozór równała.

Juchim szedł przodem nie bardzo zważając na ciągnącego za nim Mierzwę, zajęty tak był obawą o los własny, iż go więcej nie obchodziło. Weszli do izby ciemnej i smutnej. Juchim u uszaka drzwi, dotknął ręką jakiegoś znaku, rękę pocałował i nawijającemu się tuż chłopcu, odzianemu lichu coś szepnął. Sam zaś czapki nie zdejmując, począł ręce myć i ocierać o ręcznik przy drzwiach na kołku wiszący. Mruczał jakąś modlitwę. Mierzwa siadł i oparł się na stole, jakby mu się na drżenie zbierało.

— Słuchaj, Juchim — począł po wypoczynku krótkim — mnie to coś powiedział ani się w głowie pomieścić, ani wyjść chce z głowy. He? Myślicie że już tak źle z nami?

Stanął przed nim Skarbny, ręce za pas wkładając.

— Żle! co to źle! najgorzej! — zawołał. — Trupem już słyhać! Myślałem że Kietlicz rozumny człowiek, a książę mądry pan, oni wszyscy ślepi, oni głupi są! Oni myśleli, że im wszystko wolno, a nie pamiętali o tém, że kto chce bić, musi mieć dwu do trzymania. — Gdzie teraz ci co będą trzymali? Kto im będzie trzymał? Ci co mieli trzymać, ponciekali!

Żyd się żywo przebiehaczać począł, Mierzwa słuchał i czekał. Niedoczekawszy się, rzekł.

— Wy myślicie że nam co zrobią? Slug za to nie wieszają gdy panowie grzeszą! Ja mam rozum, to się wyłgam, no — a ja taki swoje, ty masz pieniądze, to się wykupisz!

Jużim po raz drugi usłyszawszy o pieniądzach przyskoczył doń z zaciśnionemi pięściami.

— Co ty mi będziesz o pieniądzach gadał. — krzyknął — ty! ty!

— A! między nami! — rozśmiał się Mierzwa — ja tego na rynku wywoływać nie będę! — Ju-chimowi oczy świeciły strasznie.

— Ja wyjdę o kiju, z torbą! ja będę żebra-kiem — wołał jęcząc.

Uspokoił się jednak po troszę, gdy podsędzia dał mu znak ręką, iż więcej mówić o tém nie będzie.

Nierychło Skarbny zbliżył się do siedzącego.

— No co? — spytał — sprowadzą oni tu Kazimierza?

Mierzwa się strząśł.

— Co ci w głowie — rzekł — tak dalece nie zaszło jeszcze. Nasz książę ma siłę.

Juchim ruszył ramionami.

— Jaka? gdzie? — spytał. — Zięciów swoich! Zięciowie mają sprawy swoje, z nich się żaden ani ruszy? A tu!! jaka siła!

Sparł się na stole nad siedzącym.

— A książę Kazimierz? co to jest za pan?

— Dobry pan — odpowiedział Mierzwa, — tak dobry, iż nie zechce bratu szkodzić! To nie może być!

— Nie może? — więc innego wybiorą i posadzą — mówił Juchim — to u nich już postanowione! A kogo??

Mierzwa zdawał się nie wiedzieć co odpowiadać, ruszył ramionami. W téj chwili stara kobieta w rodzaju zawoju na głowie, z twarzą pamiarszczoną, mileżąca przyniosła dzbanuszek i kubki, spojrzała z pogardą na Mierzwę, nie skinęła mu nawet głową, postawiła przed nim napój i szybko się oddaliła.

Rzucił się podsądzia na ożywiające przyjęcie, nalał kubek i rozkoszując się, cały zatopiony w smakowaniu, pił a cmokał.

— Ja tobie powtarzam, — mówił Juchim zbliżając się do niego znowu, — nam trzeba myśleć o sobie, nie długo już ich panowania!

Mierzwie te przepowiednie mniej od napoju smakowały, krzywił się.

— Ty Juchim, — rzekł — nadto daleko chcesz patrzeć. To się na nic nie zdało. A chcesz koniecznie wiedzieć co my robić mamy! A! takich ludzi jak my zawsze im będzie trzeba, temu czy innym! Ja? będę im sądził jak zechcą! Na ścieście, to na ścieście, na całowanie, to na całowanie.

Gorzéj z tobą panie Skarbny!

Juchim się znowu oburzył.

— Dla czego ze mną gorzéj być ma? — A kto im będzie pieniądze bił i zbierał? A kto u nich zadzierżawi mennicę? Kto potrafi co ja?

Ja jestem ubogi, ale około cudzych pieniędzy chodzić umiem. U mnie one nie przepadają, a mnożą się.

Tylko jabym chciał wiedzieć, co to jest ten Kaźmierz?

Mierzwa przynaglony ruszył ramionami.

— Co to jest Kaźmierz! — zawołał — to jest taki książę co o pieniądze nie dba, skarbów zbierać nie będzie, przyjdzie Biskupom ręce całować, a ziemian karmić i poić. Będzie w kościele śpiewał i...

Mierzwa niedokończywszy, ruchem jakimś ręk

pokazał, że Skarbny się po nim nie wiele spodziewać może.

Juchim w milczeniu zbierał jego słowa.

— A! a! — jęknął — co to będzie z nami!
co będzie z nami!

Mierzwa już znowu podpiwszy, był dobrój myśli.

— E! daremna troska cię gryzie — rzekł — co ma być? My pierwsi pójdziemy się nowemu panu pokłonić, głowy nam nie zdejmie! Dobry pan!

Żyd westchnął.

— Dobry pan — mruknął — z dobreimi panami niema dobrój roboty.

Wytrzymawszy tak Skarbnego, z miną rozjaśnioną i tryumfującą powstał z siedzenia podse-dzia i zbliżył się do ucha jego.

— Ty jesteś — odezwał się rozweselony — wcale nie głupi człek, ale ty patrzysz za daleko a nie widzisz nic. Wypędzą Mieszka? myślisz że spokojnie wytrwa, że nie będzie próbował powracać? zamiast jednego, któremu służymy, będziemy mieli dwu, którym będziemy potrzebni. Albo to od obu brać i dwom służyć nie można, kto ma rozum!

Chrząknął Mierzwa i popił.

Ze wszystkiego co dotąd mówił, ostatnie się widać najrozumnijszém wydało Juchimowi, głowę skłonił i umilkł.

Poszano wał w Mierzwie człowieka wedle my
śli i serca swojego, nie mówiąc nic, kubek
mu nalał — i spokojniejszy po izbie zaczął się
przechadzać.

VI.

W cichej dolinie otoczonej lasami wzgórzami, u brzegów wijącej się zielonemi łąkami, pośród wierzb i oleh Pilicy, maleńka osada z kilkunastu chat złożona, kryła się zasłonięta od wielkich gościńców i od ludniejszych okolic. Zwano ją Sulejowem.

W chwili, gdy się nasza powieść poczyna, w zakątku tym spokojnym, widać było na wznioślejszym nieco brzegu rzeki, szeroką dosyć przestrzeń zajętą, jakby naprędce pokleconemi drewnianemi bndowlami, wśród których gdzieniegdzie ściany rozpoczętych zaledwie murów się wznosiły. Zdawało się to coś podobnego do zameczyska, a w istocie niedawno założony klasztor mnichów białych, dzieci Bernarda świętego, których od

pierwszego ich gniazda Cystersami, lub od założyciela Bernhardynami zwano.

Potężny duch reformatora, ojca zakonu, jednego z najdzielniejszych mężów swojego wieku, zdał się w nową regułę przelewać, i za życia św. Bernarda zakon wzrósł do przeszła półtorasta klasztorów.

Wszędzie, gdziekolwiek chciano wiarę szczerpic i pobożność rozkrzewiać, zakładano Cystersów domy.

Sława Benedyktynów zaćmioną została przez wyszlą z łona ich nową milicyę Chrystusową. Na chorągwi jej stała znowu, jak za czasów Benedykta świętego „Praca!“

Gdy Benedyktyni już się teraz tylko o mądrość kusili, mnisi biali chcieli dać światu przykład wstrzemięźliwości, pokory i pracy.

Pomiędzy starszemi i młodszemi powstało współzawodnictwo. Starsi bracia patrzali z pewną trwogą na rozrastające się z nadzwyczajną szybkością młode pokolenie białych mnichów.

Benedyktynom zarzucano już życie rozpieszczone, a porównywając ich do pierwszych pustelników Antoniusza i Hilarego, Cystersi wołali: „Tamtym starczyła licha skórka zwierzęca, aby tylko nagość ich ciała okryła i od srogości zimna zabezpieczała; a wy nie tak się odziewacie. Tamci głodni pracą rąk własnych, z motyką i widłami szukali dla siebie pożywienia, wy czy tak czyni-

cie? Tamci niedostatek cierpiei, wy opływacie we zbytkach. Tamtych prześladowano i trwożono, wy wiedziecie życie wygodne i dostatnie. Tamci bładzili po puszczech, wy siedzicie wśród swoich na wywyższonych siedzeniach.“

„*Charta charitatis*“ nowa reguła nowego zakonu, który już był wprowadzony do Polski, surową była i nieniągana. Wszystkie klasztory św. Bernarda łączyły się w jedną ogromną rodzinę, i wiodły rod swój jak dzieci od matki, od zgromadzeń, z których powstały, wiążąc się z sobą nieustanném czuwaniem wzajemném.

Jak wszędzie, tak w Sulejowie zakładający się klasztor, przedstawiał już zarys wszystkim innym podobny, z jednych części złożony. Niewolno było zmieniać nic nigdzie w normalnym kształcie cysterskiego klasztoru.

Wprzódym nim do Sulejowa mnichów sprowadzono, nim tę dwudziestą trzecią córę wydał na świat Morimond (jeden z głównych cysterskich klasztorów) byli już zakonnicy tej reguły w Łędzie i w Oliwie. Sulejów dostał biblijne nazwanie: Siloa, zwano go też Silva, bo wśród lasów był położony.

Jak Benedyktyni zwykle się mieścili na górach, tak pokorni Cystersi chętniej zamieszkiwali doliny, i od dolin (*vallis*) najczęściej zwali swe schronienia.

Sulejów właśnie dla nich przypadał dobrze ze

swą kotliną lasami osłoniętą. Podług praw zakonu wprzód, nim mnisi tu wciągnęli na dolinę Siloa. już schronienie dla nich tymczasowe było przygotowane. Wedle wskazówek przyszłego opata wystawiono naprzd kapliczkę drewnianą, izbę jadalną, sypialnię, schronienie dla gości i celę dla odźwiernego.

Kościół się dopiero zaczynał budować, gdy pierwsi dwunastu apostołowie weszli na poświęconą siedzibę swoją. Właśnie niedawno Opat Lucjusz z towarzyszami zajął był ubogie jeszcze budynki, na których miejscu miał później stanąć kościół i klasztor wspaniały, osobny dwór Opaty, folwarki i ogrody.

Całym wyposażeniem jakie z sobą od matki klasztoru przynosili wszędzie pielgrzymi, było kilka ksiąg niezbędnych, bez których się obejść nie mogli. Psalterz, Hymny, Collectaneum, Antyfonarz, Graduał, Mszał i ta „*Charta charitatis*“ Karta miłosierdzia, która prawo w sobie zamykała.

Ubogo wyglądał Sulejów jeszcze, chociaż obok tymczasowych drewnianych szop, w których miescili się mnisi, już żwawo rozpoczynała się budowa kościoła pod ich dozorem, wedle ich formy. Mury już z ziemi wyrastały. Około nich rośła się gromadka robotnika i białe widać było suknie przewodniczących im mnichów.

Drogą wiodącą ku temu nowemu klasztorowi jechała pięknego poranku wiosennego, mała gar-

stka rycersko a myśliwsko odzianych ludzi. Przodem urodziwy mężczyzna, lat średnich, z twarzą piękną a smętną, z długimi włosami puszczo-nemi na ramiona. Za nim z brzydką a pocziwą twarzą, ogorzały, chudy jechał pachol oczyma ścigając każdy ruch pana, dalej z kilku lowczemi psów było kilka.

Gromadka ta wyjechawszy z lasu, zatrzymała się nieco. Jadący przodem stanął, stanęli i inni. Zdawało się, że chciał się przypatrzeć okolicy. Oczy jego skierowały się ku klasztorowi biejącemu w dali poczetami mury. Nie pilno mu było, stał długo i patrzył. A gdy potem westchnawszy koniowi dał znak aby szedł dalej, nie popędził go żywiej, owszem chód jego hamował, jakby się spieszyć nie chciał.

Rozglądał się po okolicy,— dumal.

Byłto, jak się domyśleć łatwo, książę Kazimierz spłoszony z Gaju, przez ziemian, którzy go nocą najechali. Jagua też musiała powracać do starego ojca, a książę lękając się do Sandomirza jechać, gdzie nań ziemianie krakowscy czekali, od których natrętnych nalegań się spodziewał, wolał zawrócić do eichój tej ustroni w dolinę Siloa, w której jego staraniem stało się gniazdo modli-awy, zapalało ognisko światła.

Na to ręk swoich dzieło książę spoglądał roz-zrównioném okiem, z myślą jakąś tęskną, jak by z zdrościł tym, co tu mieli zażywać pokoju przy

pracy, zrzekając się woli własnej, aby mieć spokojne sumienie.

Może i on byłby się teraz zrzekł tej woli, która często wyrywała się rozumowi, obłąkiwała na bezdrożach, aby okupić tą ofiarą pokój duszy.

Życie, jakiego pragnął z tém, które prowadził, nie godziły się.

Świat ciągnął słabego pana w swe objęcia, gdy dusza wyrywała się ku czystym sferom światłości i ciszy.

Przeżył już wiele, odcierpiał niemało, a nie wiedział, co go czekało jeszcze. W Sandomirzu jeżeli nieszczęśliwe życie było znośne, w Krakowie czekała niewola złota, niepokój, niepewność, wrzawa.

Miłość ziemian pchała go tam, żądł niechęć może wkrótce spychać miała. Wstręt też czuł do rzucania się na nowe, nieobliczone losy.

Jechał, w myśli tak przebierając wszystko przeszłe, aż do ostatniej godziny przebytą w Gaju, przy tej szalonej dziewczusze, od której nie mógł się oderwać. Sto razy postanawiał zostać wiernym żonie, spełnić przyrzeczenia duchownym dane, potem przychodziła chwila namiętności, żebraczka posłanka zjawiała się pod oknem, Kazimierz nie miał siły z niczém ją odprawić — i jechał. A wracając potem gryzł się w sumieniu własnym, wstydził sam przed sobą, pokutował na duchu.

Cheiał się czulój przywiązać do żony, którą mu narzueono, a niemógł się zwyciężyć.

Pokorna, dobra towarzyszka jego, namiętnej miłości w nim obudzić nie umiała. Szanował ją, a dzika żądza jakaś, piastowska krew ciągnęła go ku drugim niewiastom. Jagna była najukochańszą ale może nie jedyną. Nowe lezko, nowe słowo, młodość a krasa świeża, jakimis obietnicami nowego szczęścia porywały go ku sobie.

Szukając szczęścia po bezdrożach, w istocie był nieszczęśliwy.

Gdy tak jechał wzdychając, Smok, w którego piersi odbijało się każde pańskie westchnienie, tłumił w sobie do wtórowania mu ochotę. Żał mu było tego pana. Czui, że był nieszczęśliwym, niemogąc odgadnąć dla czego?

— Czego bo mu braknie? — mówił w duchu — ma, co dusza zapagnąć może, a smutny tak, jakby z głodu marł, odziać się nie m'al w co i biedniejszy był odemnie? Żonka młoda, no, i ten wicher co za nim lata i do którego on uieicka — i panowanie i pokłony. — Czego mu brak?

Smok ruszał ramionami. Radby się był tajemnicy dowiedział, ale zapytać o nią pana? nigdyby się nie ważył. A dałby był wiele, żeby odgadnąć co mu tak ciążyło.

Każmierz jechał powoli zadumany, rozpatrywał się po okolicy, myślał, jak się tu podźwignie kościół, jak tych dwunastu pierwszych wzrośnie

do kopy i jak tój liczby doszedłszy, klasztor jego nowych dwunastu krzewicieli wysłał ztąd na jakąś pustą dolinę, aby się rozległa chwała Bożą.

W okolicy życia jeszcze było mało, osada uboga, trochę ludzi kręciło się tam około budowy, kilku pastuszków około trzód na łąkach stało, na polkach u wzgórzy widać było białe koszule wieśniaków, którzy coś przy roli robili. Spokój wielki, błogosławiony a uroczysty rozlany był na tym krajobrazie nieszerokim, tęsknym, miłym, dzikim trochę.

Książe jechał nie spiesząc.

Uciekał tu, gdzie go pewno nikt nie miał szukać, gdzie się go nawet domyślać nie mogli. Chciał tu z mnichami pomodlić się, rozmówić, popatrzeć jak rosło *claustrum*, a zapomnieć, że go z Sandomirza wypędzano.

Spodziewał się tu czas jakiś przebyć ukrytym, dopóki by pierwsza gorączka, tych co go na tron powoływali, nie przeszła. Żał mu tylko było, że Opata Lucjusza, którego w Sandomirzu zostawił, nie znajdzie tutaj, pocieszał się przeorem, który go zastępował.

W tych myślach powoli zbliżył się ze swojemi do furty klasztornej, która, jak wszystko tu, tymczasową była. U drewnianych wrót zbitych z desek, na koziąg nóżce wisiał prosty sznur od dzwonka, lecz nim go Smok pociągnął, przez okienko wyjrzał furtyan siedzący tam dzień cały

i poznawszy księcia, bo go tu znali wszyscy, pośpieszył otwierać, dając znać przez braciszka do klasztoru, jaki im wielki gość przybywał.

Gdy Kaźmierz z konia zsiadłszy wchodził, wedle zwyczaju Cystersów, furtjan przyklęknął do powitania.

— Mój ojcie — rzekł książę do niego — o przybyciu mojem nie głoście, nie z urzędu opiekuna dla oglądania, ale schronić się do was przyjechałem.

W klasztorze tymczasem wszystko się już poruszyło i białe habity spieszyły na powitanie założyciela swojego. Jakież było zdziwienie księcia, gdy przodem idącego ujrzał Ojca Lucjusza Opatą, o którym sądził że jeszcze w Sandomirzu przebywa. Za nim szli O. przeor, Kantor, kustosz i cała starszyzna niewielkiej gromadki, która jak zawsze w początkach, z osób się tylko dwunastu składała. Dwóch młodych polaków, żaczków z Krakowa, do nowicjatu przyjętych, służyli francuzom za tłumaczów i pomocników.

Wszystko tu jeszcze, jak powiedzieliśmy, ubogo i tymczasowo wyglądało, szczególnież klasztor sam drewniany, sklecony na prędcie, aby mnisi przybyć mogli, ale już, wedle prawideł zakonu, mający w sobie to wszystko co każde klastrum cysterskie składać musiało.

Opat witając księcia uśmiechał się wesolo i wnet do osobnego dworku swojego poprowa-

dził; Opactwo bowiem stało zawsze oddzielnie od zabudowań klasztornych i było niejako wrotami przez które zgromadzenie ze światem zewnętrznym się łączyło.

Cały plac, który zająć miały obszerne budowy, był jeszcze pełen nawiezonego drzewa, kamieni, cegły, wapna, materiału najrozmaitszego, około którego krzątali się cieśle, murarze, kamieniarze i ich pomocnicy. Z ziemi gdzieś tam wyglądały wyrastające fundamenta, zarysowując przyszłe budowy i podniosłejsze już ścian kawałki.

Opodal widać było opasane zagrodami z drzewa i płotów ogrody klasztorne, wirydarze przyszłe, ogród Opat, folwarki i stajnie. To co było dotąd, ledwie obietnicą przyszłości nazywać się mogło.

Część zakonników była przy robotnikach w ogrodzie, część około klasztoru, a wszyscy, mimo niewygód i nieładu, wśród którego dla przyszłości pracować musieli, twarze mieli uśmiechnięte. Nie przerażało ich że tu wszystko stworzyć było potrzeba.

— Ojcie Luceuszu — odezwał się książę — jakże i czemu się to dzieje, że ja tak szczęśliwie was tu znajduję? Sądziłem że poczekacie tam na mnie, dokąd ja teraz jechać nie mam ochoty.

— Niepokój miałem o gniazdo nasze — odpowiedział Opat — nie mogłem tam bezczynny siedzieć dłużej, a w Sandomirzu nie czułem się

potrzebnym. Bóg dobry sprawił że ja tu sam Waszą miłość powitać i przyjmować mogę. Lecz jakże nas ta łaska spotkała że książę zamierzyłeś odwiedzić Silwę, mnie nawet o tém nie wspominawszy?

— Bom wyjeżdżając z Sandomirza, niewiedziałem wcale że się tu znajdę, — rzekł Kaźmierz smutnie — Niepokój i mnie zmusił u was szukać trochę pokoju. Chciałbym tu spocząć i przypatrzeć się życiu waszemu.

— A! — odparł Lucyusz — jeszcze ono dziś nie jest takie jakimby być powinno wedle ścisłej reguły. Staramy się jej nie uchybić, aleśmy na obozowisku i obcy a nieoswojeni z krajem.

Książę nie śmiał, choć pragnął go o Sandomierz pytać, gdy Opat sam, wprowadzając go do swojego dworku z drzewa pobudowanego, ale przystojnie przybranego wewnątrz i czystego odezwiał się.

— W Sandomirzu ludzi tak dużo zostawiłem, że tam nie czułem potrzebnym. Wrota i drzwi przez cały dzień stoją otworem, a Goworek nie może spocząć, takie tłumy ziemian płyną ciągle z Krakowa.

Książę spuścił oczy zachmurzony.

— Wołają Waszą Miłość na stolicę — dodał Lucyusz.

I na to Kaźmierz nie odpowiedział. Oczy miał w ziemię wlepione i Opat łatwo mógł poznać iż

wiadomość ta nie miłą mu była. Nie pytał nawet o osoby, ani chciał wiedzieć którzy tam byli. Lucjusz zamilkł postrzegłszy to wrażenie na księciu. Nierychło Kaźmierz się odezwał do niego.

— Otóż masz, ojcze mój tłumaczenie dla czego wołałem tu zbiedz, aby w zaciszu przetrwać burzę. Burza to jest i mam nadzieję że jak nawalnica przeminie. Umysły ludzi gorących uniosły się, serca podrażniły — uspokoją się da Bóg. Jam do wielkiego państwa ani stworzon, ani z prawa powołany.

— Pokora chrześcijańska, mówi z was, miłościwy panie — odczuwał się Opat — ludzie sądzą inaczej. Niewiem czy się zdołacie oprzeć naleganiu i czy się mu godzi opierać. Wszyscy Pasterze nasi wołają do was — Umiłuj się nad nami.

— A któż zmiłuje się nademną! — przerwał Kaźmierz — Nie tylko sumienie się przeciwi, ale przykład starszej braci zdolniejszej odemnie trwoży. Jeżeli Władysław, Bolko, Mieszek nie zdołali ich zaspokoić czyż ja to potrafię? Nie mój ojcze, nie mówmy nawet o tém.

Wnet zmieniając rozmowę, książę zażądał aby nie jako gość ale jako jeden z braci podzielał życie zakonne. Prosił o to tak mocno iż Opat przystać musiał. Na to tylko zgodzić się nie chciał aby książę razem z innemi sypialnią dzielił. U Cy-

stersów bowiem wszystko wspólném było i nikt własnej celi nie miał.

Ponieważ już było po tercyi i po Mszy świętej a czas obiadu następował, książę zaś z Opatem na osobności nie chciał zasiąść do stołu, pragnąc się do życia klasztornego stosować, O. Lucjusz poprowadził go do skromnej szopy, w której jadano.

Mała kazalnica z desek zbita, na boku stojąca, przeznaczona była dla lektora, czytającego w czasie jedzenia. Rozpoczęto wedle zwyczaju od odmówienia psalmu „*Miserere mei Deus*” i błogosławieństwa.

Na stole podane były dwie potrawy, wino z wodą mieszane i chleb czarny. Pożywano w milczeniu. Książę z Opatem usiadłszy do stołu, nic innego nad to co wszyscy jedli mieć nie chciał.

Wkrótce też skończył się krótki obiad, czytaniem reguły i wspomnieniem zmarłych w zakonie macierzystym zamknięty. Tygodniowi dozorca poszli z zakonnikami do pracy, a najważniejsza tu teraz osoba, budowniczy „*Magister Operis*,” który robotami około kościoła zawiadował do swych cieśli i murarzy pospieszył.

Dwór księcia Kaźmierza jadł osobno i daleko dostatniej nad niego był przyjęty, bo w klasztorze dla obcych na niczem nie zbywało.

Po jedzeniu Opat, który znał upodobanie księcia, a pragnął go czémś rozerwać, skinął na Kan-

tora pod którego kluczem było, *Armarium* (biblioteka) i kalendarz klasztorny, aby komorę otworzył, w której przywiezione z Francyi skarby się znajdowały. Morimundska matka, wiedząc o tém co w Polsce najpożądańszém było, wyposażyła córkę nietylko w antyfonarze, hymny i graduały wspaniałe, ale dodała kilka rękopismów drogiech, które książę z ciekawością oglądał i tłumaczyć sobie kazał. Znalazły się tam poezye łacińskie chrześcijańskich śpiewaków pierwszych wieków, a nawet trochę świeckich rzeczy, bo i listy Seneki i ułamki Cyserona i historye rzymskie i coś o Aleksandrze Wielkim i różne świętych legendy.

Niektóre z tych drogocennych pergaminów malowane były i złoczone tak cudnie iż podziw a zachwycenie obudzały.

Książę właśnie był niemi zajęty tak iż o wszystkim w świecie zapomniał na chwilę, ciesząc się jak dziecię że skarby te do kraju przyniesiono — gdy natrętne pukanie do drzwi słyszeć się dało.

Z niecierpliwością książę ku nim zwrócił oczy, a Opat sam poszedł zobaczyć, kto się tu dobijać ośmielił. Przez zlekka otwarte drzwi Kaźmierz dostrzegł twarz dobrze mu znaną, wcale tu niespodziewaną — drgnął cały.

W przybyłym łatwo poznać było można cudzoziemca; młody był, przystojny bardzo, wzrostu słusznego, suknia i zbroja Niemca raczej niż Polaka cechowały. Twarz dosyć miła, łagodnego

wyrazu, oczy niebieskie, uśmiech swobodny i niewymuszony, usposabiały dobrze dla przybysza.

Opat przyjął go jak znajomego i poufale szeptać coś z nim zaczął, gdy książę, którego odpadła już ochota do oglądania *Armarium*, zaniepokojony, pośpieszył także do stojącego w progu.

Żywo natarł na niego twarz okazując zdziwioną, zafrasowaną ale nie gniewną.

— Wichfried! — zawołał — ty tu?

— Tak jest, miłościwy książę — odparł uśmiechając się przybyły — poszcześciło mi się Was znaleźć.

— Potrzebowałeś szukać tak pilno? — zapytał książę trochę niespokojnie.

Opat, widząc że się na poufałą rozmowę zanosi, wskazał na drzwi sąsiedniej sali kapituły, wspaniale nazwanej téj imieniem przedwcześnie, będącej w istocie izbą pustą, w której sprzętu żadnego nie było, a jak teraz i ludzi też. Wedle reguły schodzili się tam w pewnych godzinach zakonnicy.

U drzwi jęj O. Lucjusz wytłumaczył się zajęciem pilnem i odszedł, przybyły gość sam z księciem pozostał. Z obejścia się ich z sobą widać było zażyłość dawną i wielką poufalość.

Wichfried, o którymśmy już wspominali, jako o przyjacielu księcia, niegdyś towarzysz jego, gdy w Niemczech jako zakładnik przebywał, był

wnukiem starego Lanfrieda, który u siebie ze szczególną gościunością młodego sierotę przyjmował, opiekował się nim, a gdy mu na czem zbywało nie żałował swojej majątności.

Pamiętny tych usług Kaźmierz później wziął do siebie jego wnuka, którego wyposażyc chciał i w Polsce osiedlić.

Stosunki ściśle dawno ich łączyły, gdy Kaźmierz był wygnańcem opuszczonym; wpłynęły one na późniejszą obu zażyłość. Mieli z sobą niegdyś braterstwo rycerskie, żyli jak równi i druhowie, pozostała i teraz przyjaźń, na którą Wichfried zasługiwał, ale płochy człek nie zawsze na dobre jęj użyć umiał. Byłto powiernik i pomocnik księcia we wszystkich jego tajemnych miłośtkach, od których nie odcigał, ale raczej ośmiewał Kaźmierza.

Wichfried lubił życie, pojmował je jako zabawę i rad był ze wszystkiego korzystać, co je mogło uprzyjemnić. Z Kaźmierzem byli niemal jak bracia, choć książę poważniejszego nadeń umysłu, czasem go za płochym i lekkomyślnym znajdował.

Gdy się w kapitularku znaleźni sami, książę ujmując go za rękę, zapytał powtórnie.

— Wichfriedzie, jakżeś ty mnie tu mógł znaleźć, dla czegoś mnie szukał?

— Jak znalazłem! doprawdy sam niewiem — odparł śmiejąc się niemie — ale szukał pilno,

bo mi potrzeba było widzieć was rychło i mówić z wami. Od kilku dni serce mi bije żywiej, to com przeczuwał i czego pragnąłem ziszcza się. Jadę z Sandomierza — pędzę raczój. Wiedziałem, domyślałem się że jesteście w Gaju, tam już nie zastałem nikogo, śladem, węchem, domysłem, przeczuciem jakimś tu się dostałem.

— Mów prawdę! — przerwał Kaźmierz — wskazał ci kto?

— A! miły panie — odparł Wichfried — wam bo się ukryć trudniej niż komu. Poznają was wszędzie i domyślają się ludzie. W istocie po drodze ten i ów dał mi wskazówkę, a raz na gościniec do Sulejowa wpadłszy, reszty się domyśliłem.

Ale po co książe tu zbiegłeś? teraz! w tej chwili gdy tam tłumy z niecierpliwością na was czekają, wyglądają, wołają.

— A! — przerwał niecierpliwie książe — właśnie dlatego uciekał że za mną gonią!

Zatrzymał się chwilę i dodał.

— Znasz mnie??

— Tak jest — odparł Wichfried — ale znając was i kochając, boleję nad tém że uciekacie. Czeką was wielka przyszłość, której się odpychać nie godzi.

Książe poglądał po ścianach, usta ścinał.

— Ziemianie krakowscy, duchowieństwo, wszyscy wołają, błagają, ciągną — do Krakowa!

— Wichfried! — przerwał Kaźmierz surowiej — dość tego. Wiem o tém, przestań, nie dopuszczę się bezprawia!

Nie chcę władzy — pragnę spokoju. Nie mogę usłuchać tych głosów, które nie są głosem miłości ale gniewu, nie miłość ku mnie to sprawuje, ale niechęć ku bratu mojemu.

— A! — przerwał Wichfried śmiało — nie wchodzę w przyczyny jakie was ku wielkim ciągłą przeznaczeniom, błogosławię Boga który je daje.

Miły panie, spojrzycie na te ziemie wasze wszystkie, ile wy dla nich uczynić możecie. Co tu znaczy brat, co jeden człowiek, gdy do was wszyscy wyciągają ręce, a wy ich z barbarzyństwa wywieść możecie!

— Ja? — odparł żywo Kaźmierz — Ja! mylisz się! Czuję się słabym, jestem nim! Chcę dobra ale go uczynić nie potrafię — Mieszek ma siłę i rozum — ja ich nie czuję w sobie! Nie! nie!

Mówiąc to zatrząsł się cały, przystąpił do Wichfrieda objął go całując po dawnemu i dodał.

— Wichfriedzie, druha mój wierny — nie obciążaj ty nieszczęścia mojego. — Broń mnie, osłaniaj, ratuj. Ja tego nie chcę!

I najwyszy go pod rękę Kaźmierz wyszedł z nim z kapitułarza przez ganki ku podwórcom.

Tu się wszystko ruszało około budowy, we-

soło razem mieszczeni się z sobą mnisi i robotnicy.

Ciosano kamieniem, rozcinano belki, Magister z pergaminem w ręku, na którym nakreślony był plan kościoła i klasztoru, chodził rozporządzając ludźmi, tłumacząc się na pół znakami, wpół połamaną mową.

Twarz księcia rozjaśniła się.

— Patrz — odczytywał się do Niemca — oto najmilsze zajęcie moje! Zastalęś mnie nad malowaniem ich ksiągami, które mi dały na czas o wszystkiem złem i niedorzecznem zapomnieć! Tu serce mi żywiej bije patrząc jak się na chwałę Bożą w pustyni świat podnosi! To moje najupodobańsze dzieło!

— Tych dzieł, mając tak rozległe ziemie w ręku, będziecie mogli dokonać więcej niż teraz — odczytywał się Wichfried — Odziedziczycie skarby za które nakupicie ksiąg, będziecie mogli ziemiami ogromnemi uposażać klasztory, sprowadzać ludzi z całego świata. Stworzycie wreszcie rycerstwo karne z tych poczciwych a warcholowatych ziemian.

Smutnie uśmiechał się Kazimierz słuchając.

— Ja? ja? — spytał — Wichfriedzie? po-chlebeco, mów prawdę! Jeżeli surowy Mieszek nie zdołał ich uspokoić i zaprzędz do ładu, ty myślisz że ja to potrafię??

Rozśmiał się i ruszył ramionami.

— Mieszek wszystko chciał robić siłą, wy to dokonacie miłością. Was kochają.

Nie odpowiedział książę a odwróciwszy się i popatrzawszy spytał.

— Cóż się tam dzieje w Sandomirzu?

— Dzień i noc płyną ludzie i szturmują — rzekł Niemiec — ukryć się przed nimi długo nie zdołacie.

— Postanowiłem im zejść z oczów na tak długo jak tylko będę mógł — rzekł Kaźmierz — Zmuszeni czekać, widząc że ich odpycham upamiętają się.

— Ani myślcie o tém — odparł Wichfried — Ziemianie sami wreście mogliby strwożyć się, osłabnąć, zdanie odmienić, ale Biskup Gedko i Szczepan Wojewoda są z nimi, prowadzą ich, a tym o gardło bodaj idzie.

Piękna twarz Kaźmierza okryła się rumieńcem, który jeżeli nie gniew, to największą niecierpliwość oznaczał.

— Wichfried! dość już o tém! — przerwał — dość! Chcę mieć choć parę dni niczém nie zamąconych!

I nagle zwrócił się doń z pytaniem niespokojném.

— Sądzisz iż się mogą domyślać pobytu mojego w Sulejowie?

— Niewiem — rzekł Wichfried — ale jestem

pewny że prędzej później znajdą was, bo na wszystkie strony rozsyłać mieli.

— A no! później! później! — odezwał się książę weselój — Tymczasem wiesz co, Wichfried? Jutro sobie łowy sprawiemy. Spójrzyno co to za lasy dookoła, ile tam zwierza w nich być musi? W lasach tak cicho! tak spokojnie, tak pięknie! i ani jednego ziemianina krakowskiego!! Tymczasem, wracajmy do Opata, bawmy się rozmową, mówmy o dawnych czasach, o czém chcesz, byle nie o tém co mi wisi jak miecz nad głową!!

Słów tych domawiał książę i szedł już ku dworcowi Opata, gdy O. Lucjusz ukazał się idący od wrót, dając znaki iż miał z księciem do mówienia.

Zmieszany był nieco.

— Co mam czynić! — odezwał się cicho. U furty stoi jakiś człek z Sandomirza od księżnej posłany, która was wszędzie szukać kazała.

— Zdradzoneż mnie! — zawołał książę.

— Nie, wrótny, wedle rozkazu waszego, powiedział iż niewie nic — rzekł Lucjusz.

Książę Kaźmierz szybko do dworku pośpieszył.

— Proszę — odezwał się niecierpliwie — odprawić go kaźcie — chcę mieć czas do spoczynku i namysłu. Nie jestem tu księciem ale gościem waszym. Nie wypędzajcie mnie!

Opat się do wrót zawrócił, Wichfried patrzył na Kaźmierz z rodzajem współczucia czy politowania. Znowu się znaleźli sami.

— Uspokójdzie się! błagam Was! — zawołał Wichfried.

Kaźmierz wcale jednak nie uspokoiony, żywo począł zwracając się ku niemu.

— Ty jeden przynajmniej, powinienesz mnie zrozumieć, Wichfriedzie. Znasz mnie od młodu. Nie pragnąłem nigdy ani władzy ni skarbów, trochę pospolitego szczęścia jakie dano na tej ziemi wszystkim prostym ludziskom. Pamiętasz mnie ubogim zakładnikiem, gdy wasz dziad sprawił mi odzież i zbroję, abym mógł z Rudobrodym, bez wstydu, iść na włoską wyprawę. Dano mi żonę, wiesz jak, niemal za warunek objęcia księztwa — dziś mi wydrzeć chcą tę trochę swobody jaka mi została, i każą panować a raczej iść w niewolę! Nie macie litości nademną!

— A! miły panie — rozśmiał się Wichfried — Wszakże mi do was wolno mówić jeszcze tak jak niegdyś, kiedyśmy się sami przechadzali nad brzegami Renu.

Gdy będziecie panem nikt wam nie zabroni szukać sobie szczęścia i rozrywki, która sama nastreczać się będzie! Wszystkie piękne dziewczuchy uśmiechać się będą swojemu panu i narzucać mu! Wybierzcie jaką zechcecie!

Kaźmierzowi oczy zabłysły.

— Cicho! — zawołał — a! dość tych niewiast, dość. Biskupi mnie o nie strofują, ja sam klóczę się z sumieniem o nie.

— No — i Ściborzanki byście się wyrzec gotowi? — zaśmiał się Niemiec.

Każmierz jak zawstydzony oczy spuścił.

— Ona mnie więcej może kocha niż ja ją — rzekł smutnie — I ta będzie dla mnie straconą, przepadły moje wycieczki do Gaju!

— Dziewucha poleci za wami! — szepnął Wichfried — o to bądźcie spokojni.

— A Gedko mnie za nią wyklunie i wydzwoni z Krakowa, jak Wojewodę Szczepana za tę wdowę z Tęczyna.

— Szczepan stary, — odparł Wichfried usiłując rozweselić księcia — to zupełnie co innego. Wdowa też bałamutka, i w ludziach nie przebiera.

Chwilka milczenia zmieniła usposobienie księcia.

— A ty ją znasz? — spytał Wichfrieda.

— Z dalekam ją widział kędyś! — rzekł Niemiec — wydała mi się powabną bardzo. Co gorzej że, gdyby nie wzrost większy, do Sciborzanki podobna! A co gorzej jeszcze — dodał — to że za wami pono przepada, i radaby się zbliżyć. .

— Cóż znowu! — ofuknął Kaźmierz.

— Naprawdę tak jest — wiedzą ludzie, nie jeden raz mi o tém mówiono — kończył Wichfried — Ledwie się w Krakowie zjawicie, a bę-

dziecie ją mieć! Przyleci pod opiekę waszą bo ją bracia prześladową i podobno grożą zamknięciem, że się nie po ich myśli prowadzi.

Naprawdę nie o to im idzie, ale pono o ziemię, które ojciec jój przekazał. Niewiasta śmiała, żwawa i wesola!

Uciekając od braci padnie wam w ręce.

Zmarszczył się Kaźmierz.

— Dość bo już — przebaknął kwaśno. — Ale niemiec wpadłszy raz na ten przedmiot, odciągnąć się od niego nie dawał.

— W Krakowie nie ta jedna czeka na was — mówił uparcie — a mieszczki krakowskie!

— Nawet niemi nnie do Krakowa nie zaciągniecie! — odparł książę i zwrócił się ku pracującym.

— Patrz! — rzekł wskazując na podwórce klasztorne — żadnej niewiasty stopa nie przestąpi nigdy téj zagrody, zakonnicy ani ich widzą, ni słyszą o nich. Spokojni są i szczęśliwi!

Niemiec sklonił głowę.

— Nie wszystkim dano świętymi być! — rzekł z pokorą.

— Ale wszyscy się starać powinni niemi zostać, — kończył książę — Ja tym ludziom w grube sukno odzianym, poszczającym przez rok cały, śpiącym na twardych deskach, dobrowolnie trapiącym ciało, zazdroszczę!!

Zwrot ten rozmowy do którego książe był zwyczajnym, nie zmieszał jego przyjaciela — zamilkł tylko na chwilę. Szli dalej, gdy Opat zbliżył się zapraszając na chleb wieczorny do swojego dworku.

Książe zwracał się uparcie do refektarza wspólnego.

— My już dzisiaj jeść nie będziemy — odezwał się Ojciec Lucjusz — Dziś tylko czcząc przybycie dostojnego gościa rozdaliśmy braciom nadzwyczajny podwieczorek, po kawałku chleba i sera (Pitancia). Wam miłościwy panie, nawykłymi do innego życia i temu rycerzowi (wskazał na Wichfrieda) głodem u nas mrzeć nie damy.

Dał się książe namówić na wieczerę dla Wichfrieda, i Opat ich poprowadził, gdy tymczasem Przeor, zastępując go powiódł braci do refektarza, a między robotników kazał rozdzielać napój i posiłek.

Tak się skończył dzień pierwszy pobytu w Snlejewie. Kaźmierz z Wichfriedem na noc zostali w dworku Opata.

Nie zmienił postanowienia aby pozostać dłużej w tém ustroniu, zatrzymując przy sobie Niemca. W sąsiednie lasy mogli codzień czynić wycieczki, codzień o pierwszych dnia godzinach słuchać rannęj mszy w drewnianej kapliczce, przypatrywać się rosnącej budowie, obyczajem karności

mnichów, a naostatek i z Kantorem przezierać rękopisma klasztorne.

Wichfried się tém tak bardzo może nie zabawiał, ale książę Kaźmierz zapominał o tém co mu zagrażało, i czuł się niemal szczęśliwy ciszą i pokojem jakich zażywał.

VII.

Na zamku w Sandomirzu, od wieczora tego gdy Kaźmierz po rozmowie z Jaksą, ujechać w lasy postanowił — panował w istocie ruch i niepokój wielki.

Nie trwożono się tak bardzo nagłym zniknięciem księcia, ani tém że dłużej niż zwykle bawił na mniemanych łowach.

Dwór i bliżsi wtajemniczeni byli i nawykli do wycieczek podobnych, księżna nawet cierpliwie je znosiła, choć codziennie potrzebowała uspokojenia Goworka że księcia tylko co nie widać z powrotem.

Tym razem jednak niewieście plotki, niepokoiły ją trochę. Dla dworu księżnej nie było nawet tajemnicą że Kaźmierza na Kraków ciągnąć chciano, że się Mieszek nań odgrażał, że mogło

mu z jego strony niebezpieczeństwo się zapowiadać. Rada więc była co rychlej doczekać męża i wiedzieć co myśli.

Starszy ten brat księżnie Helenie zawsze się dosyć strasznym wydawał, a teraz gdy się bronić musiał, Kaźmierza posądzać — więcej niż kiedy.

Walczyła z sobą księżna i tak będąc dość niepewnego umysłu, czy życzyć mężowi głównej stolicy, naczelnictwa w rodzie, czy się dlań tego obawiać.

Miała dumy dosyć, pochlebiało jej to że Kaźmierza wynieść chciano, myślała o przyszłości syna, to znowu lękała się niepokoju, podstępów zdrady.

Życie w Sandomirzu płynęło jej szczęśliwie. Wprawdzie książę się ztąd często wyrывał, ale z Krakowa musiałby jeszcze więcej po szerszém państwie i nad granicami się rozglądać. Mniej więc siedziałby na zamku? Sama niewiedziała co jemu, sobie i dziecięciu życzyć, czego pragnąć..

Jaksa też siedzący na zamku ciągle, od wyjazdu księcia niecierpliwił się nieobecnością jego. Należał on do tych co wyniesienia Kaźmierza najdawniej i najgoręcej pragnęli, nie dla żadnych widoków osobistych, ale przez miłość dla niego.

Niecierpliwiła go obojętność księcia, i to co uporem nazywał. Rosło podrażnienie jeszcze w mia-

rę jak coraz więcej ziemian krakowskich przy-
bywało npominając się o księcia.

Nie było wątpliwości że go na rękach na za-
mek zanosą i Mieszek mu się oprzeć nie bę-
dzie w mocy. Codzień jakaś nowa gromadka
przyjeżdżała to sama po swój woli, to wysłana
przez Wojewodę, to z namowy Biskupa dla skło-
nienienia Kaźmierza, aby się nie opierał prośbie
wszystkich. Tymczasem jego — jak na przekorę
— nie było.

Słać po niego niewiadomo było dokąd. Gow-
rek się przeciwił dowodząc iż lada chwila sam
powrócić musi. Ulegając woli księżnej wypra-
wiono jednego z dworzan, który dotarł do Smle-
jowa, i, jak widzieliśmy, z niczem ztamtał został
odprawiony.

Ziemian krakowskich przyjmowano gościnnie,
zastawiano stoły, Goworek gospodarzył, Jaksa
pomagał, zatrzymywano niektórych, dawano do-
brą otuchę, miasto i zamek były pełne.

Jednego z tych dni i Stach, nieobawiający się
by go tu poznano, wyrwawszy się jak mógł naj-
prędzej z orszaku wdowy i obozu Wojewody,
przybiegł do Sandonirza. Jemu może najwięcej
ze wszystkich leżało na sercu aby tego pana któ-
remu życie zawdzięczał, wynieść na najwyższą
stolicę. Marzył o tém tylko od lat wielu; teraz
goręcej niż kiedy brał się do czynu. Mały czło-
stek, mógł jednak coś zrobić, znając ludzi i krę-

ęąc się między niemi. Sam on z wiernym Żegciem wyrwał się z obozu, nie bardzo opowiadając komu, dniem i nocą śpieszył do Sandomirza.

Jako Zabor z Przegaju miał tu dawnych znajomych, jako Stacha nie pamiętał go już nikt.

Owego nieponia miano dawno za umarłego. Sam Kaźmierz kilka razy go potém spotkawszy (choć jak mógł Stach unikał tego) zdawał się nie domyslać kto był, lub nie chce wiedzieć o tém.

Szerzyła się już wieść wszędzie że Kaźmierz panowania nie przyjmuje. Stach biegł aby podbudzić ziemian i skłonić ich do upornego uastawania. Nie wiedział spełnia jak to uczyni, ale wolę miał silną. Na zamku nie trudno było być przyjętym, tém bardziej iż Stach mógł się opowiadać jako przez Wojewodę wysłany. Tłumy krakowian z któremi się połączył, nastęrczyły mu się zaraz na wstępie do Sandomirza.

Stach u mieszczanina zajmwszy gospodę, wszedł między przybyłych nie zwlekając.

Wszyscy wołali jednym głosem że księcia nie było.

— Juści nam za morza nie zbieży, — zawołał wcisnąwszy się w gromadę — a no i do księżnej i do tych co na zamku pozostali musimy tego szturmować, nie folgując. Muszą wiedzieć gdzie książę jest! Czasu do tracenia niema.

Mowa ta przypadła do przekonania znudzonym oczekiwaniem.

— A cóż? — poczęto wołać — na zamek! do księżnej! Księcia musimy dostać — nie nie pomoże...

Dowodzili niektórzy że Kaźmierz krył się umyślnie; władzy przyjmować nie zechce, ale większość ziemian ani myślała słuchać o tém, ani przypuszczała ażeby się kto mógł opierać jej woli. Nie pojmowali aby Mieszek mógł przeciw niej powstać, a Kaźmierz nie pójść za nią.

Mieli Biskupa z sobą — zatem i sam pan Bóg był z niemi.

— Na zamek! — wołał Stach — do księżnej Jeżeli się chowa, będziemy szukali — czego mamy czekać? Wskróś ziemi nie poszedł! Choćby odjechał, pogonim!

— He! he! a gdzie najpiękniejsza dziewucha we dworze w sąsiedztwie, rozśmiał się jeden — tam go na pewno przy niej znajdziemy.

Śmieli się i drudzy potakując.

— Przy księżnie tylko o tém nie gadajcie! — dodał drugi.

— Na zamek! — powtarzał Stach — Goworek i Jaksa niech co chcą prawią — wiedzieć o nim muszą, i dostawić go nam!

— Gwałtem go na Kraków zaprowadzimy — powtarzali niektórzy.

— Musi nam panować!

— Choćby się opierał przez poszanowanie dla starszego brata — mówił Stach — gwałt mu zadamy. A i to pewna że gdyśmy go nie znajdziemy, gotów Kietlicz odkryć dokąd się skrył i pochwycić go. Na to już ma rozkazy.

Uchowaj Boże nieszczęścia, jak nie pośpieszymy, wezmą go nam!

— Odbijemy siłą, — poczęli krzycheć krakowianie.

— Jak się im raz dostanie, ratować go późno będzie — odparł Stach — Żyw się z ich rąk nie wyrwie...

— Na zamek! na zamek! — krzyczała gromada cisnąc się i popychając.

Ziemiańin z pod Proszowic, niejaki Gąsior, niegdyś wojak, teraz gospodarz, człek już nie młody, mienia nie wielkiego ale gęby ogromnej, wybrał się przodować, i rękę podnosząc, najgłośniej począł krzycheć —

— Na zamek!

Wszyscy szli za nim. Znano Gąsiora że do robienia zawieruchy nie było nad niego. Miał to do siebie iż mówić tak umiał jakby ludziom z gęby słowa dobywał. Na słowach mu nigdy nie zbyło, kłamał z zuchwalstwem niezmierném ludziom co lepiej od niego o czémś wiedzieli, w żywe oczy dowodząc co chciał — zakrzyczał, zahuczał i nikt się odzywać nie śmiał.

Gąsior który stał dotąd z tyłu wysworował

się naprzód, poczuwszy że tu jego miejsce było, Stach go popierał.

Co było ziemian w miasteczku polało się na zamek. Kupa ludzi stojąca pod wrotami przyłączyła się do nich, potem i ci co byli w podwórzu, i ci co za stołem siedzieli.

Gąsior mało komu znany, choć tam siła było godniejszych od niego do przodowania, sunął już na czele, jakby miał do tego wszelkie prawo.

Goworek z Jaksą stali w przedsieniu, gdy tłum ten zamasyasto wtargnął. Od kilku dni nie było to nowością widzieć ziemian natarczywie upominających się o księcia. Ci przychodzili tak butnie jak żaden. Gąsior począł od tego że tu nie przelewki są, bo księciu grozi niebezpieczeństwo.

— Jakie? — spytał Goworek.

— Oto w tej chwili — począł Gąsior — pan Wojewoda przysłał tu z doniesieniem, z najpewniejszą wiadomością że Mieszek rozesłał ludzi najsprawniejszych aby żywem czy trupem dostawili mu Kaźmierza.

Naszemu umiłowanemu panu największe grozi niebezpieczeństwo! Ratować, na gwałt! ratować. Niema chwilki do stracenia — a no za późno będzie gdy go uśmiercą lub oślepią!

Goworek i Jaksą strwożyli się w istocie.

— Zkądże? kto tę wiadomość przyniósł? — zawolali.

— A z Krakowa Wojewoda miał pewną wiadomość, kiedy z nią wyprawił — krzyczał Gąsior bijąc się w piersi — Rzecz pewna! jasna jak słońce! Kto żyw powinien stawać w obronie.

Gdy ściślej dopytywać zaczęto, Gąsior wskazał Stacha, ten niewiele myśląc potwierdził że o zamierzonym zamachu pewnośc była — że jechał z nią i przybył z obozu Wojewody.

Wszyscy po sobie z trwogą spoglądali.

— Wasza miłość — odezwał się Gąsior do Goworka — musicie wiedzieć gdzie się nasz pan ukrywa — Gotowiśmy wszyscy życie dać! Trzeba rozesłać na wsze strony!

Jedziemy wszyscy!

— Jedziemy! jedziemy! — poczęli wołać ręce podnosząc zebrani ziemianie — jedziemy!

Goworek naciśnięty zaklął się że o księciu nie wie.

Gąsior z całą swą gromadą rzucił się, pomi-jając go, ku komnatom samej księżnej.

— Pójdziemy do Jój Miłości, niech ona pana swego a małżonka ratuje!

Cheiano ich wstrzymać aby nie strwożyli księżnej, ale tłumowi zahamować niepodobna było.

Gąsior, któremu w pomoc przyszło dwóch znaczniejszych ziemian, Papibor i Sulek, przebojem poszli ku głębszemu zamku budowom, ku teremom księżnej.

Gwar pod oknami jój wszczął się tak wielki, iż Helena mocno się ulękła.

Wybiegli dworsey jój, Beżanie, z ruska dopytując strwożeni czego chciano.

Gąsior wołał aby księżna sama wyszła, że z nią mówić potrzebują. W téjże chwili Goworek środkiem zamku pobiegł aby ją uprzedzić, w sam czas gdyż tuląc ku sobie dziecię, zalana łzami, sądziła się już w niebezpieczeństwie. Uspokoił ją Namiestnik, radząc aby dla ułagodzenia i zadość uczynienia ziemianom sama do nich wyszła.

Wiodąc więc wystraszone dziecię za rękę, razem z Goworkiem wystąpić musiała na przed-sienie. Zobaczywszy ją, naprzód okrzyknięto podrzucając czapki do góry, życząc lat setnych, czém się już mogła uspokoić do reszty. Gąsior wystąpił.

— Najmiłościwsza pani — zawołał — my księcia przez miłość dla niego szukamy, my go dla jego bezpieczeństwa chcemy mieć! Pomóżcie nam, dajcie go! Mieszek na życie jego czyha! Jeżeli się gdzie książę ukrywa, nim my go po-trafiemy wyszukać, on gotów nań napaść! księ-cia nam trzeba!

Księżna zapłakana próżno ich zapewniała że o nim niewie. Ziemianie z Gąsiorem wołali a po-wtarzali swoje — że księcia należało wyszukać co rychlój i otoczyć strażą, aby go od wszelkiój napaści ochronić.

Posłyszawszy o niebezpieczeństwie księżna uczuła postrach wielki, wyciągnęła ręce ku burzliwemu tłumowi.

— Więc idźcie — zawołała z płaczem — szukajcie go, osłońcie, brońcie, proszę Was. Jego, siebie i dziecię wam polecam!

Czyńcie wszystko co się wam zda dla jego bezpieczeństwa potrzebnem!

Usłyszawszy to Gąsior zakrzyknął wnet.

— Hej! kto żyw! na konie! za księciem — nie mamy tu co robić. Na koń!

Ruszyli wszyscy — księżna, którą strach prawie o słabość przyprawił, zakrywając oczy splekane, sparta na ręku Goworka chwiejącym się krokiem powróciła do swych komnat, gdy zebrany ów tłum ruszał się już hałaśliwie wybierając, sam niewiedział dokąd.

Gąsior wołał nieustannie aby siadać na koń, iść, śpieszyć, ale sam stał. Inni kręcili się odgrazając na Mieszka i jego współników, aż Stach, widząc ten zamęt wystąpił.

— Niema tu co zwlekać i czas tracić drogi — zawołał — podzielim się natychmiast na kilka oddziałów i każdy wyruszy w inną stronę, szukać i przepytować o księcia.

Gąsior mu zawtórował.

Czynniejsi zaczęli się zbierać gromadkami, Stach kierował nimi, rozporządzając w którą kto z nich miał iść stronę. Gdy się to stało a przy-

szło już wyciągać w drogę, ochota ku obronie księcia znacznie ostygła zaczęła. Stach jeden poddawał im ducha. Okolo niego zebrali się młodszy i żarliwsi, inni chcieli ciągnięcie odkładać do jutra, niektórzy znajdowali przeszkody w koniach, ludziach i rynsztunku. Woleli siedzieć na zamku spokojnie, żywić się tu i wykrzykiwać. Stach jednak nie dopuścił aby to na niczem spłzło.

— Co postanowione to się spełnić powinno, — wołał głośno — zatem, komu w drogę temu czas, a kto się cofnie od tego co gromada postanowiła, ten zdrajca!

Gąsior to usłyszawszy, podniósł pięść do góry, powtórzył parę razy — Zdrajca! i natychmiast zaszywszy się w tłum, zniknął. Tyle go ludzie widzieli.

Inni szczęściem wzięli sprawę do serca. Z wielkiej jednak tej wrzawy zaledwie cztery poczty nie bardzo okryte dały się zebrać, jednym z nich tymczasowo dowodził Staszek inni młodszy z jego ramienia wybrani.

Cheiano jeszcze konie karmić i zwlekać, a byłby tym czasem wieczór nastał i wszystko się znowu może nazajntz rozchwiało, ale Stach przynaglił by na konie siadać i inni, radzi nie radzi, za jego przykładem iść musieli, w duchu gorliwość jego przeklinając.

— Temu bo pilno, — mruczeli — bodaj karku nadłamał.

Cztery gościńce wyznaczono któremi udać się miały oddziały, dostając języka, przezierając lasy, zajeżdżając do dworów, aby się dowiedzieć o księciu.

Staszek po części rachubą, częścią przeczuć jakimś wybrał się ku Sulejowu. Oddział ten był najliczniejszy, najlepiej zbrojny i najgorętszego ducha. Stachowi szło o to aby znalazłszy Kaźmierza, jakimkolwiek sposobem do jego przybocznej straży się wśliznąć. Obawiał się on naprawdę o księcia, i chciał sam czuwać nad nim.

Mało co od Sandomirza odciągawszy zaczęli zaraz po osadach i chatach przepytywać.

Dostać języka nie tak łatwo było, bo gdzie siękolwiek oddział rycerstwa pokaźniejszy ukazał, osadnicy z chat niekali i co żyło się ukrywało. Uprawdzano konie w lasy, pędzono stada w gąszcze, aby się uchronić od przewodu i przeżywania.

Wszyscy słudzy książęcy i duchowni, a nawet możniejsze ziemiaństwo miało prawo po gościńcach brać konie i ludzi, żywić się kosztem wiosek. Nawet psiarzom i sokolnikom pańskim odmawiać tego nie było można. Lnd więc po osadach gdy zoczył nadjeżdżających, natychmiast skryć się starał. Pomimo to, Stach konia nie szczędząc, łapał zbiegów po polach, ale od nich o księciu nie się dowiedzieć nie mógł.

Nie tracił przezto nadziei, by dalej puściwszy, się w lasy, nie wpadł na jakieś poszlaki.

Tymczasem książę Kaźmierz, któremu Wichfried tak w porę przybywał, łowami się zabawiał w okolicy Sulejowa, ale nie myśliwstwo to było a włóczenie się po lasach, bo psów i ludzi brakło. W Sulejowie pomocy żadnej nie znaleźli. Wichfried przybył samotrzeć. Choć więc lasy w zwierza obfitowały, uchodził im wszystek z przed nosa. Drugiego dnia książę już był bardzo markotny.

Smok który na to patrzył, nie śmiał mówić nic, ale mu pana bardzo żał było.

Po nieszczęśliwych łowach, zamruczał wieczór, że lepiejby było do Sandomirza powracać.

Zmarszczył się na to Kaźmierz, i milczeć mu kazał.

Po chwili namysłu, zwrócił się do niego. — Jedź ty — rzekł, — nie opowiadając gdzieś mnie zostawił, jedź i przyprowadź z sobą psy i ludzi trocha. A no mnie nie zdradź gdzie jestem, bo chcę tu spocząć.

— Miłościwy panie, — odparł sługa, — a jakże ja was tu samego porzucę — to nie może być.

— Z mnichami i Wiechfriedem cóż mi się tu stać może? — zawołał książę.

— Albo ja wiem — mówił Smok zafrasowany, — mnie się opuszczać was nie godzi.

Uśmiechnął się Kaźmierz. — Jedź, nie pytaj, —

rzekł, — jam tu bezpieczniejszy niż w Sandomirzu. Wracaj mi tylko rychło. Spytają cię gdzie jestem — mów że w lesie i że mi tam dobrze.

Smokowi się na żaden sposób jechać od pana nie chciało, poszedł do Wichfrieda na radę, ten mu kazał spełnić wolę księcia. Musiał się więc w drogę wybierać.

Nie wziął z sobą nikogo, a postanowił, choćby konia zapędzić do zdechu, powracać co najrychlej. Znał stary wyga okolice tak że drogi do podróżowania nie potrzebował, szedł instynktem myśliwca i na pół dzikiego człowieka, we dnie patrząc po drzewach, w nocy po gwiazdach. Gdy tych zabrakło, wiatr musiał być skazówką, koń przydał się nieraz. Wyjechawszy z Sulejowa obejrzał się tylko po górach, konia zwrócił i ruszył.

Gromadka Stachowa szukająca księcia żywo się téż naprzód posuwała, choć języka nie dostając, w kierunku Sulejowa. Tu i owdzie opowiadano im że ktoś w lesie trąbił, że oddział jakiś widziano, potem się okazywało że to ktoś był z sąsiadów. Stach się jednak nie zrażał, mając przecucie że się mu poszczęścić musi.

Gdy jednego dnia na łące popasać koniom stanęli, wypadek zrządził że Smok właśnie u strumienia swojego poił. Nim mu uzdę narzucił i wsiadł nań, już Stach był przy nim.

Znał go z twarzy, bo Smoka znali wszyscy — krzyknął zaraz.

— Smocze! gdzie księżę?

— Jaki księżę? — wyjąknął zmieszany drab i chciał się już do ucieczki zabierać.

— Stójże no, szalony człecze — za szyję go chwytając zakrzyczał Stach — jam przecie nie wróg a swój i temu samemu co ty panu służę. Znam cię jak szarą gęś, wykłamać mi się nie możesz, boś z panem był. Jeżeli pytam to nie dla zdrady a dla dobra.

— Tyś kto? — zapytał Smok.

— Ktom jest tom jest — zawołał Stach — dosyć żem Kaźmierzowy sługa. Jedziemy szukając księcia, bo mu od Mieszka grozi niebezpieczeństwo, pochwycić go chcą. Zasadzki nań czynią, ludzi niema, idziemy w pomoc i dla straży. Nic zechcesz gadać a stanie się co złego, gardłem odpowiesz!

Smok miał w podejrzeniu Stacha, chciał mu się wysliznąć i ujść, ale konia trzymano, myślał obalić na ziemię napastnika i byłby się rzucił nań, ale gromada nadciągnęła i obstała. Zaciął się tedy i stał milczący.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Ja cię znam — mówił do niego Stach — wiem że panu jesteś wierny jak nikt, że go nigdy na krok nie odstępujesz, dlaczegożeś go teraz porzucił?

Cóż się z nim stało?

— Mów! — krzyczano ze wszystkich stron nadaremnie. Smoka ubić było można ale słowa z niego wyciągnąć, gdy mówić nie chciał, nikt nie potrafił.

Stach i z téj go znał strony.

— Smocze — wołał klepiąc go po ramieniu — wiem że z ciebie siłą nic nie wydobęde, a no tu o życie księcia chodzi. Wybrał się z wami kilku, wy go nie obronicie. Mieszkowi ludzie po gościach, po lasach porobili zasadzki i czyhają — stanie się co, będziesz winien. Sam się potem obwiesz na gałęzi.

— Gadajże, gadaj psi synu! — halasować nacierając poczęli ziemianie.

Smok milczał jak kamień, przeklinał swą nieopatrzność że się tak dał pochwycić — brzmiało mu w uszach złowrogo że panu groziło niebezpieczeństwo.

— Nuż oni sami są od Mieszka, — myślał, — a z mańki mnie chcą zażyć?

Stał więc niemy.

Gorętsi już się doń z pletniami brać chcieli, ale Stach go osłonił.

— Z tego człowieka groźbą się nic nie dobiedzie — rzekł — ja go znam.

Zbliżył się znowu sam do niego.

— Słuchaj — rzekł dobywając z pod kaftana krzyż, który zawsze na na piersiach nosił. —

Widzisz go, jestto krzyż pański, na który kto przysięga krzywo na tym i na tamtym świecie jest przeklęty. Ja ci na ten krzyż Chrystusowy przysięgam, że my księcia jedziemy osłaniać i bronić.

Mów gdzie jest

Smok słuchał i patrzył, a był człek pobożny.

— Gdzie? — odburknął wreszcie — mnie zakazano mówić gdzie jest.

— I wolisz przez posłuszeństwo dopuścić aby go, nie mogącego się bronić, wzięto? żeby może postradał życie lub oczy?

Smok aż się wstrząsnął cały.

— A no on tam gdzie jest — bezpieczny! — zawołał.

— Jako? mając przy sobie trzech czy czterech ludzi?

Smok głowę spuścił — prawda była.

— Dlaczegożeś ty go porzucił co mu byłś najpotrzebniejszy? Dokądże jedziesz? Toć książę w pobliżu być musi?

Głowę potrzasał sługa.

— Posłał mnie — rzekł.

— Niechże cię piorun ubije — krzyknął Stach — wolisz by pan zginął marnie niż zdradzić przykazanie! Rób jak chcesz!

Nieszczęśliwy człek potniał ocierając czoło. Nawykły do ślepego posłuszeństwa, ale przywią-

zany do pana, nie umiał sumienia z rozumem pogodzić — Łzy mu się w oczach kręciły.

— Co jemu tam może grozić! — począł mruzczeć — tam go ani szukać nie będą, ani znaleźć mogą.

— Jakże ty tego możesz być pewny? — spytał Stach szydersko.

Trudno było co dobyć z twardego człowieka, oczyma się zdawał prosić o zmiłowanie, ale Stach natarczywie nalegał.

Drudzy odgrążali się by go wiązać, inni bić chcieli aźby dobyli głosu, Stach nie dawał go tknąć. Wiedział jak był Kaźmierzowi ulubiony.

Gdy mu grożono Smok spoglądał pogardliwie, jakby wyzywał razy i męki.

— Smocze — zawołał raz jeszcze Stach — powtarzam ci to do sumienia twojego, stanie się co złego panu — ty winien będziesz! Kat cię bierz, puszcę cię wolno — Gdy Micszek na polowaniu, w lesie, w zasadzce ułapi Kaźmierza — tyś tak chciał...

Odstąpił od niego i dał znak aby drudzy go, nie wstrzymywali. Ujrzawszy się wolnym Smok naprzód chciał się do konia rzucić i uchodzić, ale pogroźka w nim tkwiła — zatrzymał się.

Stach już odchodził, gdy on dobrowolnie za nim postąpił pociągnął za rękaw i w oczy mu wpatrzył się mocno.

— Prawda co mówicie? — spytał.

— Jak Bóg na niebie — odparł Stach — tyś chyba bezmózgi, jabym przecie sam za niego życie dał, czyżbym miał zdradę w sercu?

Drab głowę skrobał.

— Mnie — odezwał się cicho — mnie po psy i ludzi posłano do Sandomirza.

— Właśnie czas o łowach myśleć, gdy w lasach największe niebezpieczeństwo. A toż go razem z Wichfriedem pochwycą!

Smok nagle jakby go rzuciło, na konia skoczył, obejrzał się po gromadzie zbrojnej i licznej, policzył ich oczyma, przeżegnał się i milcząc konia nazad zawrócił.

— Za mną — rzekł krótko — poprowadzę!

Nie spuszczać go z oka, Stach natychmiast dał znak swoim, którzy pośpiesznie na konie siedli i jechali za przewodnikiem.

Smok po swojemu z sumieniem wszedł w porozumienie, nie chciał powiedzieć gdzie pan był, bo mu to zakazano, ale groźbami przestraszony o los jego — prowadził. A że mu pilno było zbyć się tej męki, wiódł po swojemu, bez dróg, przez gąszcze, moczary, wzgórza, nie pytając jak tam sobie drudzy radę dadzą.

Czasami odwracał się ku Stachowi, który go już badać nie próbował i nieznużony ciągnął dalej. Rycerstwo jadące za nim musiało się doń stosować z krótkimi popasami i małym spoczynkiem.

Stach, który nietylko Krakowskie, Sandomirskie, Lubelskie, ale całe Mazury znał dobrze, wkrótce się już mógł domyśleć dokąd dążyli, a że o nowo zakładającym się klasztorze słyszał wiele, pewien już był że książę się tam ukrywał.

Na porannym spoczynku podszedł do milczącego Smoka.

— Smocze nieboże — jedź już teraz sobie po psy i ludzi, abyś rozkaz pański spełnił, trafię ja i sam bez ciebie.

Smok głowę podniósł.

— Książę jest w Sulejowie — dodał -- tyś go nie zdradził, bądź spokojny, my strzedz będziemy, aby mu się nie stało.

Zrazu Smok głową potrząsał, nie godził się, lecz gdy Stach dodał że więcej ludzi z zamku ma dla bezpieczeństwa przyprowadzić, i Jakse z sobą wziąć który był dowódcą dzielny, dał się przekonać. Z popasu tego rozstali się nie mówiąc. Smok tą samą drogą ruszył nazad, a Stach z oddziałem ku Sulejowu.

Gdy z lasów wyjeżdżając ujrzeni już zabudowania klasztorne, Stach dotąd dowodzący oddziałem wziął Papibora na stronę.

— Miły panie, dużoby mówić dłaczego, ale mnie się nie godzi stanąć przed księciem jako dowódcy. Jam człęk mały i w krakowskim nieznanym, nie przystoi mi się piąć nad innych. Wy teraz

prowadźcie. Powiecie księciu żeśmy przyszedli aby go od napaści strzedz i stać przy nim.

Zdziwił się zrazu Papibor temu dobrowolnemu rzeczeniu się, ale że dość miał dumy i ochoty do przodowania, nie opierał się.

— Mnie to tam wszystko jedno — rzekł — niech drudzy wybiorą i obwołają kogo chcą.

— Byle nie mnie, bom ja nie znany człek — odpowiedział Stach — ja sobie stanę w kupie...

W początku chciano Stacha zmuszać, wołano nań, ale się wyprosił. Głosowano więc, jedni Papibora, drudzy Sułka mieć chcieli, stanęło na pierwszym. Stach wjechał w szeregi i skrył się w ostatnich aby na oczach nie być.

Zbliżali się już do klasztoru, około którego, jak innych dni rneh żywy panował, bo pospieszano z budową dopóki pora służyła. Z górnego brzegu na którym się mieściły Cysterskie szopy i mury, widać było okolicę, znaczny oddział rycerstwa jadący ku klasztorowi, niemógł ujść oczów księży i robotników. Stach postrzegł że tam już stawano przypatrując się im i w obawie aby książę nie uszedł, radził kroku przyspieszyć.

Stanęli u furty i zaczęli dzwonić, wrotny otworzył okienko niespokojném okiem mierzac przybyłych, którzy się natarczywie domagali wpuszczenia i rozmowy.

Papibor zsiadłszy z konia wołał o Opata lub Przeora.

Wpuszczono go samego, gdy tymczasem reszta z koni zlaźć i rozkładać się u bramy poczyniała.

Papibor, człek ciekawy, który dotąd innych mnichów nad benedyktynów nie widywał a białych nie znał wcale, rozglądał się bacznie po izbie w szopie do której go wpuszczono.

Wiele naówczas o nowych zakonnikach mówiono. Myślał już jak on się z niemi rozgada, bo języka żadnego oprócz własnego nie znał, ziemianin domorosły jak większa część naówczas, czytać ni pisać nie umiał; chociaż chrześcianin był dobry, i pana Boga na pamięć chwalił.

Opat Lucjusz z braciszkiem polakiem, za tłumacza służyć mającym, zjawił się wkrótce zapraszając do refektarza. Rozmowa z pomocą chłopaka, który z łaciną nie łatwo sobie rady dawał, a Opat oprócz francuzkiego i łaciny, innego nie rozumiał języka, szła jak po grudzie. Migami sobie dopomagać musiano, młody tłumacz potniał i jękał się.

Papibor po kilkakroć powtarzał że ziemianie, rycerstwo przybywali do księcia służyć mu i od niebezpieczeństwa jakie mu od brata groziło, obronić. Opat nie wiele mógł zrozumieć. Dopiero Stach, który się domyślał trudności tych i w pomoc pospieszył, sam się mógł z Opatem rozmówić i wytłumaczyć jaśniej z czem przybywali.

Opat Lucjusz, jako polityk mądry, z początku

udał zdziwienie wielkie aby brat mógł na brata nastawać i ks. Mieszka jako fundatora, bronić się starał. Niewierzył aby ks. Kaźmierzowi niebezpieczeństwo jakie zagrażać miało.

Stach odezwał się śmiało.

— Wiemy dobrze jak rzeczy stoją, a gdyby i zhytnia troskliwość nas tu ściągnęła, grzechem ona nie będzie. Lepiej nadto ostrożności niż za mało. Wiemy że książę jest tutaj.

Opat wahał się z wypowiedzeniem czegoś jasnego, kłamać nie chciał, przyznać się obawiał; milczał skłopotany.

— Mamy wiadomość pewną — dodał Stach że książę i Wichfried tu się znajdują.

Opat Luejusz nie odpowiedział.

— Oddział wasz znaczny jest? — spytał nni-kając tłumaczenia się.

— Jest nas około seciny — rzekł Stach.

— W klasztorze się nie pomieścicie — odparł Opat — choćbyśmy wam radzi byli, przyjąć nie możemy.

— Myśmy nawykli — odezwał się Stach — stać pod namiotami i bez namiotów, pod lada szalasami a choćby pod gołym niebem — Rozłożemy się obozem byle gdzie.

Widząc zakłopotanie Opata, Stach powtórzył raz jeszcze, że o księciu wiadomość mieli od jego własnego sługi, że przychodzili w pomoc nie ze

złą myślą, spodziewali się więc że książę dla nich tać się z sobą nie będzie.

— Książę w istocie był tu z Wichfriedem — rzekł nareście Opat po namyśle — zaprzeczać nie chcę, ale dzisiejszego dnia rano z kilką ludźmi o brzasku wyruszył. Niema go tu..

— Na lowy! — zawołał Stach wylękły — w kilku ludzi! a jeżeli, uchowaj Boże, wpadnie gdzie w zasadzkę! jeżeli go zechcą pochwycić — w kilku ludzi ani się będzie mógł bronić!

Opat głową potrząsł, widząc zaniepokojonych, sam też okazał że to go obeszło.

— W Bogu nadzieja — rzekł — że nie dopuści nieszczęścia. Na to co się stało radzić nie możemy, bo nawet nikt nie wie w którą się udali stronę.

Wiadomość ta przeraziła wszystkich. Stach podejrzewając jeszcze iż książę chciał się ukrywać, zaklął Opata aby mu powiedział prawdę, O. Lnejusz najuroczyściej potwierdził że było tak jak mówił.

Stachowi szło o to także aby książę powracający z łowów, gdy zdala ich oddział zobaczy, nie rzucił się w lasy znowu, chcąc uniknąć z ludźmi spotkania. Wypadło więc z narady aby Papibor pozostał sam w klasztorze, a ludziom trzeba było ustąpić gdzieś do blizkiego lasu i w ukryciu oczekiwać powrotu Kaźmierza. Stach wyszedł z tém zaraz. Opat chciał im dać jeść i pić, ale

czekać na przyjęcie to niebezpieczném było, zabrali więc chleby i beczulki, które im ks. Cellarius i Hospitalarius wynieśli i pociągnęli w zarośla.

Znużeni ziemianie, choć mruczając, musieli Stacha posłuchać i z pod klasztoru się wynosić.

Z miejsca które w bliskości na obozisk zajęto, widać było klasztor w dolinie i wiodące do niego drogi. Nie rozpalano ogni aby się nie zdradzać dymem, konie spętane poszły na paszę, panowie na siodłach i kobierczykach pokładli się do snu postawiwszy strażę. Stach też na czatach pozostał.

Dzień był skwarny i wydal się im długim. Dokola panowała nieprzerwana cisza, na drogach żywej duszy nie widać było do wieczora. Co chwila spodziewał się Stach ujrzeć gdzieś kupkę jecznych, ale już i mrok zaczął zapadać, a nigdzie nikogo nie widział. Oczy wypatrzył nadaremnie. Gwiazdy się już pokazywały na niebie, gdy niespokojny pobiegł do klasztoru, sądząc że książę gdzieś pokryjomu mógł się prześliznąć między drzewy, tak że go nieostrzeżono.

Nierychło doprosił się Papibora, którego Opat w swoim dworku ugaszczał. Wywołany dowódzca stawil się wesół, odżywiony i wielką cześć dla gościnnych mnichów przejąty. Niedając się Stachowi odezwać, poczał od sławienia gospodarzy.

— Prawda że sami żyją lada czém, ale człek u nich nie głodny, i nie pragnie.

— A książę? — spytał Stach — książę?

— Niema go — westchnął Papibor — i Opat się już trwożyć zaczyna, bo zawsze przed nocą powracał!

Siedli u furty na rozmowę, wyczekując i nasłuchując, ale księcia do północy i po północy jak nie było tak nie było.

VIII.

Myślistwo w owych czasach było tak w męskim obyczajn, tak się do niego od najmłodszych lat wdrażano, iż najmniżej namiętni łowcy, przecie dni kilka nie wyjechawszy w pola i lasy wytrwać nie mogli. Krzywousty dwunastoletni próbował się z dzikami i niedźwiedziami.

Każmierz, który rozmowy z ludźmi mądrymi nad wszystko przekładał, który lubił śpiew i zabawę z przyjaciółmi w domu, od młodu też do łowów równie był nawykły jak wszyscy bracia — i w sąsiedztwie Krakowa, później, z klasztorami się umawiał aby mu w ich lasach polować było wolno.. (prawo łowów służyło książętom wszędzie oprócz dóbr duchownych, którym nadania wyłączne pożytkowanie z lasów zastrzegały).

Gdzieindziej książęta o granice posiadłości

polując nie pytali. Lasy były tak rozległe jeszcze iż zwierza dla wszystkich starczyło.

Mieszek starał się w tém jakiś porządek zaprowadzić, nie dając ziemianom i osadnikom bić zwierza gdzie chcieli, i pilnie strzegąc książęcego prawa — ale to nań tylko nienawiść i zemstę ściągnęło.

Kaźmierz lubił myśliwstwo jak wszyscy, chociaż inaczej; wyjeżdżał szukając ciszy, potrzebując ruchu, gdy nic go ważniejszego nie zajmowało. Codziennie z Sulejowa puszczał się z Wichfriedem w sąsiednie bory i ostatniego dnia też wyjechał z nim na góry klasztor otaczające. Tu zwierz był sąsiedztwem nowój osady spłoszony, wyrąbywaniem lasów i trzębieżami wylękły, cofał się głębiej. Książę i Wichfried z ludźmi trzema, pół dnia nadaremnie jeździli. Kiedy niekiedy zaszeleściło coś z boku, przemykało się zwierzę, ale po gęszczach gonić nie było sposobu, łowców do osaczenia mieli za mało, psy się rozbiegały i nie wracały. Myślistwo więc było nudne i zawodne, chyba szczęśliwy jakiś traf mógł im napędzić zwierza.

Księciu mniej szło o to, jechali lasami ślicznemi, we dwu z druhem, z którym o wszystkim w świecie mówić było można otwarcie, a jeden las ich słuchał...

Kaźmierz, jak wielu jemu podobnych ludzi, w których uczucie żywe myśl do ruchu pobudza,

miał tę tęsknicę nie nasyconą, która czasem milczeniem się tłumaczy, niekiedy wylewa w po-
ufnej rozmowie na cztery oczy.

Z dobrym druhem, sam na sam, lubił mówić o wszystkim, wielkich zagadnieniach, których umysł ludzki nigdy rozwiązać nie może, losach człowieka, duszy spragnionej nieokreślonego dobra, sercu co się nigdy niczem uspokoić nie daje.

Z Wichfriedem płochym, nie zbyt uczonym, nie ubiegającym się o mądrość wielką, rozmowa była mu przecież miłą. Umiał słuchać i rozumieć. Głowę miał otwartą, a choć po niej chodziły myśli własne, nie podlatujące wysoko, cudze za to przyjmował gościnnie, choć nie na długo. Często też w najpoważniejszą mowę umiał wtrącić rzecz płochą, która księcia rozweseliła.

Im ksiązę Kaźmierz był smutniejszym, tém on weselszym się być starał. Ten wzdychał nad przyszłością groźną, Wichfried zagadywał o miłostkach i choć ksiązę był posępnym, często uśmiech na usta jego wywołał. Godzili się z sobą.

I dnia tego dość długo sprzeczały się tak aż ksiązę dołożył w końcu.

— Ty, Wichfriedzie mój, nigdy poważnym się nie staniesz i zestarzeć nie potrafisz.

— Tem się cieszę, — odparł niemile — co by mi z tego przyszło gdybym zawcześnie zaczął się truć smutkiem!

— Zdrow bywa smutek — rzekł Kaźmierz.

— Wesele też chorobą nie jest.

— Ale po niem zawsze idzie znużenie i zawód.

— Po niem — przerwał Wichfried — ja, nie czekając idę spać. Położywszy się po *szlaftrunku* (napój do poduszki) żadnych złych snów nie miałem, i nazajutrz wstaję gotowy do dobrej myśli. Wszystko na tym świecie pustem mi się wydaje.

— Boś sam pusty, ale z tem jesteś pono szczęśliwy! — rzekł książę.

— Książę, gdybyś chciał, mógłbyś być sto-kroć szczęśliwszy odemnie.

— Nie, bom się z inną myślą urodził. Jakże mnie wesołym być! Powiedz! W Sandomirzu biedna niewiasta płacze niespokojna, a ja się po lasach włóczę z myślą dla niej niewierną. W Sciborzycach tęskni druga..

— E! o tem myśleć nie warto — przerwał Wichfried — gorzej że w Sandomierzu i Krakowie, czekają na was, wołają, bndną, a książę w lasy uchodzisz od tych, co mu dobrze życzą.

— Bo oni mi nie życzą dobrze — zawołał Kaźmierz niecierpliwie. — Ilem ci to razy powtarzał? Szczęścia nikomu nie narzucić. Duchowni w najlepszej myśli żonę mi dali, której ja kochać nie mogę, ziemianie chcą mi dać panowanie, którego nie pragnę, bo bym na sumieniu miał krzywdę brata.

— On się skrzywdził sam — zawołał Wich-

fried — książęta, mówi polskie przecie przysłowie, braci nie mają.

-- Złe to przysłowie — przerwał Kaźmierz — ja go znać nie chcę. Nikogom w życiu nie kochał jak Henryka, nikogom nie szanował jak Bolka, a Mieszka jako starszego pana z woli ojca uznaję zwierzchnikiem i czezę.

Wichfried nie dając o tém się obszerniej rozwodzić księciu, począł mówić o panowaniu, jak ono było rzeczą słodką a miłą, jaką dawało moc czynienia dobrego, jak się go odrzucać nie godziło, ani pogardzać niem gdy samo się do rąk cisnęło. Kaźmierz zbył go milczeniem. Jechali tak długo, aż konie zmęczone ustawać już poczynaly, książę obojętny nie zważał nawet dokąd się zapuścili.

Ludzie ze psy zapędzili się byli gdzieś w drogą stronę.

Przy pierwszej lepszej łączce, gdzie dla koni woda była, siedli spoczywać. Skwar dopiekał, zatrąbiono na ludzi. Ludzi ni psów słyhać nie było. Wichfried z klasztoru wziął był opatrzenie posilek do torby. Mieli kubki i bukłaczek z winem, mieli się i napić czego. Potém spoczywali długo w cieniu, koniom dając dobrze wytętnąć.

Kilka razy jeszcze Wichfried w trąbkę uderzył — nikt nie przybył, nikt nie odpowiedział. Zdrżnięli się trochę na trawie, gdy przebudziwszy się spojrzeli na niebo, poznali że się

miało kn wieczorowi. Należało powracać; Książę Kaźmierz był tak obojętnym, iż go wcale nie obchodziło ani kiedy i jak powróci.

Wichfried mocno się niepokoił, on uśmiechał, przeciw zwyczajowi.

— Ks. Opat będzie niespokojny!

— Wrócimy nocą — odparł książę, — noc będzie do powrotu miłsza, niż do włóczęgi dzień skwarny.

— Byleśmy drogę znaleźli.

Kaźmierz ramionami ruszał. Siedli na konie znowu i zawróciwszy, jak się im zdało, jechali borem. Chcieli powracać tą samą drogą, którą jechali wprzód, ale postrzegli rychło, że ją zgubili. Zaczęło zmierzchać dobrze. Wichfried trąbił nieustannie, nikt mu nie odpowiadał. Trzeba było dawać sobie samym rady, bo na łowczych rachować już nie mógł Wichfried.

Szukając drogi, jak się to często trafia, gdy się ją niespokojnie chce odnaleźć, ślady jęj tracili, kierunek zmylili, wjechali w okolicę nieznaną, w gąszcze i zawady coraz straszniejsze, które pomijając w lewo i prawo, obłąkać się musieli zupełnie — książę widząc Wichfrieda nie cierpliwość — śmiał się.

— No, — rzekł — noc za pasem, musimy spocząć w lesie. Ognia napalemy i łężem!

Towarzysz szukał jeszcze uparcie jakiegokolwiek ścieżyny, ale zciemniało zupełnie, nad wierz-

chołkami drzew pokazały się gwiazdy, las stał cicho, wiatr ustał. Zdalea gdzieś słychać było wilków wycie.

W lesie spokojnie było, pięknie, tylko żyć — sosny pachniały i brzozy.

Księżciu jechać się nie chciało i zawołał pod stary dąb podjechawszy że spocznie tu. Nie sprzeciwiał się niemiec, miał na myśli, gdy Kaźmierz położył się i zaśnie sam pójść drogi szukać.

Lecz stanąwszy na nocleg było co robić, ogień rozpalić, posłanie przygotować, konie popętać. Wichfried we wszystkim chciał zastąpić księcia, ale ten mu się nie dał i wesoło sam się też zajął tem co na niego przypadało.

— Przepadła wieczerza O. Opata — wołał śmiejąc się — sam ją chyba zje, a że oni mięsa nie tykają.

— Znajdą gościa co ją spożyje! — dodał Wichfried.

Śmiejąc się i podżartowując poszli spać, las ani szumiał nawet, ogień się palił tak, że dym słupem szedł nad drzew wierzchołki ku niebu. Wichfried siadłszy na straży sparty o pień, miał czuwać, ale go sen wkrótce zmorzył.

Krótką noc wiosenna przeszła tak szybko, że gdy się przebudzili rosą okryci, dniało dobrze. Wichfried zostawiwszy księcia, sam poszedł drogi szukać i rozglądać się po okolicy. Miejsce było całkiem nieznane, dróg do koła żadnych.

Głos trąbki rozchodził się po lesie długo bez odpowiedzi.

O białym dniu, napróżno się odzywając, siedli na konie, księżę wesół żartując ze złego przewodnika, Wichfried gniewny sam na siebie, nieumiejąc już radzić, bo nawet strony w której klasztor leżał nie był pewnym.

— Jedźmyż gdzie konie poniosą, one więcéj od nas mają rozumu — poprowadzi je głód do żłobu.

Gdy im cugli popuścili, rozum ten koński tak się niedorzecznym okazał, że jeden chciał iść w prawo drugi w lewo — księżęcemu dano pierwszeństwo.

Jechali trochę już głodni, śmiejąc się ze swéj przygody.

Los tak zrządził, by ani na żadną osadę, ani na człowieka, ani na gościniec, nawet na samotną chatę nie trafili. Gdzie się zapędzili, żaden z nich nie wiedział. Około południa, księżę, który dotąd bardzo brał wesoło obłąd swój, zaczął téż być trochę niespokojnym.

— Licho już wie gdzie my jesteśmy — rzekł, w półtora dnia okrutny kawał drogi zrobić można, gotowiśmy się znaleźć, gdzie się cale nie spodziewamy.

Właśnie gdy to mówił, zastąpiła im drogę rzeka dosyć znaczna. Pilica nie Pilica?? nie poznali co za jedna.

Wichfried był tego zdania, aby nazad zawracać, książkę utrzymywał, że gdzieś nad brzegiem najpewniej osada jakaś znaleźć się musi, chciał ją nawet przebywać w pław, aby na drugim brzegu ludzi szukać.

Znaleźli jeśli nie bród to płytkie miejsce, gdzie konie mało co spłynawszy, dobiły się na drugą stronę. Tu las stał znowu gęsty na wzgórzach, ale pusto było jak zajrzeć. Oko z zakrętami rzeki biegnąc, tylko ługi zielone i piaski żółte spotykało. Na łąkach nawet stożysk ani stad nie było, trawy rosły w pas, jakby ich nigdy nie koszone.

Jechali dalej w milezenin, bo położenie coraz się przykrzejszém stawało. Wichfried z rozpaczrywał się ciągle do trąbki, ale na wołanie jego, echa tylko leśne odpowiadały. Nadchodziło południe. Jedzenia było tak mało, że ledwie do wieczora starczyło, aby głodem nie marli. Zwierzyna się nastęczała. Wichfried zaczynał po niemiecku kłać polskie lasy, utrzymując że i w Niemczech były puszcze niemałe, ale takich borów co się na dziesiątki mil nieprzerwanie ciągnęły, nigdzie nie było tylko w Polsce.

Popasłszy jechali nowu, Wichfried dał w trąbkę aż mu tchu brakło.

Miało się już ku wieczorowi, gdy zdala się druga trąbka odezwała w odpowiedzi.

Poczęli więc jechać coraz prędzej ku głosowi

jćj, dając o sobie znać — nadzieja wstąpiła w serca.

Wprawne ucho myśliwych rozpoznać jednak mogło, iż ten co im odpowiadał nie swój był, ale obcy. Róg jego brzmiał inaczej, Kaźmierz nie poznawał go, choć zdało mu się, że głos był znajomy.

Las się trochę przerzedzał tak, że pośpieszyć łatwiej było. Odpowiadający na trąbienie, jakby równo z niemi niespokojny był, nawoływał szybko, gwałtownie.

Mały kawałek łąki leśnej zdawał się ich dzielić od lowca, którego wręście postrzegli stojącego na koniu zdala, z rogiem białym w ręku. Mężczyzna był wzrostu słusznego, z brodą ciemną, w kołpaku, z łukiem na plecach, mieczem u nogi, na koniu dzielny. Wichfried wpatrzysz się weń, pobladł.

— Stój! — zawołał do księcia -- to księżę Mieszek! Zawracajmy! To on!

Kaźmierz stanął i wlepił oczy.

— Tak, to on, — rzekł spokojnie — On sam, ale nie godzi mi się abym ja przed nim uciekał. W sumieniu jestem czysty, czegoż się mam lękać? od brata?

I posunął się szybko ku niemu.

Mieszkowi, który także musiał Kaźmierza rozpoznać, ręka w której róg podniesiony trzy-

mał, drgnęła. Ujrawszy zbliżającego się, ruchem niespokojnym i oczyma do koła się obrócił.

Stali o trzy kroki od siebie. Kaźmierz z konia zsiadł i szedł starszego przywitać. Wichfried też co prędzej skoczył ze swojego i, niechcąc Kaźmierza samym zostawić, pośpieszył za nim.

Mieszka twarz z brwiami nawisłemi i czołem pomarszczoném ponura była i zasępiona. Wśród ciemnego zarostu oczy błyskały tylko i lice zbladłe.

Gdy Kaźmierz zbliżył się z poszanowaniem, oba zmilczeli, długo patrząc na się. Zdumienie odbierało mowę. Wichfried tymczasem oczyma niespokojnemi sięgał w las, upatrując czy dwór i łowcy książęcy nie nadciągają. Obawiał się napaszczy, pochwycenia. Gotów już był do rozpaczliwej obrony i ręka mimowoli za miecz chwyciwszy już go nie puszczała.

Naostatek Kaźmierz przerwał milczenie głosem odzywając się łagodnym.

— Prawdziwe zrządzenie Boże, żeśmy się tu spotkali.

Mieszek ręką rzucił, — obejrzał się w koło, jakby niespokojny był że ludzie nie nadciągają. Po krótkim namyśle z konia zsiadać począł. Wichfried choć powinien był, nie ruszył się mu pomagać, stał na straży.

Na twarzy Kaźmierza nie widać było wielkiego poruszenia, pozostał prawie spokojnym

i uśmiechniętym, spoglądał na brata z życzliwością i uczuciem braterskim, gdy Mieszek drżał ze wzruszenia, gryzł usta i hamował się by nie wybuchnąć.

Z wejrzeń rzucanych na Wichfrieda widać było że pragnął aby się oddalił, świadek mu był niepotrzebny. Spostrzegłszy to Kaźmierz, szepnął niemcowi aby uszedł na stronę, co ten spełnił dosyć niechętnie, stanawszy w niewielkiej odległości, aby w pomoc mógł nadbiedz księciu, gdyby się okazała potrzeba.

Wzrokiem niespokojnym patrzył ciągle w las, gdyż zdało mu się że niechybnie orszak Mieszka nadciągnąć musi, a księżę da hasło do jakiego zamachu.

Ten jednak komu on się zdawał grozić najwięcej, nie okazywał najmniejszej obawy.

Mieszek mierzył go oczyma z powagą starszego brata i zwierzchnika.

— Co tu robisz? — spytał ostro.

— Zbłąkałem się na łowach jak ty.

— Jam się nie obłąkał — odpowiedział Mieszek — ja zawsze wiem dokąd i kędy idę.

Kaźmierz spojrzał nań wzrokiem rozbijającym, pod którego szczerością i wyrazem łagodnym, Mieszek się uczuł jak nie swój i poruszył dziwnie. Spójrzał na stojącego w dali Wichfrieda i rzekł głosem przytłumionym.

— Słatem po ciebie, wołając do Krakowa.

— Nie o tém nie wiem, poseł musiał nie zastać mnie w Sandomirzu, byłbym pośpieszył na wezwanie.

Mieszek niedowierzająco nań patrzył.

— Byłbym się stawiał — powtórzył Kaźmierz z uśmiechem.

— Potrzebowałem mówić z tobą — dodał Stary głosem poruszonym i przerywanym, chciałem cię przestrzedz abys z mną nie poczynił wojny.

— Ja? z tobą? — podchwycił Kaźmierz — o cóż my byśmy z sobą wojować mieli?

— Nie udawaj jakobyś nie wiedział — wybuchnął Mieszek następując nań groźno. — Te warchoły, którym Władysław był za ciężkim, którym Bolko nie mógł dogodzić, chcieliby i mnie zrzucić a ciebie w mém miejscu osadzić. Wiesz o tém?

— Wiem — rzekł Kaźmierz spokojnie.

-- Nie radzę ci dać się uwieść, — mówił Stary — prędjéj ty głową nałożysz i swoim księstwem, niżeli moje zajmiesz miejsce.

— Ja téż go niechcę — odpowiedział Kaźmierz z pewną wyższością i zimną krwią patrząc na rozjątrzonego brata — niechcę go.

— Choćbyś chciał to go nie dostaniesz — odezwał się Mieszek. — Ten tłum oszalały, któremu Biskup buntownik dowodzi i głupi Wojewoda, nowe prawo chce wprowadzać! Ja mojej

władzy i panowania nie winien ich łasce, ani ich wyborowi, ale mojemu starszeństwu, a przy prawie mojem stać i trzymać je będę!

Król ojciec nasz miał wolną wolę rozporządzać tym swoim krajem dziedzicznym, było to jego mienie, krwią kupione, rozdzielił je, uznaczył kto ma panować; ziemian się o to nie pytał i ja łaski ich prosić nie będę! Oni u mnie tyle znaczą co kmiecie i osadnicy, słuchać muszą i będą. Biskupom się ja nie dam na równi z nami rozsiadać!

Każmierz słuchał bez wzruszenia.

— Czyń co chcesz i do czego masz prawo — rzekł — to nie moja rzecz. Ja niczego nie pragnę tylko spokojnie siedzieć w domu, Boga chwalić a zabawiać się jak mi się zda.

Mieszek patrzył nań pilno, badał czy prawdę mówił.

— Tak, z tém ci lepiej będzie, — począł przechadzając się tam i sam przed stojącym bratem. — Nie radzę ci ani warcholów słuchać ani się zadzierać ze mną. Dziesięć razy mogą mnie wyrzucić z Krakowa, wrócę jedenasty raz i nie daruję swojego, wrócę siłą, wojną, zdradą, a moje prawo strzymam.

Rozumiesz to?

— Rozumiem dobrze — odparł chłodno Każmierz — to twoja rzecz!

— A twoja mieć rozum i nie dać się tym lu-

dziom pochwycić w kleszcze, bo między niemi a mną ty zostaniesz na miazgę zgnieciony.

Mieszkowi jakby temu zabrakło, pociągnął powietrza, gniew obejmował go coraz większy.

Powoli Kaźmierz przystąpił doń i ujął go w ramiona.

— Mieszku, — zawołał błagająco — uspokój że się! Jeśli kto, to ty mnie od dziecka znać powinieś. Wiesz żem nigdy nie pragnął wiele, a od żądzy panowania Bóg mnie strzegł i sił mi nie dał potem. Przypomnij sobie żem po śmierci Bolka miał Kraków w rękę, a ziemianie przedemną klęczeli, prosząc abym został z niemi. Dla ciebie im odmówilem, znając com starszemu winien.

Mieszek jeszcze nie uspokojony, wyrwał się z objęć jego.

— Nie o ciebie szło i idzie warchołom — począł żywo, nie ciebie oni chcą! Dawno do tego dążą, aby prawa nasze dziedziczne zniesli a sobie wolność wybierania panów jakich chcą i zrzucania ich zdobyli. Ale pókim ja żyw, nie dam im tego. Jutro nas wszystkich wygnają, aby obcego posadzić.

Kaźmierz słuchał go smutny.

— Dla tego, — dodał Stary — chcą ciebie na Kraków i na mnie prowadzić. Tyś słaby, ulegniesz Biskupowi, Wojewodzie i krzykaczom, a.e

pomnij że tu nie o mnie idzie, jak o głowę twą i dziecka twojego.

— Bracie! — odezwał się Kaźmierz — krzywdzisz mnie.

— Przestrzegam cię! — odparł Mieszek groźno, przechiadzając się ciągle.

— Chcesz zapewnien z mojej strony?

— Jakich? — przerwał Stary — ty mi żadnych dać nie możesz nad jedno! jedź do mnie do Krakowa i siedź przy mnie.

Spojrzał nań, Kaźmierz głową potrząsał.

— Tego nie uczynię — odparł — byłaby to niewola dla mnie upokarzająca, ciebie obwiniająca. Nie mając mnie, jeśli im idzie o nowego pana, wezmą Leszka..

— To pisklę sehorzałe — zaśmiał się Stary pogardliwie. — Zapewne! im co słabsze to lepsze, mocnej ręki nie znoszą nad sobą, a im potrzeba żelaznej! Potrzeba żelaznej, — dodał — jeżeli się te ziemie nie mają rozpaść na szmaty i kawałami pójść w obce ręce.

Nie! nie! tę żelazną rękę ja mam i nie dam się ojcowiźnie Chrobrego roztrząść i przepadać! Zmilkzał chwilę.

— Na Kietlicza krzyczą, — począł. — Kietlicz sługą jest u mnie, ja nim obracam. Co on czyni — ja robię. Drę ich ze skóry aby mi siedzieli cicho. Za małym zrobił jeszcze, nie posiałem dość trwogi, kiedy się ruszać śmieją!

Biskupa przecherę dawniej potrzeba było uwieźć.

— Mieszk, bracie! — przerwał Kaźmierz gwałtownie. — Biskupa! Pasterza! abyś wszystkich duchownych i Rzym oburzył na siebie! Duchownego tknąć!

Mieszek szydersko, gorzko się uśmiechnął.

— Chcesz abym ja im dał u siebie, obok siebie, nad sobą panować? Ani ja, ani ty, ani nikt panem nie będzie, póki Biskupi z nami na równi siadać nie przestaną. Dumę ich trzeba nkrócić. Pierwszemi sługami być muszą, nie więcej.

Poblady ze wzruszenia i trwogi, Kaźmierz z błaganiem zbliżył się powtórnie do brata.

— Bracie! pomstę Bożą ściągniesz na siebie! — wykrzyknął.

— Ja się do ich ołtarza nie mieszam, ani Gedkowi księży święcić, ni mszy odprawiać nie bronię, ale wara im mieszać się do spraw moich i chcieć stawać sędziami nademną!!

— Słudzy Boga! Bóg stoi nad nami! — przerwał Kaźmierz.

— I jam téż nie bez Boga — zawołał Mieszek — wiesz żem zakonników sprowadzał, osadził, nadał im włości i ubogacił na Chwałę Bożą. Imię Pańskie nich się święci na niebie i ziemi, ale ład musi być na niej, a gdzie dwu panów tam żadnego, gdzie nas dwu tam wojna wieczna!

Nie zdawał się tego młodszy rozumieć i smutnie spuścił głowę.

— Bracie, — odrzekł — więcej pewnie nademnie masz rozumu, ale dla czego wojnę z Bogiem chcesz wieść, bo ze sługami jego? Oni ci pomocnikami będą nie wrogami, ale ty im bądź bratem.

— Panem im a nie bratem muszę być — zawołał Stary dumnie. — Tyś dzieciak i nie rozumiesz, oni Bogiem dla władzy frymarezą.

Nastąpiło milczenie, — Kaźmierz przerażony wzdychał.

— Na miłość Bożą — odezwał się łagodnie — na pamięć pobożnej matki naszej zakilnam cię, rzucę te myśli i gniewy, one cię do zguby prowadzą!

— Nie są to zabawki dziecinne, któreby można precz kinać, — rzekł Mieszek. — Myślałem dobrze co czynić mam, wiem co czynię. Stanie się com zamierzył lub zginę. Nie u nas, po całym świecie moc duchownych wzrosła tak że nas wzięli pod stopy swoje, nie ja jeden z niemi walczę — wszyscy królowie i książęta bój z niemi staczać muszą, aby się ich czeladzią nie stali.

Kaźmierz krzyż zrobił w powietrzu, jakby myśli złe chciał odżegnać od brata

— Nie giń — rzekł — a niechciiej co niemożliwe. Cesarz silniejszy od ciebie, a rzymskiemu

Biskupowi oprzeć się nie może, a ty z Rzymem i jego sługami chcesz walczyć!

— Bo oni do walki wyzywają, — zawołał Mieszek — jam ich dobrodziejstwa obsypał, oni się przeciw mnie wiążą

W tém zamilkł, jakby czuł że mówi nadaremno i dodał porywczo.

— Dość tego! Jedź ze mną!

— Nie mogę, — rzekł Kaźmierz stanowczo. — Nie masz się co mnie lękać. Z dobrej woli nigdy nie pójdę przeciwko tobie, to co mam, starczy mi, niechęć nie więcej. I jedno to księstwo często zacięży. Kocham spokój i ciszę, kocham sprawiedliwość, kocham ciebie, tak jak pamięć ojca! Ufaj mi!

— Tak! aleś słaby, miękki jesteś — odparł Stary — wezmą cię w garść i uczynią co zechcą. Niewiesz co cię czeka, ani oni wiedzą co ich oczekuje. Jam nie Władysław, mnie wygnać trudniej im będzie. Starał się i on, bronił, ale ja nie dam wam chwili wytchnienia, nie ulegnę — prawo me znam i życie dam za nie. Jestem głową rodu!

W czasie tej rozmowy, która często głośniej wybuchała, Wichfried stojący na uboczu, który niesłuchając nawet mógłby ją był odgadnąć, wykrzyki namiętniejsze chwytał i drżał z niepokoju a trwogi. Posłyszał że książę chciał Kaźmierzę zabierać z sobą i obawiał aby się ten mu nie

dał pociągnąć. Przedłużająca się ta walka na słowa coraz bardziej go trwożyła, bo lękał się ciągle przybycia orszaku Mieszka i zamachu na swego pana. Kilka razy wejrzeniem ostrzegającym a gdy się Mieszek odwracał, ruchami starał się dać poznać Kaźmierzowi, aby skończył rozmowę, ale ten nie ruszał się i spokojny, łagodny usiłował tylko brata usmierzyć i ukoić.

Wszystko to jednak, zamiast dobrego skutku drażnić się go jeszcze zdawało coraz więcej i wzburzenie pomnażać.

Skończywszy a raczój przerwawszy rozmowę, Mieszek szybkim ruchem ręki sięgnął po róg, który miał na piersiach, jakby na pomoc chciał zawołać swych ludzi. Wichfried ujrawszy to rzucił się ku niemu.

— Miłościwy panie — zawołał żywo, — nasi ludzie są pewnie bliżej, mamy ich z sobą podostatkiem, czekają ztąd niedaleko. Jeżeli potrzeba posługi ja na moich zatrąbię.

Kłamstwem tém, które zarazem groźbą było, chciał odwieść Mieszka od powoływania swego orszaku. Na znaczeniu tych wyrazów książę się nie mógł omylić, i — zatrzymał się, róg podniesiony gniotąc w rękę.

— Najlepiej by było — dodał Wichfried — abyśmy ani my, ani Miłość Wasza świadków tu nie ściągali. Ludzie są podrażnieni, mogłoby co z tego nieswornego wynikać.

Mieszek ze wzgardą z góry popatrzał na niego.

Każmierz stał z oczyma spuszczone, jakby się za kłamstwo towarzysza swego wstydał — ale nie mówił nic. Wichfried nalegał.

— Jakaśmy się zjechali znienacka, tak by się i rozstać najlepiej — mówił Niemiec śmiejąc — świadków nie trzeba, aby paplaniny nie było.

— A ty! ty mnie chcesz uczyć co ja mam czynić! — gniewnie krzyknął Mieszek.

— Miłościwy panie, — odparł Wichfried, chwytając za trąbkę swoją — jeżeli powołacie swoich, ja moich Krakowian też muszę. Ludzie są zbuzzeni i warchoły!

— Krakowianie? wasi? ci wszyscy moi są! — zawołał Mieszek.

— Mamy ich trochę, w gościnie — żywo odparł Wichfried, niedając się odezwać Kaźmierzowi, który zdawał się chcieć wmięszać do rozmowy.

Książę Stary z Niemcem spojrzeli sobie w oczy. Wichfried był zuchwały, książę zawahał się, trąbka mu wypadła z ręki — odwrócił się tyłem do niego, nie odpowiadając.

— Rozstajemy się więc — zawołał do brata — jakaśmy się zeszli, nie sprawiwszy nic?

— Owszem, — rzekł Kaźmierz — bo spodziewam się iż moim zapewnieniom uwierzysz, iż nie

godzę na ciebie, nie pragnę nic. Kocham cię i szanuję.

— Ja pójdę z tém przekonaniem — odezwał się Mieszek, że ty Kaźmierzu wolę masz czystą ale ducha słabego, ludzi nie znasz ani samego siebie

Przeszedł się poruszony i jak niepewny co pocznie.

— Pamiętaj to — dodał — oni cię wpłaczą w wojnę ze mną, a będziesz jej miał na życie całe! Stanie jej i dla dzieci twoich! Jam nie ten co wygnany siada na kamieniu i płacze, lez nie mam ale dłoń, żelazną!

Podniósł pięść do góry i poruszył się jakby szedł ku oczekującemu nań koniowi. Wichfried, któremu lżej się zrobiło gdy ujrzał już nie-mała oddalające się niebezpieczeństwo, sam poskoczył uzdę potrzymać, ale Kaźmierz go wyprzedził i z pokorą młodszego brata wziął konia przyprowadzając go sam Mieszkowi.

Stary drżał jeszcze tak że cugli nie mógł ująć ani znaleźć strzemięcia. Stał patrząc na Kaźmierz a i powtarzając mu cicho.

— Pominij! wojna ze mną nie igraszka! To bój na cały żywot twój i po za żywot może! Jam twardy, ustraszyć się ani zmódz nie dam, ni Biskupom, ni ziemianom — nikomu!

To mówiąc na konia skoczył, który poczuwszy go na sobie, drżał już cały i rwał się do chodu, aby doń nie był zmuszony ostrogą.

Każmierz nie zważając na groźby ścisnął go za kolano, Mieszek wejrzeniem ostrym i przenikającym zmierzył go i w las popędził. O kilka kroków zaledwie oddaliwszy się, chwycił trąbkę i począł w nią dąć tak gwałtownie, że Wichfried uląkł się.

— Na Boga! — zawolał — na koni! napowrót w lasy! a nie tośmy zgubieni. Z oczów Mieszka widzę, że na was rad rękę położyć — jeżeli ludzie nadbiegną pochwycą nas!

Każmierz okazał więcej odwagi, głową potrząsał, ale natręctwem obronić się nie mogąc, posunął się ku koniowi. W jednej chwili oba byli na siodłach, a że ksiązę się ociągał, niemiec pochwycił konia jego za uzdę i puścił się co żywiej ku rzece.

Tymczasem jak groźba, trąbka Mieszka odzywała się za nimi, w głosie jej nawet brzmiały gniew i zniecierpliwienie. Udalo się jednak Wichfriedowi Kaźmierza w gąszcze uprowadzić. Nie dozwalając mu spocząć, na oślep z nim darł się w las coraz głębiej. Nasluchiwał tylko czy trąbienie oddala się i słabnie.

Ksiązę jechał spokojny, z twarzą pogodną na której wewnętrzna radość się malowała, co dla Wichfrieda niepojętym było.

— Sam Bóg to sprawił, — odezwał się ujechawszy kawał drogi — żeśmy się z bratem w tej puszczy sam na sam, oko w oko spotkali. Mie-

szek będzie spokojniejszym, ja także. Powinien to czuć że mi zaufać może.

Wichfried nie nawet nie odpowiadając, co żywiej w głąb lasu pędził, oglądając się i nadsluchując.

— Nie odetchnę — zawołał po przestanku długim — aż się jak najdalej od księcia znajdziemy. Gdyby nie ja, miłościwy panie, bylibyśmy w jego mocy i niewoli.

Gdybym, Boże mi odpuść, nie skłamał — dodał niemiec trochę samochwalczo, rad że podstęp udał mu się tak szczęśliwie — gdybym nie nasstraszył, wzięli by nas!

— I to pewna, — przerwał Kaźmierz wesoło, — że gdyby nas wzięli, byliby musieli nas nakarmić, tymczasem dla twojego strachu aniśmy nieli możność spytać, gdzie my jesteśmy, ani wiemy gdzie się obrócić, a głód przyznam ci się dokucza straszliwie.

— No, lepszy głód niż łyka — odparł Wichfried — a Bóg łaskaw, do wieczora rada się na to jakaś znajdzie.

Proroctwo to nie rychło się jednak ziściło. Pośpiesznym krokiem jadąc, do zmierzchu nie natrafili na żadną utartą drogę, ani na osadę, ni na człowieka. Już mrok padał, a strach coraz większy ogarniał Wichfrieda, gdy w dolinie u skraju boru ukazała się chata, otoczona płotami, z której dymnika siny ślup się dobywał.

Na widok jęj Wichfried wydał okrzyk zwycięstwa, konie zarżały. Głosy te musiały się dać słyszeć wewnątrz zagrody jęj mieszkańcom, gdyż z za płota wyrzła głów parę — i natychmiast się schowały.

Książę z towarzyszem przypadli do zapartych wrót pośpiesznie, obawiając się, aby, jak się to najczęściej trafiało, mieszkańcy na widok uzbrojonych jeźdźców nie pierzechnęli i nie pochowali się.

Stanawszy u wjazdu, musieli długo stukać, wołać, dobijać się. nim na ostatku, gdy wyłamywaniem wrót grozili, nie wyszedł siwy staruszek bosy, w grubym przyodziewku parcianym, z brodą białą do pasa i głosem drżącym nie począł się im tłumaczyć pokornie, że sam ze starą babiną tu siedział, ubogi był, koni nie miał.

— Ale my od was ani koni, ani przewodu daremnego nie chcemy, — zawołał książę — jesteśmy zblakani, głodni, chleba nam dacie, zapłacim jak Bóg przykazał.

Staruszek, choć niedowierzając otworzył im. Chata była czysta i nie licha, obejście porządne, po którym poznali łatwo zamożnego gospodarza, a ten się im stawiał jako bartnik. Na stole znalazł się chleb, w sklepiku miód, w komorze jaja świeże i mięso suszone. Stara babina służyła milcząca, bartnik kręcąc się po chacie, strwożony ciągle i nieufny, ledwie na pytania chciał odpowiadać.

Książę uderzony był tém, że w chacie żadnego znaku chrześcijańskiego nie znalazł, krzyża nigdzie, w mowie staruszka dziwne wyrażenia pogaństwem technące.

Na zapytanie Bartnik jeszcze bardziej wylękł, zaraz się przed księciem śpiesznie przełognął, ale na tém podobno cała jego nauka chrześcijańska się kończyła.

Oznaki gusła pogańskich, wianki, zioła, nawet bałwanki dziwaczne widać było po kątach i nad progiem w ścianie. Starucha osłaniała je jak mogła od oczów, ale mowa obojga zdradzała pogan, którzy w głuchym tym zakęcie, równie jak tysiące innych, żyli obyczajem praojców i pod dębą, do źródeł modlić się jeszcze chodzili.

Nazajutrz rano, spocząwszy na sianie w szopie, książę z Wichfriedem puścili się pokazaną im drogą ku Sulejownu, a mieli jój jeszcze na dnia półtora.

IX.

W obozie wojewody Szczepana, w którym się ciągle gotowało jak w garnku, bo coraz nowe poczty na dane hasło się ściagały, oczekiwano teraz zapowiedzianego przybycia biskupa Gedki.

Kości były rzucone, burzącym się ziemianom zapowiedziano, iż biskup z wojewodą, ze starym Żyrą Gryfem i innemi przedniejszemi natychmiast do Sandomirza wyruszą i Kaźmierza, choćby po niewoli wezmą, aby go na Krakowie posadzili.

Wszystko już tak było przygotowane i umówione, że oprócz Kietlicza i małej garstki tych, co Mieszką najbliżej otaczali, reszta na dany znak opuścić go miała i do swoich się przyłączyć.

Stary wojewoda oczekiwał tylko na biskupa.

Tego wieczora, gdy Dorota do obozu przybyła po rycersku przebrana, chciała niecierpliwa

natychmiast o sobie dać znać staremu miłośnikowi, ale tłum w namiocie był wielki, świadków mnóstwo, obawiała się, aby staremu wiadomość o jej przyjeździe nie sprawiła więcej postrachu, niż radości. Czekwała do późnej nocy, ażby się pod namiotem uspokoiło, sama zaś bojąc się iść, gdy się ludzi nieco przebrało, pachole swe posłała do Szczepana.

Wojewoda prędkiej się śmierci niż gościa takiego spodziewał.

Nie czas mu było myśleć o niewiastach, gdy wszystkie sprawy na głowie jego leżały, a biskup lada chwilę miał przybyć.

Stał we drzwiach namiotu sam, oddychając świeżem wieczornem powietrzem, pot ocierając ze znużonego czoła, gdy pachole nadbiegło.

Wojewoda znał je dobrze ze dworu wdowy, ale spostrzegłszy, tak się mało spodziewał, iż oczom swym nie uwierzył. Dopiero, gdy chłopak przemówił, ocucił się stary Szczepan.

-- A ciebież tu jakie лихо przyniosło? — zawołał.

— Z jej miłością razem! — odparło chłopię.

— Czyś oszalał! z kim?

— A no, z jej miłością panią naszą, Dorotą. Wojewoda ręce załamał.

— Gdzie, gdzież ona jest?

Chłopak wskazał namiot niedaleko rozbity, do dając głosem cichym.

— Czekaj na miłość waszą.

Żadne odwiedziny straszniejszemi staremu nad te być nie mogły, niemógł się wydziwić zuchwałej niewieście, drżał i bladł, zimny pot go oblewał. Lada godzina mógł biskup nadjechać, biskup groźny, który go już za te niewczesne miłości chciał wyklinać.

Nużby się dowiedział, że Dorota tu aż za nim przypędziła? Wprawdzie pochlebiało to staremu, ale z obawy publicznego zgorszenia, struchlał. Co tu czynić było?

— Ale to nie może być! — zawołał.

Chłopiec za całą odpowiedź namiot wskazał i ramionami zżymnął.

Wojewoda ruszył się iść i wstrzymał, nie wiedział sam, co miał robić, ręce załamał.

Znał śmiałość niewiasty, która gotowa go była w obec wszystkich ziemian a bodaj biskupa na sztych wystawić.

Przeklął w duchu i nieszczęsną swą słabość dla niej, ją i siebie. Musiał zapobiegając gorszemu, iść do niej zaklinać, prosić, aby się natychmiast oddaliła.

— Niech idzie gdzie chce, choćby wskrós ziemi szalona baba — wołał wojewoda — tu jej nie powinno być, aby mnie wszystkie ciury na języki nie wzięły!

Jak stał, natychmiast za chłopcem poszedł. Namiot był niedaleko rozbity, do innych podobny,

ludzie około niego zbrojni, szczęściem niewiasty nie było widać. Gdy podniósłszy płotek wojewoda wszedł do środka, widok od progu zatrzymał go osobliwy. Tyłem do wniścia stał rycerz średniego wzrostu, pięknej postawy; a obok niego urodziwy Koniuszy właśnie go ze zbroi i kaftana rozdziewał.

Usłyszawszy chód, rycerz się obrócił i wojewoda poznał Dorotę, której w tym stroju mężkim do licha było wdzięcznie. Dziwnie mu się piękną i pokusliwą wydała. Przy niej stał jeszcze szyszak zamknięty, który z głowy zrzuciła.

Zobaczyła wojewodę, szepnęła coś Koniuszemu, który natychmiast pokłoniwszy się, wojewodzie z szyderskim wyrazem twarzy się oddalił. Gdy zostali sami, Dorota wprost przypadła do wojewody. Ten się cofnął.

— A toś oszalała — zakrzyczał — w ogień leść, mnie i siebie gubić, trzeba rozumu nie mieć!

— Milczałbyś, ty stary grzybie — gniewnie odpowiedziała Dorota, która się takiego przyjęcia nie spodziewała — cobyś mi miał do nóg paść, łajesz jeszcze.

— Ja ci padnę do nóg, tylko żebyś sobie ztąd szła co najprędzej — odparł Szczepan. — Biskupa tylko co nie widać, niechże się tylko o was dowie, a on będzie wiedział wszystko, co mnie tu czeka, a co was!

— A tyś chciał, żeby mnie bracia jak raka

pod kamieniem garścią wzięli w domu! — zawołała wdowa. — Już byli na mnie gotowi najść tej nocy, gdy uciekła. Nie miałam co czynić, tylko opieki szukać albo ginąć.

— Ależ tu obóz! targowica! ludzie, stek, biskup! na srom się wystawić! — odparł wojewoda za głowę się chwytając.

— Jaki srom! ja czego się mam sromać? — zawołała wdowa brwi marszcząc groźnie. — Czego ja się mam wstydzić? mów? Czego? któż lepszy? Drugie robią to pocichu, co ja głośno! Jestem wolna i pani siebie. I ten mi jeszcze będzie oczy wypiekał! — dodała odwracając się od niego.

— Patrz go! zamiast pomocy, on mnie wstydem jeszcze karmi! Coś to ty? ksiądz na spowiedzi? a no już po wielkiej nocy!

— Ale wy tu nie możecie pozostać, błagając — rzekł wojewoda. — Zgubicie mnie i siebie. Biskup mnie i was z obozu wyświeci. — Chwycił się za głowę — choć ty tu giń!

— A dokądże mam iść? — zawołała Dorota — dokąd?

Szczepan ręce łamiąc sparł się o dragi namiot podtrzymujący, nogi mu drżały.

Dorota stała, włosy swe, które pod szyszakiem się zgmiotły w rękach zwijając. Patrzała na wyłękłego z góry, z politowaniem i wzgardą.

— Jeżeli wy mi nie dacie rady — rzekła — oh! oh! znajdę ja tu takiego, co mnie w opiekę

rad weźmie. Jest ich tu siła takich, co się do mnie stroili i w gachy przyjeżdżali. Ino skinę, mieć będę ilu zechcę — ale! niedoczekanie wasze, panie wojewodo, żebym na was potem choć spojrziała, nigdy! ty stary tehrzu co się ludzi boisz, biskupa boisz, mnie boisz.

A to z ciebie wódz do wojny!

— E! słuchaj — odparł osmagany tak wojewoda burząc się. — Takićj baby jak ty i didko się ulęknie! Ja się strzały ani oszczepu, ani miecza nie lękam, tylko djabła i niewiasty!

Dorotę śmiech wziął.

— No, mów co mam robić?

— Albo ja wiem! — rzekł Szczepan — wiem tyle, żeś tu być nie powinna. Jedź gdzie na dwór do ziemian, to cię przyjmą.

— Między baby co mi kądział do rąk dla zabawy dadzą, żeby mnie z między nich bracia gołą ręką za kark wzięli?

Mądry jesteś do rady!

Odwróciła się, wojewoda znękany jęczał prawie.

— Jak mnie Bóg wyrwie cało z téj gorącej łaźni — począł z cicha — klasztor założę i wyposażę. Biskup téj nocy gotów być!

— A no! do mnie on nie spodziewać się, żeby po nocy szedł — rozśmiała się wdowa — a że ja ztąd po nocy nie ruszę, to jak mnie widzisz żywą.

Któż się tu mnie domyśli? ludzi kupa, jamu we zbroi po mężku przybyła.

— Ta! ta! ta! — przerwał stary — nie domyślą się! Zwachają podwikę, choć zbroją okrytą!

Im więcćj wojewoda Szczepan okazywał bojaźni, tём Dorota więcćj się tём zabawiać zdawała. Śmiała mu się w oczy.

— Idźże sobie panie wojewodo do swoich — rzekła — ja wiem co zrobię. Bywaj zdrowy, ja cię już na oczy widzieć nie chcę. Ruszaj do starej żonki pomarszczonėj, koło niėj od biskupa będziesz bezpieczny!

Wskazała na drzwi namiotu. Szczepan stał walcząc z sobą, ale obawa przemogła nad namiętnością, milczał, Dorota kończyła.

— Darmom na stare pruchno rachowała! Jutro ruszę wprost do Sandomirza do księcia, i oddam mu się w opiekę. Ten mnie nie odpędzi, jak wy! Kaźmierz piękny, dobry i biskupa się nie ulęknie!

— Książę żonaty! — mruknął wojewoda.

— A ty nie? — śmiała się wdowa. — Przeto pięknej się niewiasty nie wzdraga!

Pokazała mu znów na drzwi.

— Idźcie patrzeć czy biskup nie jedzie z panem Bogiem!

Wojewoda radby był znalazł jakiś środek między zupełném rozstaniem, a bezpieczeństwem swem w tój chwili, ale wdowa mówić już z nim nie chciała. Zawołała koniuszego stojącego pod namiotem, aby z niėj kaftan zdejmował.

— Jutro do dnia — wydała rozkaz głośno — do Sandomirza, tu nas nie przyjmują!

— My też tam z ks. biskupem ciągniemy! — zamruczał wojewoda.

Dorota nie zważając nań, zaczęła pocichu szeptać ze swym sługą, jakby starego na świecie już nie było. Wojewoda zmieszany pozostał jeszcze czas jakiś, lecz widząc, że nań oka nawet nie myśli zwrócić wdowa, wyniósł się trochę gniewny, a bardzo niespokojny.

Całą noc w obozie spano mało, ziemianie pili dużo do rana, i aż nadedniem się zdrzémnęli. Wojewoda jeden nie jadł, nie pił, oka nie zmrzyżył, tyle miał do myślenia.

Dopóki biskup nie nadjechał, nie czuł się bezpiecznym. Znał księcia charakter gwałtowny, i zmienne usposobienie ziemian, a wiedział, że pochwycyony skazanymby był na postradanie oczów i ucięcie ręki.

Niespokojny więc na biskupa oczekiwał jak na zbawcę.

Oznajmiany Gedko, ani tej nocy, ani nad ranem nie przybył. Posłano na zwiady, aby przyjazd jego przyspieszyć. Zrana, jak tylko rozwiśniało, wojewoda sam uchylił ściankę namiotu, aby przekonać się, czy Dorota, która obozowała niedaleko, dotrzymała słowa i ruszyła do Sandomirza. Właśnie, gdy wyglądał, zwijano jej namiot i konie prowadzono, zobaczył ją w helmie zam-

kniętym i płaszczu, a raczej domyślił się, gdy do-
siadając karego ze swojemi wyruszać miała.

Ziemiańskie przebudzeni i strwożeni tem, że ktoś
od nich odciągał, a siły ich uszczuplić się miały,
poczęli wołać i nakrzykiwać, ale Dorota nie słu-
chając i nie odpowiadając pojechała w swą drogę.

Lżej odetchnął Szczepan, w oczach mu się
rozjaśniło. Położył się dopiero i zasnął. Czuł że to
utrapienie, które mu tak groźne przesunęło się
przed oczyma, było karą Bożą i przestrogą ku
poprawie.

Około południa ludzie nadbiegli oznajmując,
że biskup Gedko ciągnie już; wojewoda z prze-
dniejszych władzykami, wybrał się zaraz na spo-
tkanie pod krzyż o staj kilkoro na gościńcu.

Pasterz krakowski przybywał tu już nie jak
do Tyńca wyruszył, ale z całą wspaniałością ksią-
żęcego swego dworu i otoczenia. Szły przy nim
oddziały przedziwnie zbrojne, całe we zbrojach
z niemiec sprowadzonych, na koniach dzielnych
pod chorągwią własną, jechał Krucyfer, kapelan,
kanclerz i duchowni, podkomorzowie, dwór, mło-
dzież ziemiańska, komornicy, czeladź, służba, szły
na wozach namioty i sprzęty podróżne. Nie zby-
wało i na trąbach i bębnach, które przybycie
oznajmowały głośno. Sam biskup dla długiej drogi
w kolebce jechał szkarłatem wysłanej.

Słowem, pochód był jakiego wymagało dosto-
jeństwo pierwszego w kościele po arcybiskupie

gnieźnieńskim pralata, i ród jego stary a możny; pochod wspaniałości książęcej, wrażający poszanowanie większe, niż panującego, bo krzyż mu przodował. Gdy stojący na drodze pod figurą ziemianie z wojewodą ujrzeni biskupa, okrzyknęli go czapki podnosząc do góry. Gedko błogosławił. W zwiększonym orszaku ciągnęli ztąd do obozu.

Wojewoda Szczepan teraz dopiero się czuł bezpiecznym.

Wprowadzono biskupa do namiotu, do którego zaraz ziemianie tłumnie się cisnąć zaczęli. A że każdy go widzieć i słyszeć chciał, a ciasno było we środku, musiano ze wszystkich stron podnieść ściany płócienne. Cichość się stała na chwilę. Biskup kłaniających mu się i cisnących do ręki, błogosławił, i modlitewkę krótką odmówiwszy, począł podniesionym głosem.

— O to ci między was przybył dzieci moje, aby do dzieła sprawiedliwego przewodniczyć w imię Chrystusa Pana. Dzieło sprawiedliwe jest i chwalebne.

Niegodzi się, aby dla jednego człowieka cierpieć wszyscy. Książę Mieszek kościoła nie szanuje, ani sług jego, ani starych praw i zakonów ziemi naszej. Prawo swoje bezprawiem chce gruntować. Myśmy nawykli panów sobie dawać sami i wybierać, on siłą panować chce.

Szanujemy krew pańską! Gdy jeden obrany nie godzi się nam, drugiego wziąć możemy. Niech

nam Kaźmierz panuje, który Boga się boi i dla ludzi ojcem będzie.

Na to hasło, zawołali wszyscy.

— Kaźmierza mieć chcemy! Kaźmierza!

Obóz rozległ się cały aż do krańców wywoływaniem tego imienia.

Biskup skończył na tém, usiadł znużony, zapuszczono ściany namiotu, ziemianie rozchodząc się zaczęli, a wojewoda przyjmował Gedkę. Rozmowa zaczęła się poufna.

Postanowiono jak tylko wypoczną konie i ludzie się posilą, ruszać natychmiast w dalszą drogę do Sandomirza.

Tymczasem wdowa przodem tym gościńcem się puściła. Nieustraszona niewiasta, nie bardzo się kłopotala tém, co ją tam spotkać mogło. Po drodze jednak nie wydawała się z sobą, na popasach i noclegach nie zdejmując szyszaka, dopóki widziana być mogła.

Nie śpieszyła też bardzo, czując się tu już bezpieczną, a podróżą zabawiając się z płochością sobie właściwą, bo jej niepewność i groza położenia nie odejmowały swobody umysłu. W drodze trafiały się i łowy, goniono zwierza po lasach, spoczywano w dąbrowach, rzadko zajeżdżając do osad po drodze.

A że na gościńcu głównym do Sandomirza ludzi było dosyć, bo ziemianie niektórzy i samopas ciągnęli, że często gromadki wdowy czepiano się

a dopytywano, aby się zbyć natrętów, wołała przesuwać się bocznemi drogami. W końcu rzeka się ukazała, miasto i zamek.

Jechać wprost na gród nie było można.

Przez drogę myślała już, jak się do księcia dostanie, rozrachowując po niewieściemu wszystko, aby się lada czém zbyć nie dać. Straciwszy wojewodę, wyżej sięgała, opiekuna chciała mieć w Kaźmierzu, który był piękny, młody jeszcze i niewiasty lubił. Ufała w to mocno, że go sobie zyskać potrafi.

Wiedziała dobrze, iż książę miłośnicę miał, ale była pewną, że go od niej oderwać potrafi.

Myśl ta zapalała ją mocno, bo i książę się jej podobał, gdy go dawniej widziała i na braci w nim oręż mieć chciała.

— Bodaj czarów użyć a muszę go mieć! — mówiła w duchu. Są przecież napoje, zioła, sposoby, nroki, nie zechce po woli, to go niemi przyciągnę!

Wiara w gusła była naówczas powszechną, stare baby zajmowały się niemi, nie dziw, że piękna Dorota w pomoc swym wdziękom czarodziejki wszechmocne wziąć chciała. Wzywano je we wszelkiej potrzebie.

Oddział wdowy przyciągnął do miasta; w bramach zaraz koniuszy spytawszy o księcia, dowiedział się, że go nie było.

Niewiedzano dokąd pojechał, ani kiedy po-

wróci. Powiadano tylko, że dosyć już dawno ruszył w lasy, na zamku niepokój był wielki i ludzie się w różne strony, szukając go, rozbiegli.

Pod miastem na podzamczu musiano szukać miejsca na obóz dla ludzi, a w chacie mieszczanina Dorota wprosiła się do komory.

Służba jej wnet ubogą tę świetliczkę przybrała tak, że w niej panią znać było. Na wozach się znalazły opony, sukno i kobierce.

Pierwszy to raz po wyjeździe ze Skał Dorota się ze zbroi i męskiej odzieży rozebrała i położyła spoczywać. Przed księciem chciała stanąć po niewieściemu i z całą zalotnością przystroić się do niego.

Dzień jeden i drugi upłynął na próżnem nań oczekiwaniu. Posyłano na zamek zawsze tę samą odbierając odpowiedź, że o księciu słyhać nie było. Tymczasem już i wojsko Wojewody i orszak ks. biskupa nadciągnęły do Sandomirza. Oba dostojnicy na zamku się rozgościli, a wojska ich szeroko zaległy pod miastem dolinę.

Z przybyciem biskupa inaczéj się wszystko poruszać zaczęło, podwojono troskliwość w poszukiwaniach księcia.

Księżna Helena zarazem uradowana i przełękła, z Goworkiem i Jaksą przyjmowała gości.

Jawnem już było z tego ociągania się księcia z powrotem, iż chciał uniknąć posłów po niego

przybywających, a władzy ofiarowanej przyjmować się wzdragał.

Ale biskup Gedko o oporze z jego strony słuchać nie chciał, pewien będąc, że powagą swą zmusi go do posłuszeństwa. Władzy duchownej nie się odmawiać nie godziło. Wojewoda stał za biskupem i pod jego rozkazami. Przybywszy tu, choć zaprzątłony publiczną sprawą, z trwogą i nad tём przemyślał, że Dorotę przodem do Sandomirza wyprawił, prosząc Boga, aby mu tu nie zaszła gdzie drogi.

O tём już ona nie myślała. Koniuszy tylko codzienn do zamku wysyłany był na zwiady, ale z niczem powracał.

Jednego rana wreszcie ruch postrzeżono wielki w zamku i na mieście, ludzie zaczęli wyjeżdżać zbrojni i postrojeni, oddziały szykować się, rycerstwo chorągwie podnosić i wypływać na gościniec...

Koniuszy doniósł, że się księcia spodziewano.

Uderzyło serce Dorocie, teraz się losy jej wkrótce rozwiązać miały. Kaźmierz istotnie powracał zmuszony przez tych co po niego do Sulejowa wyjechali, przybywał z mocnym postanowieniem skończenia sprawy bolesnej, odmową jawną. Nie wiedział jeszcze ani o przybyciu biskupa, ni o wojewodzie.

Jak tylko znać dano o zbliżaniu się Kaźmierz, Gedko uroczyście naprzeciw niemu wyruszył.

Dorota z chaty, którą zajmowała, widzieć mogła, jak po prawej ręce mając Gedka, po lewej Szczepana, Książę otoczony tłumem okrzykującym go, blady i pomieszany na zamek wciągał, gdzie u wrót księżna z synkiem nań czekała.

Wdowa po raz pierwszy po latach wielu zobaczyła Kaźmierza, a wydał się piękniejszym jeszcze, jadąc tak smutny a poważny, gdyby męczennik jaki z wielką w twarzy boleścią, która dlań miłosierdzie obudzała.

Pochwycony, otoczony, witany z miłością, za którą musiał być wdzięczny, książę czuł całą przykrość położenia swojego, na obliczu jego malowało się wzruszenie i strapienie, upokorzonym się czuł niemal. Ile razy powtarzany okrzyk — Żyw niech będzie pan nasz! — zabrzmiał z ust Krakowian, wzdrygał się, odwracał głowę i błagać zdawał, aby się nad nim ulitowano. Słowa jednak wymówić mu nie dano, tak nieustannie go obwoływali.

Cały orszak książęcy przeciągnął mimo chaty, w której oknie z bijącym sercem siedziała sparta na ręku Dorota, pożerając oczyma pięknego pana.

Serce jej od pierwszej młodości przywiązujące się łatwo i płochie, nigdy jeszcze tak gwałtownie nie biło, nigdy jeszcze mąż żaden nie zdał się jej tak dziwnie promienistym swą wielkością, a zarazem poeীগającym boleścią i smutkiem. Namiętna niewiasta załamywała ręce przemysłając jak

go sobie potrafi pozyskać. Przez głowę przechodziły jej myśli najdziwniejsze. Stach, którego zobaczyła za orszakiem księcia, nawet wojewoda, którego się pozbyła pogardliwie, zdali się jej na chwilę narzędziami jakiegoby użyć mogła, aby się zbliżyć do Kazmierza. Po krótkiej rozwadze, wszystko to okazywało się trudnem lub niepodobnem.

Ze smutkiem rachowała, jak ciężko jej będzie dostać się do niego; tymczasem orszaki przeciągnęły, ludzie znikli, umilkło wszystko dokoła. Została samą z myślami swemi.

Książe, którego pochwyciwszy na drodze z taką radością wiedziono, jechał pogrążony w trwożliwych dumaniach spoglądając ku swoim, jakby od nich oczekiwał ratunku. Rad się był z tłumu tego wyzwolić na chwilę, aby się rozmyśleć, jak ma postąpić, i zobaczywszy księżnę z synkiem, którego kochał bardzo, pochwycił Bolka na ręce, a żona i dziecię posłużyły mu do wyrwania się biskupowi i wojewodzie. Zwrócił się do nich prosząc o potrzebny spoczynek. Dozwolono mu więc z księżną i synem wniść do środka samemu, Wichfried tylko, Goworek i Jaksa zdala za nim pociągnęli.

Zaledwie do komnaty swej się dostawszy, Kazmierz padł na siedzenie z wyrazem smutku głowę kryjąc w dłoniach. Wszyscy dokoła twarze mieli wesole, Bolko tulił się do niego, żona do-

pytywała o zdrowie, Kaźmierz głosem niepewnym odpowiadał tylko łagodnie, że potrzebuje spoczynku.

Zwolna więc powysuwali się wszyscy, książę tylko odchodzącego Wichfrieda zatrzymał ręki skinieniem. Długo jednak nie mógł przemówić do niego, chwytając się za głowę i piersi, oczyma zataczając dokoła, przysłuchując się z trwogą jakąś gwarowi na podwórach.

— Wichfriedzie — zawolał — stało się, czegoś się obawiał najwięcej. Aż tu przybyli goniąc i żądając czego ja im dać nie mogę!

— Przyszli błagać, abys ich ratował — rzekł Wichfried. — Com przepowiadał, to się dokonało, biskup i wojewoda z krakowianami proszą na stolicę swą. Uchylić się niepodobna.

— Raczęj znów ujdę na puszcę! skryję się, ucieknę — zawolał Kaźmierz — niżejlibym miał złamać słowo dane bratu i sumienie pokalać moje! Nigdy! nigdy!

— Siłą was wezmą — odparł Wichfried — opór tu próżny. Nie ma jednego człowieka, co by wam pomógł przeciw nim. Księżna, przyjaciele, starszyzna, duchowni, przeciw wam a z niemi!

— Milez, Wichfried — ofuknął książę — milez, złe to są słowa!

Za drzwiami slychać już było dopraszających się wnijscia. Jaksza uchylił zasłonę i wcisnął się niepytając zezwolenia. Spojrzał na Kaźmierza, ba-

dając twarz jego. Książę się zwrócił ku niemu wyciągając ręce.

— Jakso, na miłość Zbawiciela! na miłość brata mojego, na drużbę twą dla mnie, zaklinam cię, broń poczciwości mojej!

— Miłościwy książę, wiesz żem za ciebie życie dać gotów — mów! rozkazuj, uczynię co mogę!

— Słyszysz i widzisz, co się dzieje! — wołał książę niespokojny wskazując na okno. — Ci ludzie przybyli tu, aby mnie uczynić krzywoprzysięcą! Idź do nich, mów z nimi, chcą tego co niemożliwe. Broń mnie!

— Obrona byłaby zdradą — odparł Jaksa spokojnie — miłościwy panie, woli Bożej poddać się potrzeba.

— Woli Bożej! — przerwał książę — ale to wolą Bożą nie może być, co jest bezprawiem!

Zmilczał Jaksa i wyczekawszy, odezwał się.

— Książdz biskup Gedko pilno o posłuchanie prosi.

— Niech mi da choć chwilę spoczynku i namysłu — zawołał Kaźmierz — do téj walki się przygotować muszę!

Tych słów domawiał, gdy księżna Helena weszła sama niosąc w ręku kubek nalany. Książę, który słysząc drzwi otwierające się znowu, namarszczył już, wyjaśnił twarz dla niej i przyjmując napój z rąk jej, pocałował w czoło. Wychylił go bezmyślnie.

— Znużony jestem — szepnął — spoczynku potrzebuję, proszę, przyjmijcie biskupa za mnie.

Posłuszna księżna nieśmiało wejście rzuciwszy na męża, wyszła powoli, a Kaźmierz, który zobaczył stojący tuż klęcznik z krzyżem do modlitwy, jakby pod opiekę Bożą chciał się uciec, padł na kolana zasłaniając twarz dłońmi.

Jaksa z Wichfriedem spojrzeli po sobie i wyszli.

Tym czasem w wielkiej izbie, w której biskup zasiadał, oczekiwano na księcia. Wojewoda Szczepan, Żyra stary, Sambor, Leszczyce, Bogorje, Cholewa, czoło ziemian krakowskich otaczali pastersza. Jaksa z Wichfriedem wchodząc zbliżył się do Gedki i na ucho mu szepnął, że książę się modlił prosząc, aby mu spocząć dano nieco.

Nie zdziwiło to wcale biskupa, ręką dał znać jakby już wiedział o tém i zwrócił się do otaczających.

— Spodziewałem się tego, że na opór trafimy — rzekł cicho — wiem, że silny będzie, ale przemódz go musimy.

Wszyscy skimieniami potakiwali. W tém Wichfried też zbliżył się do biskupa. Spotkanie i rozmowa w lesie z Mieszkiem, którą mu Kaźmierz powtórzył później, a część jej on sam pochwycił nie była jeszcze biskupowi wiadomą, zdalo się Wichfriedowi, że powinien mu o niej cznajmić.

— Książę — odezwał się poufnie — kilka dni

temu spotkał się na łowach z bratem. Byłem świadkiem ich rozmowy.

Niespokojny bardzo biskup zwrócił się, rozkazując mu opowiedzieć o wszystkim, i słuchał namarszczony, zadumany, gdy Wichfried powtarzał co słyszał.

— Nowa to dla nas trudność do przełamania — odczuwał się — ale z pomocą Bożą i tę pokonamy. Nalegać musimy, nie ustąpić, *salus rei publicae suprema lex*. Prawo, jakie Mieszek miał, utracił, łamiąc zakony wszelkie bożkie i ludzkie. Jam skazany na wygnanie, wojewoda na stratę oczów i ręki, inni na śmierć, więzienie i różne karnie. Zechceli książę oporem swym dać nas na łup? Jeżeli nie pójdzie z nami, wyrok na nas wyda!

A gdy Wichfried szepnął, że dać mu się trzeba uspokoić — dodał.

— Nie będziemy dzisiaj nastawali, ale czas drogi. Mieszek posłał do zięciów o posiłki, gdy je otrzyma, sprawa cięższą się stanie. Nie dawajcie Kaźmierzowi ujść pokryjomu, bo i na to ważyć się gotów, a w Haliezu go przyjmą...

Wichfried skłonił głowę i cofnął się. W izbie tymczasem to gwar zbyt ni, to niespokojne panowało naprzemiany milczenie. Patrzano na drzwi, szeptało między sobą. Książę się nie pokazywał. Kłęczał ciągle i modlił się. Dwa razy zajrzała doń księżna i cofnąć się musiała, zaglądał Gowo

rek, dowiadywał się Jaksą, witząc go zatopionym w modlitwie nie śmieli wnijść.

Wreście najśmielszy Goworek stanął w progu i czekał, oznajmując tём, że mówić potrzebuje.

Wstał książę i zbliżył się ku niemu, objął go z czułością wielką, badając trwożnie oczyma.

— Czy i ty z niemi będziesz przeciw mnie?— zawołał.

— Miłościwy panie mój, ja zawsze z tobą jestem i będę, ale i oni nie są nieprzyjaciołmi twemi.

— Są! są! choć się druhami być mienią — przerwał Kaźmierz, nieprzyjaciołmi są pokoju mego szczęścia, swobody. Panem mnie zwą, a niewolnikiem chcą uczynić; tak, zakną mnie w dyby, związać w łyka, uczynić nieszczęśliwym i zdrajcą!

Tak — miły mój!

Goworek głową potrząsał.

— Znasz książę moje przywiązanie do siebie — rzekł. — Nie pragnę dla was wielkości i potęgi ino szczęścia, ale inna rzecz dola człowieka małego, a inna tych, których Bóg wysadził na to, aby nami rządili. Wy nie należycie do siebie.

— Przyjacielu mój — odparł książę — błogosławionej pamięci ojciec mój, którego ja nie pomnę, bom w kolebce był, gdy mi go Bóg odebrał — jednego mnie chciał wolnym mieć nie dając mi nic. Jednemu z potomstwa swojego, szczęścia niezamąconego chciał dać skosztować. Matka oca-

lila siostrę, dając ją do klasztoru na służbę Bożą — a! i mnie się tam pono schronić było potrzeba.

— I ztamtądby was wzięła miłość ludzi a szacunek cnoty waszój — rzekł Goworek.

— Pochlebeć mi nie bądź — odparł surowo książę — do rządów siły potrzeba, której ja nie mam. Dumy trzeba i żądy, których nie znam... Stali chwilę milczący naprzeciw siebie.

— Nie litujesz się nademną! — dodał książę. Sługa wierny spuścił głowę i szepnął.

— Biskup Gedko z panami czekają na was.

Każmierz się wzdrygnął, popatrzył w okno mierząc czas po słońcu, i kazał przywołać komornika, aby przeoblec szaty.

W izbie oczekiwano nań ciągle. Biskup się niepokoił coraz więcej, szemrali inni, gdy Kaźmierz, którzy z sobą ani za sobą nikomu iść nie kazał, wyszedł w ubiorze prostym, ciemnej barwy, jakby i tém okazać chciał, że mu wszelki blask był przykrym. Twarz miał bladą ale wypogodzoną, zmuszał się do uśmiechu. Przyszedł biskupa powitać całując go w rękę, obrócił się ku innym, a spostrzegłszy, że sami prawie Krakowianie go otaczali, oczy spuścił.

Wnet na rozkaz wydany, wieczerzę dawać poczęto. Zasiedli wszyscy obok biskupa i księcia, którzy pierwsze miejsca zajęli. Goworek i Jaksa z Wichfriedem gospodarzyli przy innych stołach.

Przy uczeniu nie bywało zwykle mowy o sprawach publicznych, a tłum też nie dopuszczał o nich rozprawiać. Zagail Gedko o potocznych rzeczach, czemn książę rad się okazał.

Gwar wkrótce nie dopuścił już innych rozmów nad te, jakie z sąsiadami prowadzono.

Z krakowskich ziemian większa część już zawczasu pewna zwycięstwa, dobrą myśl okazywała.

W tym Leszczyc niedaleko od księcia siedzący, rozpowiadać począł, iż w Sandomirzu widział już nawet niewiastę, która chroniąc się od ucisku braci pod opiekę księcia się schroniła przeczuwając, że tu jest sprawiedliwość i moc wszelka.

Zgadli inni zaraz, iż o Dorocie z Tęczyna mowa była, która i z wdzięków i z zalotów swych słynęła.

Wojewoda, do którego imie to doszło, spuścił głowę, biskup ją podniósł namarszczywszy brwi.

— Bracia na nią zdawna czyhają — odezwał się — aby ją zamknęli, bo ich słuchać nie chce i zbytnej swobody zażywa. Musiała się tu schronić między ziemiany naszymi, na przyjaciół rachując, których do zbytku ma. Krakowska ziemia wszystka teraz w Sandomirzu.

O przyjaciolach wdowy mówiąc, biskup z ukosa na wojewodę spojrzal, ale Szczepan oczu nie podniósł i uczynił, jakby nie słyszał wcale.

Książę rad, iż o rzeczach obojętnych mówiono, o wdowę pytać zaczął, przypomniawszy ją sobie.

Opowiadał Leszczyc różne jej sprawy, wojewodę biorąc na miękko, ale pominąwszy go i nietykając, strachu mu tylko napędził.

Gdy się już zadługo o tém ciągnęło, przerwał biskup.

— Ani prawić tak wiele, ani słuchać o téj niewieście nie przystało, płochą jest i nieporządną. Bracia że ją zamykać chcą, ażali nie mają słuszości nie wiem, bo im srom czyni, siebie i drugich wiodąc na zgubę.

— Juści jako wdowa wolną jest — rzekł Leszczyc.

— Nie, bo do żywota niewiasta ani letnią ni panią swęj woli być nie może — rzekł biskup...

Nikt mu się przeciwieć nie śmiał i zamilkli wszyscy, czemu wojewoda rad był, gdyż w obawie, aby mu łaty nie przypięto, oczu podnosić się nie ważył.

Następnego dnia, ks. Biskup Gedko mszę ranną sam odprawiał w zamkowej kaplicy. Książę klęcząc jęj słuchał, przedniejsi ziemianie i rycerstwo napełniali szczupłą budowę i zalegali tłumem u proga. Księżna z synaczkiem także była przytomna.

Po wczorajszém gorączkowém usposobieniu wszystkich, dnia tego widać było myśli poważne na czołach i niemal troskę. Począwszy od księcia i Biskupa, każdy się zdał przywalony brzemieniem, ale z rycerstwa patrzyła jakaś odwaga i postanowienie silne, jakby się na wielki i stanowczy krok gotowało.

Zaledwie dokończywszy mszy cichój Biskup skinął na Wojewodę i gdy książę wstał od klę-

cznika, starszyzna wszystka z Gedką na czele za nim się potoczyła.

Czuć było że chwila w której się losy Kaźmierza i krakowskiej ziemi rozstrzygać miały, blizką była, gotowali się do niej wszyscy na duchu. Książę dnia tego już się nie starał uniknąć rozmowy, wolnym krokiem szedł obok Gedki do wielkiej izby. W drodze nikt nie przemówił słowa, spoglądali na siebie, dając znaki porozumienia.

Kaźmierz szedł błady jak winowajca którego wiodą na plac kaźni, ale z rezygnacją i powagą. Uniknąć spotkania i starcia dłużej już nie było podobna.

Gdy się naprzód książę z Biskupem, potem wszyscy przedniejsi znaleźli w izbie, stanęli kołem otaczając Kaźmierza. Cichość panowała uroczysta, przerwał ją pierwszy Gedko.

— Miłościwy książę — odezwał się — przyszliśmy do ciebie jako dzieci do ojca, a ja pasterz wiodę oto gromadkę tę, która ci się do stóp kłaniając, prosi abyś objął krakowską stolicę i wierzchnią władzę.

Nie tajno Wam że panowanie Mieszkowe stało się wszemu ludowi nieznośnem, czyny jego o pomstę do Boga wołają, a cnoty twe o nagrodę do niebios. Idź więc, siadaj na stolicę i rządz nami. Niech pokój i błogosławieństwo Boże zstąpią na utrapioną ziemię naszą.

Tak począwszy wymowny Biskup sławił Kaź-

mierza, który z oczyma spuszczone, słuchał niemal zawstydzony. Wynosił jego rozum, naukę, miłość sprawiedliwości, walczność, łagodność, miłosierdzie, chętne wybaczenie uraz, skromność, szczodroblivość, zamiłowanie w pracy, cierpliwość.

Ziemiańskie słuchając coraz to mruczeniem, szmerem, okrzykami mu potakiwali. Gdy biskup długą swą skończył mowę, książę wzruszony zrazu odpowiedzieć nie mógł, łzy mu z oczów płynęły. Wreście począł słabym głosem.

— Nie pierwszy to raz miłości waszćj dowody mi dajecie — rzekł — wiedząc mnie na pokuszenie władzy, którą ja nie pragnęłam i nie pragnę. Przypomnijcie sobie że niektórzy z was Swiatosław, Jaksa i inni, ciągnęliście mnie już abym to sławne państwo objął za żywota brata mojego Bolesława. Odrzuciłem wówczas nagabanie to, przenosząc miłość i wierność bratu nad urok potęgi znikomiej. Albowiem kto na brata godzi jakby sam na siebie uderzał. Jeżeli naówczas młodszym będąc, nie chciał się zmazać niewiarą cóż dzisiaj?

Godzilożby się iść tą drogą do władzy? stawiać na wygnanie starszego brata, który mnie kocha, i pozorniej wielkości poświęcać poczciwość? Sami bądźcie sędziami.

Biskup nie dał mówić mu dłużej.

— Miłościwy książę — przerwał — całę in-

częj stały sprawy naówczas a dzisiaj. Kilku ludzi przyjaznych chcieli cię prowadzić na stolicę, dziś wszystek lud woła do ciebie. Ginie państwo to jeżeli ty go ratować nie będziesz. Nie mówię o sobie bom na męczeństwo gotowy, ale wszyscy przedniejsi skazani już są na wygnanie lub kalectwo i więzienie. Padną głowy — to nie jeszcze, ale z niemi prawa i swobody nasze ziemiańskie, niewola trupem uczyni ciało to żyjące ziem naszych. Zlituj się nie nad nami, a nad ziemią swą, której winienesz życie.

Każmierz poruszony był.

— Ojcie — zawołał — Mieszek nie może i nie zechce być niesprawiedliwym i okrutnym, ja moją głowę poniosę za was i zakon się zastawując.

Nieśluchając go, zaczęto wołać.

— Panuj nam! panuj!

— Nie czynicie mnie zdrajcą, nie czynicie bratobójcą! przerwał Kaźmierz.

— Niechcemy Mieszka zguby — odparł Biskup — zdali się Wam, niech wraca na dzielnicę swą, ale gdy starszym być nie umiał niech będzie posłusznym młodszemu.

Kaźmierz z opuszczonemi rękami słuchając milczał, gdy ziemianie zbliżyli się doń i przyklęając za kolana go i za ręce chwytać poczęli.

— Idź z nami, panuj nam! — powtarzali.

— Mieszka wybawisz — dodał Wojewoda

Szczepan — inaczéj on życia nie pewny, ze strachu o siebie, w obronie własnéj porwać się kto nań może.

— Przejednamy go — odezwał się książę — wymożemy odpędzenie sług niedobrych. Zamiast czynić mnie wywłaszczycielem, dajcie mi być pośrednikiem.

Gedko słuchając głową potrząsał.

— Wszyscy Mieszka znamy — odezwał się — nie da się on złamać, ani zastraszyć, ni pokierować, między nim a ziemiany zgody już być nie może.

Przystąpili doń znowu wszyscy a Biskup począł z gorącością wielką.

— Nie odstępimy ztąd bez ciebie — zawołał — Mali to być grzechem co czyniemy, ja grzech ten na sumienia nasze rozkładam. Gwałt ci zadamy! Wybłagamy to abyś się dla nas poświęcił.

— Panem nam musisz być, ty lub nikt — dodał Wojewoda a za nim Leszczyc, Cholewa, i wszyscy — Nie ma tu jednego coby mówił inaczéj, coby przeczył. Zgodnie wszyscy prowadzimy cię na stolicę.

— Krew przelaną będę mieć na sumieniu! — zawołał Kaźmierz.

— Jedna kropla jéj nie popłynie, bo walczyć nie potrzebujemy — odparł Biskup — Krom samego Mieszka i małéj garści zauszników jego żywego człowieka niema w krakowskiéj ziemi,

co by z nim i przy nim stanął. Nawet przyboczne jego straże z nami się połączą.

— Tak jest — ciągnął dalej Wojewoda — mamy tę pewność. Zamek czeka tylko aby ci otworzyć bramy.

Nalegano silniej coraz, gdy Kaźmierz, który niewiedział już jak się opierać, o czas do namysłu prosił.

— Sumienie nie dopuszcza! — rzekł.

— Dana mi od Boga władzę, rozgrzeszam je — przerwał Biskup.

Kaźmierz wzburzone jeszcze zgromadzenie porzucając, szybko się oddalił.

Po wyjściu jego gwar powstał ogromny. Chciano gonić za nim, ale Jaksa i Wichfried zaparli drogę. Biskup spokój zalecił, głosy ucichły i zmieniły się w szemranie.

Kaźmierz tymczasem w izbie swój zamknąwszy się, przebiegał ją krokami wielkimi. Drzwi od niej stały otworem do drugiej w którą po Henryku spuścizna, zbroja jego i płaszcz wisiały; rzucił się ku tym pamiątkom drogim, jakby chciał uciec na łono brata, u niego szukając opieki i rady. Drżący cały, zburzony, łzy miał na oczach.

— Co powie duch ojca naszego! co ty Henryku mój rzeczesz, z wysokości patrząc na niegodnego zdrajcę i przecherę? Godzienże będę

modlić się za was? Mieszka przekleństwo nie spadnież na mnie i ród mój? o Boże!

Rzucał te słowa przerywane, dobywające mu się z piersi, gdy ręka prawa, którą obejmował zbroję i płaszcz brata poczuła że coś zimnego padło w nią i do niej przyłgnęło, jakby na wołanie to cień Henryka mu z czémś w pomoc przychodził. Drżącą ręką ściskając to na co dłoń natrafiła, Kaźmierz podniósł ją i spostrzegł dawną niewidzianą bulawę, jak berło misternie wyrabianą, którą Henryk przywiózł z sobą z Palestyny. Była ona darem Ludwika króla Francyi, krzyż i lilje gośła pokoju i zgody stały na niej wyryte.

Jakim sposobem to berło znalazło się w jego ręku, gdy było zawsze przytwierdzone do zbroi, nieumiał sobie Kaźmierz wytłumaczyć — stanął głęboko zadumany. W owym wieku wiary, gdy w każdej chwili ludzie widzieli nad sobą czynne działanie Opatrzności, mięszającą się do wszystkich życia wypadków — los, który mu dał w dłoń berło, mógł Kaźmierz uważać jakby za wskazówkę przeznaczenia.

Drżącą ręką postawił berło na swém miejscu, ale stoczyło mu się pod nogi i napróżno usiłując je przytwierdzić do zbroi brata, musiał wręście złożyć je na stole.

Niedano mu długo spoczywać samemu, wciśnął się Jaksa, stary druh i napastnik stary, który już dwakroć ciągnął na stolicę Kaźmierza,

z nim Wichfried przyjaciel młodości, oba z twarzami rozjaśnionemi.

— Próżna rzecz opierać się — rzekł Jaksa wchodząc śmiało. — Nastają na szyje ziemian, wyroki na nich wydane, Biskup zagrożony wygnaniem — książę musisz iść do Krakowa, Mieszka opuścili już wszyscy, krom Kietlicza i kilku ludzi, nikogo niema.

— Mówilem wam — odparł Kaźmierz — pójdę ale jako pośrednik, jako pojednawca, sam się oddam w jego ręce, aby was zastąpić. Tak, idę ale nie inaczej jak z małą garścią ludzi, któraby seciny nie przenosiła.

Zdobywać Krakowa nie myślę, brata wypędzać nie będę. To moje słowo ostatnie.

Jaksa z Wichfriedem spojrzeli na siebie.

— Dobrze tak — rzekł pierwszy — idźcie w stu, idźcie w pięćdziesięciu ludzi, ale idźcie a ratujcie. Przekonacie się sami czy jest co do uczynienia. Więcej od was nie żądają.

— Jako pośrednik, nie inaczej — dodał Kaźmierz.

— Jako chcecie — potwierdził Jaksa.

Zatém pozwólcie abym o tém, dla ich uspokojenia, oznajmił Biskupowi i ziemianom.

Jaksa żywo wyszedł z komnaty, pozostał Wichfried. W chwilę potem okrzyk ogromny rozległ się po zamku, w podwórcach, do koła.

Zbladły Kaźmierz rzucił się na krzesło.

W tém wbiegł rozpromieniony Goworek i całując księcia po rękach, wołać począł.

— Na kiedy książę konie mieć każesz gotowe?

Książę pomyślał chwilę.

— Choćby jutro, jadę — ale nie więcej jak w pięćdziesiąt.

— Kilkaset jest ich na zamku i w mieście — rzekł Goworek.

— Niech idą gdzie chcą, rozjadą się, stoją i czekają, z większą siłą ja nie ruszę. Rzekłem i uczynię jakom rzekł.

Goworek głowę skłonił i wyszedł.

W wielkiej izbie zebrani już się zwycięstwem cieszyli, Biskupa twarz się uśmiechała, Wojewoda był wesół, ziemianie się ściskali.

— Z niewoli nas wybawił, — wołano — zbawcą jest naszym.

Gedko jednak zawczesnej radości nakazał milczenie ostrożne.

— Nie trzeba nalegać nań, straszyć go, niech jedzie w pięćdziesiąt koni, choćby z dziesiątkiem tylko, my tam będziemy co go na zamek wprowadzimy, załoga nasza, lud wszystek. Mieszek uchodzić musi chcieli życie ocalić. Kaźmierzowi dać trzeba czas aby się z sumieniem przejednał.

Książę, zaledwie wyrzekłszy słowo stanowcze już go żałował, Wichfried który go nie odstepo-

wał, spostrzegł posmutniałe i zmienione lice, począł go pocieszać i krzepić, ale Kaźmierz zamknął mu usta.

Nie prędko wyszedł znowu do zgromadzonej starszyny. Tu, jakby sobie na to słowo dano, nie wznowiono rozmowy, nie nalegano; przyjęto go jak pana w milczeniu. Ziemianie według danych im przez Biskupa i Wojewodę skazówek rozejżdżać się zaczęli.

U stołu wieczornego gdy zasiedli, Biskup zagaił rozmowę o świątobliwych sprawach innych panów i królestw, o kościołach, klasztorach, relikwiach świętych, budowaniu gmachów na chwałę Bożą jakich w Polsce nie widziano.

Kaźmierz mocno się tém zajął. Przeszedł czas na opowiadaniach o ziemi włoskiej, niemieckiej i francuzkiej, o nowych na krzyżowe wyprawy przygotowaniach.

Ku końcowi tylko, gdy się rozejść mieli, gdyż pobożny Biskup chciał wieczorne godziny odprawić, rzekł do księcia.

— Dziękujemy wam za obietnicę. Weźmiesz księżę koni ile zechcesz, a my we dwu nieodstępnie towarzyszyć Wam będziemy. Choćby bez orszaku, pójdziemy z Tobą.

Tak się rozstali.

Gdy się to na zamku działo, w chacie zajmowanej przez wdowę, nowa się napaść na księcia gotowała i nowe dlań niebezpieczeństwo. Nie bez

przyczyny rzeczono że co niewiasta mieć chce to się stać musi. Mają one ten zmysł iż gdy czego pragną, ku temu wszystkie siły swe na razie skierowują; nie trwa ten ogień słomiany długo, ale wielkiem płomieniem goreje.

Wdowa namiętną była a raz powiedziawszy sobie że księcia pozyskać mnsi, ku temu celowi z całą gorącością swą się zwróciła. Nie miał pokoju koninszy i slugi, póki nie dowiedzieli się przez kogo i jak do księcia najłatwiej trafić można. Na zamku już miała przekupione slugi.

Radzono różnie, jedni Goworka, drudzy Jakse, inni Wichfrieda jako poufałego przyjaciela od młodości, któremu książę najwięcej pozwalał.

Wiedząc o nim dawniej i rachując na to że młodego łatwiej sobie pozyszcze, Dorota postanowiła udać się do Wichfrieda. Wybór był szczęśliwy, niemiec sam niewiasty lubił, z księciem o nich rozmawiał, wchodził do izb kiedy chciał, wprowadzał z sobą kogo mu się podobalo.

Wichfried kręcił się około zamku nieustannie, a tego dnia, z powodu wyboru w podróż, w której miał księciu towarzyszyć, więcej niż kiedy. Dorota upatrzwszy chwilę gdy z zamku do koni jechał, wybiegła z dworku, drogę mu zastąpiła i poczęła błagać a prosić aby do niej zaszedł na chwilę rozmowy.

Domyślił się niemiec kto była, a piękna i strojna niewiasta, tak go pierwszém wejrzeniem ujęła

że się jęj opierać nie mógł. Kunszt uwodzenia ludzi i przemawiania do nich, miała Dorota od natury dany. Umiała gdy jęj było potrzeba pokorną się stać, zuchwałą, poważną, swawolną, nieszczęśliwą. Rzuciwszy okiem na niemca miała już pewność że się on jęj nie oprze.

Gdy rzuciwszy konia wszedł za nią do dworku, zdziwiony trochę napaścią bardzo dlań miłą, już błagająca przed chwilą niewiasta zmieniła się w miłościwą panią gotową mu rozkazywać; zawsze piękna, teraz rozognieniem, niecierpliwością stała się wdzięczniejszą jeszcze.

— Wyście druhem a bratem księciu naszemu, — zawołała śmiało doń przystępując Dorota — uczynicie to, uczynicie abym ja mn do nóg rzucić się mogła, aby mojęj prośby posłuchał na chwilę!

Jestem nieszczęśliwą, prześladowaną sierotą, rodzeni bracia godzą na życie moje — opieki szukam u księcia.

Załamala przed nim białe dłonie. Wichfried się nśmiechał patrząc, i niedowierzając tēj wielkiěj boleści i niebezpieczeństwu.

— Wiecie pewnie kto jestem — mówiła śmielej coraz — ludzkie języki mnie szkalują — jestem Dorota z Tęczyna.

Wichfried słuchał nieprzerywając, przypatrując się z przyjemnością pięknej wdowie, która mówiąc o miotanych na się potwarzach, postawą,

wejrzaniem, obejściem całém, zdawała się dowodzić iż nieprzyjaciele nie darmo ją ogady. . . .

Ale w oczach Wichfrieda nie była występkiem zalotność, a wdowa w pełnym swych wdzięków rozkwicie tak go zachwyciła, że rad był jęj służyć w czémby mu przykazała, byle u nięj łaskę zyskać.

Nie zdało mu się téż grzechem i znękanego Kaźmierza widokiem tak pięknej niewiasty rozweselić. Pomyślał nawet w duchu że ta wspaiała postać jakby na kochankę króla była stworzoną.

Chciał się tylko nieco podrożyć.

— Miłościwa pani — zawolał — wcale to nie w czas teraz księcia niepokoić — Smutny jest, zaprzątńiony, zmęczony przez Biskupa i ziemian.

Dorota spojrziała szydersko.

— O! — odparła — ja mu długo czasu nie zabiorę, a żeby dlań męką być miało z niewiastą mlodą pomówić chwilę — niewiem!

Zrobiła minkę nadaśaną i dumną.

Wichfried stał jedząc ją oczyma, co postrzegłszy, obróciła się kilkakroć jakby mu się lepiej pokazać i popisać z sobą chciała, z taką zalotnością zuchwała, iż niemiec oszalał.

— Miłościwa pani — zawolał — mając litość nad księciem niemogę wam wyrobić posłuchania. Gdybyście starszą a mniej piękną byli — ale co na to powie księżna pani gdy się dowie?

Uśmiechnęła się wdowa udając skromną.

— Ja zalecać mu się nie myślę — rzekła oczyma sobie kłam zadając — tylko prosić o opiekę.

— Niebezpieczna rzecz brać was w opiekę — począł wesoło, zbliżając się do niej Wichfried — to jak żarzewie za pazuchę.

Ja com tu wszedł ino, a już mi się wychodzić nie chce. — Siedziałbym jak wkuty, choć sprawa pilna.

— Siadajcież proszę — rozśmiała się rada z siebie wdowa i klasnęła na służę, aby wino podał, które zawczasu przygotowane było.

Miała już Wichfrieda i była swego pewną. Gdy przyszło pić, niemieć wymógł na niej aby wprzód do kubka przyłożyła usta, dla nadania napojowi smaku, potem przysiadł się do niej tak blisko iż czuł jej oddech i mógł na białe patrzeć ramiona.

— Wiem — odezwała się do niego — że książę jutro jedzie do Krakowa, ja czekać nie mogę, wprzód się z nim widzieć muszę i zapewnić sobie jego opiekę. Zatém, miły panie, dziś mi wyrobicie posłuchanie.

— Dziś? kiedy? chyba o mroku?

— O mroku! w nocy! wszystko mi jedno — odpowiedziała Dorota — księcia się nie boję. Padnę mu do nóg, powiem o prześladowaniu mojem, ojcem mi musi być.

— Za młody na to jest! — rzekł Wichfried Dorota niby nie zrozumiałwszy, ciągnęła dalej.

— Będę na was czekała do nocy — rzekła — wprowadźcie mnie tylko, nie lękajcie się o mnie ni o niego.

Wichfried nie przyrzekał jeszcze, ona nacierała.

— Musicie to uczynić dla mnie. Uśmiechali się ku sobie. Dorota poczęła coraz zachwalać.

— Miałam opiekuna w starym, Wojewodzie Szczepanie, Biskup się gorszył tą opieką i klątwą mu zagroził — nie mi już po tym trupie!

— Biskup gotów potem mnie i księcia wyklinać — rzekł Wichfried.

— Czyście żonaci? — spytała wdowa.

— Ja nie.

— Niema więc za co, bo wam szukać sobie niewiasty nie grzech, a księżętom dużo wolno! Jam też już stara i ktoby tam o mnie myślał! — dodała śmiejąc się sama.

Wichfried ujął ją za rękę białą, nie wyrwała mu jęj, zbliżył się jeszcze, nie uchyliła się, owszem skorzystała z tego aby mu coś do ucha szepnąć żywo, i wnet z siedzenia wstała, jakby już swego pewną była.

— Teraz sobie na koń siadajcie, — dokończyła — a wieczorem przyjdziecie po mnie.

Posłuszny jak dziecko Wichfried ełnił przy-

kazanie, ale z chaty wyrwawszy się jak pijany, ledwie konia mógł dosiąść.

— Czarownica! — rzekł w duchu.

Przed wieczorem, niemiec, który o niej zapomnieć nie mógł, znalazł się sam na sam z księciem.

— Mam i ja poselstwo z prośbą do was — odczytał się żartobliwie — ale moje nie straszne! Owa wdowa, Dorota z Tęczyna, o której przy stole mówił Leszczyc, prosi a błaga o chwilę posłuchania, dziś wieczorem.

— Dziś? tu? — zapytał książę.

— Pilno jęj — dodał Wichfried — Sprawy nie znam, wiem tylko że na nią bracia godzą — Niewiasta urokliwa, ale ponętna... choćby w oczy jęj zajrzeć tylko, miło. Do nóg się wam rzucić chce aby opiekę wyprosić.

Każmierz, choć ciekaw jęj był, zawahał się. — Nie pora — rzekł — z niewiastą do mnie po nocy iść. Co ludzie rzeką!

— Przecie córka ziemianina, z żalobą do pana każdego czasu przyjść może — rzekł Wichfried — Nie pozostanie długo.

Zręcznemu niemcowi opowiadając o swych rannych odwiedzinach w chacie łatwo było książęcia ciekawość obudzić. Znał go dobrze i wiedział że się da jęj uwieźć. Nie łatwo to jednak przyszło, opierał się Każmierz, wstręt jakiś i obawę czując, choć go ciekawość ciągnęła, aż Wich-

fried strach jego wysmiewać począwszy, prawie gwałtem wymógł że przyprowadzić mu ją na chwilę pozwolił.

Za wczasu tego dnia przed jutrzejszą podróżą wszyscy się porozchodzili, Kaźmierz u żony posiedziawszy chwilę, powrócił do swęj komnaty.

Tak mu jednak wiele na głowie ciążyło, iż choć z Wichfriedem się umówił o posłuchanie dla wdowy, zapomniał o niēm zupełnie. Goworek był z nim jeszcze na rozmowie, gdy niemiec wszedłszy dał znak że wdowa nań czekała w Henrykowej komnacie.

Kaźmierz z pewną obawą i wahaniem, wszedł do nięj.

Izba była przyćmiona nieco, gdyż tylko dla przejścia przez nią miała się w nięj lampka paliła. Wśród tego mroku, na którego tle biały płaszcz Henryka i zbroja jego jak widmo stały — zaledwie dojrzeć mógł książę niewiastę która nań oczekiwała.

Stała jednak tak aby słabe lampki światelko całe na nią padało, a w półcieniu tym, który piękność jęj czynił powietrzną i mglistą, jak drugie widmo jakieś zjawiła mu się ta piękność, któraby może o świetle słonecznym namiętnę swęm licem, mniej uczyniła wrażenia.

Z żałobą idąc ubrała się tęż żałobnie, czarno, lecz zalotnica i wielka pani nie zapomniała łań-

cuchów i złota. Zdobiły ją klejnoty uwydatniając kształty, które znikają we mroku.

Z niespokojną ciekawością wpatrywał się w nią Kaźmierz, gdy wdowa naprzód do kolan mu się pochyliła, potem chwyciwszy za rękę, gorące do niej przyłożyła usta. Tym pocałunkiem namiętnością zatrutym jakby chciała przelać w niego gorączkę swoją, zmięszała księcia, który napróżno dłoń jej wyrwać usiłował.

Wlepila w niego błagające oczy.

— Miłościwy książę, ojczy, ratuj mnie sierotę, wdowę — poczęła pół głosem by niebyć podsłuchaną — cała ci się w opiekę oddaję. Bracia potwarzami mnie obrzuciwszy, czyhają na życie! Broń mnie panie! od ich napaści z domu uchościć musiałam.

To mówiąc powtórnie rękę jego chwyciła, i zręcznym ruchem zbliżyła się ku niemu.

Ta postać płekna, przypominająca mu drugą, ukochaną, podobną do tej a różną, tak dziwne wrażenie uczyniła na księciu iż długo stał niemy niemogąc przemówić słowa. Czuł że mogła urokiem jakimś pociągnąć go ku sobie. Obawiał się zdradzić głosem, wyrazem.

— Tyś pan dobry, miłosierny, litościwy, — mówiła Dorota — wydziedziczonej, spotwarzzonej, odrzuconej nie odepchniesz! Szłam do ciebie panie z ufnością jak do Boga! Złożyła ręce przed nim.

— Uspokójcie się — rzekł Kaźmierz — mówcie czego żądacie? Uczynię co mogę.

— Tyś pan nasz! ty możesz wszystko! — wykrzyknęła wdowa.

— Mylicie się — odparł książę — jam na Sandomirzu pan, w Krakowie sługa starszego brata.

— Nie! nie — przerwała Dorota — wszyscy wiedzą że się jego panowanie skończyło, a wasze zaczęło.

— Tak nie jest! na Boga! — oparł się Kaźmierz.

— Tak być musi! — powtórzyła niewiasta — inaczej wszyscy i jabyśmy zginęła...

Książę nie mogąc się już zdobyć na wyraz inny, zażądał znów by się uspokoiła. Piękna wdowa, jakby ją nagle wielka boleść ogarnęła, niby osłabła zachwiała się, rękę przykładając do czoła zdało się że upaść może.

Książę ulękłszy się, wskazał jęj ławę by usiadła. O to może zręcznej niewieście chodziło, padła na nią, zwiesiła głowę na piersi, milczała, coś nakształt tłumionego łkania dobywało się z ust wpół otwartych.

Książę stał pomieszany, mając czas przypatrywać się wdowie i wszystkim jęj wdziękom, które niby mimowolnemi ruchy zdradzała, to się osłaniając, to chyląc, to podnosząc, to upadając pod ciężarem nieszczęścia swojego.

Przedłużało się posłuchanie, a że Dorota milczała, niemogąc dobyć głosu i oczyma tylko badając Kaźmierza, a oczarować usiłując, odezwał się łagodnie.

— Mówcie co dla was uczynić mogę?

— A! najmiłościwszy panie — przemówiła nareście — ja się na nogach utrzymać nie mogę, ty stoisz przed służebnicą twoją! Ja muszę ci opowiedzieć losy moje, posłuchasz mnie litościwie. Potem samo twe serce królewskie powie ci co masz uczynić dla mnie.. Litość czytam w oczach twoich.

Kaźmierz usiadł naprzeciw niej; głos jej, postawa, wdzięk nieszczęśliwej przykuwały go do miejsca. Wdowa umyślnie przedłużała posłuchanie, a że mówić chciała cicho, pod pozorem bysłyszana lepiej była, zbliżyła się tak że książę oddech jej mógł uczuć prawie

— Miałam najlepszego o'ca który mnie kochał i popsuł, bo do miłości przyzwyczaił. Jego dobroć zazdrość w braciach obudziła. Kochałam będąc wyrostkiem ubogiego ziemianina, za którego mnie nie dali. Zabili go.

Zmuszono iść za starca! Zmarł ojciec, poczęło się prześladowanie, chcieli mi wydrzeć co on zostawił. Szukałam opieki, zakrzyczeli żem gachów szukała; ja — ja — dodała ręce podnosząc — com nie kochała tylko raz gdy byłam

dzieckiem prawie, a odtąd nie spotkałam w świecie ktoby mi mógł być miłym.

Dziwném wejrzaniem zdała się mówić księciu — Nikt chyba ty!

— Miłościwy książę — ciągnęła dalej — spotwarzono mnie, jam niewinna! chyba że czystą się czując śmiałą jestem.

Weź mnie, panie, w opiekę swoją, osłoń — będę ci wierną służebnicą! Zostanę przy dworze twym, pójdę gdzie nakazesz, choć córką jestem możnego gniazda, będę niańczyć dzieci twoje.

Dla takiego pana jak ty, któżby życia nawet nie dał?

Śmiałe te a dziwnie poplątane wyrazy, mieszały Kaźmierza, ale widzieć było że wstępu mu nie czyniły. Uśmiechał się.

— Boże uchwaj — rzekł — ażebyście zbyt blizką mnie być mieli — niebezpieczną jesteście. Potwarze na was rzucają bo mężczyzn za sobą wodzicie, którzy się wam oprzeć nie mogą.

Derota oczy sobie przysłoniła.

— A! panie — wyjąknęła — czyż się to godzi tak z nieszczęśliwój naśmiewać. Piękność moja i młodość dawno poszły ze łzami... a dziś już — —

Spojrzała nań oczyma przymglonemi, białe ząbki z różowych ust się dobiły — książę patrzył, coraz bardziej czując się njętym. Korzysta-

jąc z osłupienia, wzięła rękę jego, znowu coś szepeząc, prosząc a całując ją napastliwie.

Każmierz bladł i czerwieniał, szczęściem mrok izby zmian jego twarzy widzieć nie dawał. Wrażliwy do zbytku nie mógł się oprzeć tym pieśzotom niewiasty natarczywym — drżał cały, zapominał się. Nawzajem, ujawszy jedną z jej rąk, odezwał się głosem który wdowa sobie wytłumaczyć umiała — niepewnym i drżącym.

— Uczynię dla was — co tylko mogę, co zechcecie..

Ale wy... jesteście niebezpieczną niewiastą.

— Dla was? — podchwyciła wdowa radośnie — dla was, do którego tyś się wzdycha?

— Nikt! nikt! — odparł Kaźmierz spuszcza-
jąc głowę. Szumiało mu w niej, odwrócił się,
ulałszy sam siebie.

— Jadę do Krakowa — dorzucił spiesźnie —
kiedy powrócę niewiem, przemówię za wami do
brata.. Jedźcie za mną, ale nie okazujcie się lu-
dziom, bo złe są ludzkie języki.

— O! — odezwała się szybko i wesoło, po-
zbywszy udanej boleści — mnie nikt nie pozna,
ja się *także* po mężku, a choćby we zbroję prze-
brać umiem, mogę być giermkim gdy trzeba.

Mówiąc z przyciskiem: *także*, spojrzała na
księcia, który się poruszył zmieszany, bo mu na
myśl przysła Jagna.

— O! — dodała Dorota cicho — ja wiem

wszystko i widziałam tę co konno po mężku jeździ po lasach.

Palec położyła na ustach, książę trochę zagniewany tą odwagą — rzekł prędko.

— Niewiem kto po lasach jeździ!

Dorota potrząsnęła głową.

— Mnie ani w lesie ni w mieście nikt nie zobaczy.

To mówiąc przysunęła się śmiało do księcia, i chwyciwszy rękę którą całowała długo, dodała żywo.

— Mam więc jechać do Krakowa? a tam! nieprawdaż? dacie mi znać przez Wichfrieda?

Czekać będę rozkazów! O! bądźcie mi opiekunem! bądźcie. Ja was tak jak nikt milować będę, jak nikt!

Książę stał milczący i upojony, nie będąc panem siebie, gdy Wichfried czatujący u drzwi, który rachował że się już nadto długo posłuchanie przeciągnęło, podniósł zaslone i kaszlnął.

Dorota cofnęła się kroków parę, przybrała postawę skromną i pokorną, otarła oczy które się śmiały, schyliła do kolan księcia i figlarnie nań spojrzawszy powoli ustępować zaczęła.

Wichfried wchodził, Kazmierz cofnął się do swój komnaty, dwaj przyjaciele kilka słów zamienili z sobą po cichu i niemiec przez izby puste powiódł nazad milczącą Dorotę. Umiała tak przed nim ukryć swe wzruszenie i radość wielką, że

gdy wyszli w podwórze, Wichfried jój zapytał czy rada była posłuchaniu?

— Odwróciła się doń — Jak sądzicie?

— Niewiem.

— Tak dobry pan, ja tak nieszczęśliwa, mógłże mnie odepchnąć? Widział łyzy moje.

— Przyrzekł co?

— Wstawić się za mną do Mieszka! Pokręciła głową.

Ja ufam że wy mnie jemu przypominać będziecie.

— A wy, miła pani, o mnie też zechcecie pamiętać! — rzekł Wichfried.

— O! pewno! pewno, ale dziś — dodała wdowa — głowę mam pełną naszego miłościwego pana, już się w niej nikt inny nie zmieści!

Gdy doszli do wrót zamkowych, Wichfried chciał ją dalej prowadzić, ale tu czekał na nią koniuszy z chłopakiem i wdowa zwróciła się do Niemca z pożegnaniem.

— Bóg zapłać — rzekła cicho — zobaczymy się w Krakowie, mnie tam kazano, a i wy też z księciem jedziecie.

Podawała mu rękę, wyrwała ją prędko i wybiegła za wrota.

Gdy Wichfried na zamek powrócił, zastał księcia samym, niespokojnie się po izbie przechadzającym. Spojrzeli sobie w oczy razem, jakby

w nich czytać chcieli. Książę spuścił je niemal zawstydzony.

— Czarownica to jest — rzekł — nie dziw że ludziom zawraca głowy — lecz, lepij się od niej trzymać zdala.

I natychmiast zmienił rozmowę, niedając odpowiedzieć Wichfriedowi.

— O brzasku w drogę! tak — potrzeba pośpieszać aby Mieszka ratować.

Wichfried — dodał gorąco — Wichfried! na twą druźbę cię zaklinam, na cienie Henryka, na sumienie twoje, uczyn co przykazuję. Dziś, zaraz uocą ślij przodem do Krakowa, do Mieszka, jedź sam, to lepij. Oznajmij mu że przybywam dla pojednania i zgody. Ostrzeż go niech powolnym będzie. Muie tam ciągną, ja muszę iść, ale idę z gałęzią oliwną. Niech Mieszek nie uchodzi z grodu, niech się Biskupowi ukorzy, niech Kiełtlicza wygna; ja zaś mówić i popierać go będę. Mów mu to, uprzedź, błagaj...

Głos jego zadrżał.

— O panie! — zawołał podnosząc oczy — odwróć ten kielich odemnie!

Wichfried stał nieodpowiadając ale oblicze mu się zmieniło.

— Jedź! — powtórzył Kaźmierz.

— Ja? — zawołał Niemiec — ja? do Mieszka? Czyń książę co chcesz, wyrzecz się mnie, wypelnij, gniewaj, przeklnij, ja tego nie uczynię;

zdradziłbym was i te ziemie co mnie gościnnie
przyjęły...

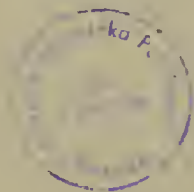
A nie tylko ja, miłościwy panie, ale nikt nie
nie pojedzie, bo na gniew Mieszka nadaremnie
narażać się nie zechce; a ktoby rozkaz ten speł-
nił, ziemianicby go rozsiekli.

Nie waży się nikt, ja nie mogę!

Książęciu głowa na piersi opadła, szeptał jak-
by modlitwę.

— Stanie się wola Boża!

KONIEC DRUGIEGO TOMU



Biblioteka Raczyńskich

JK 412



JK0412